

Stephen Baxter

Tratwa

(tłumaczyła Anna Krawczyk-Łaskarzewska)

Pragnę wyrazić podziękowania Larry'emu Nivenowi, Davidowi Brinowi i Ericowi Brownowi, którzy zadali sobie trud przeczytania i dokładnego skomentowania wersji roboczych tej powieści oraz zawartego w niej opisu wyimaginowanego wszechświata; ich wkład wydatnie podniósł jakość mojej pracy. Dziękuję również Arthurowi C. Clarke'owi, Bobowi Shawowi, Charlesowi Sheffieldowi, Joe Haldemanowi i Davidowi Pringle'owi za pochwały i zachęty. Mam też wielki dług wdzięczności wobec Malcolma Edwardsa, redaktora w wydawnictwie Grafton, który cierpliwością! pieczołowitą dbałością znacznie przyczynił się do powstania tej książki.

ROZDZIAŁ 1

Kiedy w odlewni doszło do implozji, Rees poczuł wielką ciekawość świata.

Szychta zaczęła się normalnie: Sheen, kierowniczka zmiany, uderzyła pięścią w ścianę jego kabiny. Rees wygramolił się z hamaka i na chwiejnych nogach krążył po zabałaganionym pomieszczeniu, żeby rozbudzić się na dobre.

Z zardzewiałego kurka leniwie popłynęła woda, kwaśna i mętna, jak wszystkie ciecz w warunkach minimalnej grawitacji. Rees zmusił się do wypicia kilku łyków, a potem opryskał twarz i włosy. Wzdrygnął się na myśl, ilu ludzi myło się w owej wodzie od czasu pozyskania jej z chmury. Upłynęło już kilkadziesiąt szycht od ostatniej dostawy świeżych produktów z Tratwy; przestarzały system utylizacji odpadków na Pasie zaczynał szwankować.

Rees przeżył piętnaście tysięcy szycht, był ciemnowłosy, szczupły, dość wysoki i, niestety, nadal rósł. Włożył zaplamiony, jednoczęściowy kombinezon, który robił się dla niego zbyt krótki. Rodzice na pewno zwróciliby na to uwagę. Zasmucił się. Ojciec żył niewiele dłużej niż matka, zmarł kilkaset szycht temu z powodu niewydolności serca i ogólnego wyczerpania.

Uwiesiwszy się jedną ręką na framudze drzwi, Rees zerknął na małą, zbudowaną z żelaznych ścian kabinę. Przypomniawszy sobie, jaka wydawała się zatłoczona, kiedy mieszkał w niej wspólnie z rodzicami.

Odpędził od siebie ponure myśli i wcisnął głowę w wąską szczelinę między drzwiami.

Przez chwilę mrugał oczami, oślepiony przesuającym się światłem gwiazd. W powietrzu wyczuwało się swąd jakby palonego mięsa. Czyżby pożar?

Kabina Reesa połączyła się z pomieszczeniem sąsiada kilkumetrowym odcinkiem postrzępionego sznura i kawałkami zardzewiałych rur. Młodzieniec wspiął się metr po linie i zawisł na niej, ogarniając wzrokiem otoczenie, aby odkryć źródło przykrego zapachu.

Powietrze Mgławicy było, jak zwykle, zabarwione na krwistoczerwono. Rees próbował ocenić ową czerwień, może uległa pogłębieniu od ostatniej zmiany?

Jednocześnie nerwowo zerkał na obiekty porzucane w przestrzeni Mgławicy. Chmury przypominały garstki szarawego sukna rozproszone w powietrzu. Spadał między nimi powolny, nie kończący się deszcz gwiazd, które docierały aż do Rdzenia. Blask rozciągających się na milę kulistych obiektów kontrastował z ulotnymi cieniami pojedynczych drzew. Plamy rzucane na chmury przybierały kształt wielorybów. Gdzieś tam pojawiał się błysk, oznaczający kres

krótkiej egzystencji jakiejś gwiazdy.

Ile ich jeszcze pozostało?

Będąc dzieckiem, Rees zawisał między linami i, szeroko otworzywszy oczy, cierpliwie liczył gwiazdy. Teraz podejrzewał, że nie istnieje określona liczba, zapewne było ich więcej niż włosów na głowie... albo myśli czy słów, które miał ochotę wypowiedzieć.

Uniósł głowę i przeszukiwał wzrokiem wypełnione gwiazdami niebo. Miał wrażenie, że jest zawieszony w wielkim obłoku światła. Gwiazdne obiekty w miarę oddalania się przypominały świetliste punkciki, a niebo wyglądało jak błyszcząca czerwienią i żółcią zasłona.

Przez rozrzedzone powietrze Rees nadal czuł swąd spalenizny. Okręcił sznurem palce nóg i uwolnił ręce. Czekał biernie, aż wirowy ruch Pasa wyprostuje mu plecy i z nowej pozycji przyglądał się swemu domowi.

Pas był okręgiem o szerokości mniej więcej ośmiuset metrów. Składały się nań rzędy podniszczonych domostw i miejsc pracy połączonych systemem lin i rur. W środkowej części Pasa znajdowała się kopalnia, schłodzone jądro gwiazdy szerokie na sto metrów.

Na jego powierzchnię opadały kable dźwigowe, które co sekunda zeszkrobywały z menisku metr rdzy.

Tu i ówdzie znajdowały się masywne, pomalowane na białą, metalowe wyloty dysz.

Co kilka minut każda z gardzieli wyrzucała kłęb pary i wówczas Pas niepostrzeżenie nabierał szybkości, skutecznie przeciwstawiając się oporowi powietrza.

Rees uważnie obejrzał wyszczerbioną krawędź najbliższej położonej dyszy. Została przytwierdzona do dachu kabiny sąsiada. Sądząc po wyglądzie brzegu dyszy, najwyraźniej ktoś ciął i spawał metal w dużym pośpiechu. Jak zwykle, Rees zaczął snuć domysły. Da jakiego statku czy innego pojazdu zabrano to urządzenie? Kim byli ludzie, którzy zdecydowali się odciąć? I w jakim celu zjawili się tutaj?

Kolejny podmuch ognia uderzył ciepłem w twarz. Rees potrząsnął głową. Usiłował skoncentrować myśli.

Właśnie odbywała się zmiana szychty, więc przed większością chat w Pasie panowało spore ożywienie. To zmęczeni, oblepieni brudem robotnicy udawali się na spoczynek do hamaków. Wokół odlewni, około ćwierć obwodu Pasa od miejsca, w którym stał Rees, kłębił się dym. Jacyś ludzie raz po raz znikali w szarawej mgle, a potem wynurzali się z niej, ciągnąc po ziemi bezwładne, poczerniałe tobołki wielkości człowieka.

Czyżby zwęglone ciała?

Z cichym okrzykiem Rees skulił się, chwycił linę i zaczął szybko pętać nad studniami grawitacyjnymi dachów i ścian kabin, aby dotrzeć do odlewni.

Zatrzymał się na skraju kulistego oparu. Smród palonego mięsa sprawił, że jego pusty żołądek zaczął się buntować. Z mgły wynurzyło się, jak we śnie, dwoje ludzi, którzy nieśli duży, zakrwawiony tobolek o nieokreślonej zawartości. Rees znalazł mocny punkt zaczepienia i ruszył ratownikom z pomocą.

Omal nie cofnął się z obrzydzenia, gdy zostały mu w rękach płaty zwęglonego mięsa.

Bezwładną postać owinięto poplamionymi kocami i ostrożnie odciągnięto na bok.

Jeden z ratowników wyprostował się przed Reesem, z pokrytej sadzą twarzy wyzierały białka oczu.

Dopiero po chwili Rees rozpoznał Sheen, kierowniczkę szychty. Kontakt Sheen z gorącymi, poczerniałymi ciałami zbudził nieokreślone sensacje w brzuchu Reesa. Nie mógł jednak oderwać oczu od kropelek potu na umazanych krwią piersiach kobiety. Było mu wstyd, że nawet w takiej chwili obserwuje ją.

- Spóźniłeś się - powiedziała schrypniętym, prawie męskim głosem.

- Przepraszam. Co się stało?

- Implozja. A co myślałeś? - Odgarnawszy z czoła spalone włosy, odwróciła się i pokazała całun dymu. Teraz Rees mógł już dostrzec zarysy odlewni. Sześcienna forma zakładu uległa zniekształceniu, jakby zmiażdżyła go dłoń olbrzyma.

- Na razie dwóch zabitych - powiedziała Sheen. - Cholera. To już trzeci wypadek w ciągu ostatnich stu szycht. Gdyby Gord budował wystarczająco mocne konstrukcje, nie musiałabym zeskrobywać swoich pracowników jak zgniłe kawałki mięsa. Cholera, cholera!

- Co mam robić? Odwróciła się i rzuciła Reesowi gniewne spojrzenie. Poczuli, że czerwieni się z zakłopotania i strachu. Irytacja Sheen trochę osłabła.

- Pomóż nam wyciągnąć resztę. Trzymaj się mnie, to nic ci się nie stanie.

Spróbuj oddychać przez nos.

Stała plecami do Reesa i ponownie zanurkowała w rozprzestrzeniający się kłęb dymu. Rees wahał się tylko przez chwilę, a potem szybko rzucił się w ślad za nią.

Zwłoki uprzątnięto i wyrzucono w powietrze Mgławicy, podczas gdy ranni zostali zabrani przez rodziny i położeni w poczekalniach. Pożar w odlewni udało się ugasić i wkrótce przestał

się z niej wydobywać dym. Gord, główny inżynier Pasa, niewysoki, jasnowłosy mężczyzna, podczołgał się do zgliszczy. Kręcąc żałośnie głową, zaczął opracowywać plan odbudowy odlewni. Rees zauważył, iż krewni zabitych i rannych spoglądają na Gordę z nienawiścią. Chyba nie powinni obwiniać inżyniera za implozję?

Ale jeśli nie Gordę, to kogo?

Szychta Reesa została odwołana. Na Pasię znajdowała się jeszcze jedna odlewnia, oddalona od dymiących zgliszczy o sto osiemdziesiąt stopni. Rees miał się tam pojawić podczas kolejnej roboczej zmiany, na razie jednak był wolny.

Powoli ruszył z powrotem do kabiny. Przyglądał się jak urzeczony śladom krwi, które zostawiał na linach i dachach. Odnosił wrażenie, że głowę nadal wypełnia mu dym.

Zatrzymał się na kilka minut u wejścia do kabiny, ale czerwone, niestałe światło gwiazd wydawało się niemal równie gęste jak dym. Czasami wprost nie dawało się oddychać powietrzem Mglawicy.

Ach, gdyby niebo było błękitne, pomyślał. Ciekawe, jak wygląda błękit... Ponoć gdy jego rodzice byli dziećmi, na obrzeżach Mglawicy, daleko za chmurami i gwiazdami, mogli jeszcze dostrzec niebieski odcień nieba, tak przynajmniej twierdził ojciec. Rees zamknął oczy i próbował wyobrazić sobie kolor, którego nigdy nie widział. Błękit przywodził mu na myśl chłód i czystą wodę.

Od czasów jego ojca świat bardzo się zmienił. Dlaczego? I czy znowu ulegnie zmianie? Czy powróci błękit i inne chłodne barwy? A może czerwień nabierze intensywności, aż w końcu zacznie przypominać zranione ciało?

Rees opuścił się na linie do swojej kabiny i odkręcił kurek. Zdjął uniform i zaczął szorować plamy z krwi do bólu.

Płaty mięsa odrywały się od trzymanego w rękach ciała niczym skórka od zgniłego owocu, kości jaśniały bielą.

Leżał w hamaku z otwartymi oczami i przypominał sobie pożar.

W oddali trzykrotnie zabrzączał dzwonek. Minęła dopiero połowa szychty. Rees musiał jeszcze wytrzymać półtorej szychty, całe dwanaście godzin, aby mieć pretekst do opuszczenia kabiny, ale czuł, że zwariuje, jeśli zostanie w niej choćby chwilę dłużej.

Zsunął się z hamaka, włożył kombinezon i wymknął się z kabiny. Najkrótsza droga do baru „U Kwatermistrza” prowadziła obok zniszczonej odlewni. Rozmyślnie skierował się w

drugą stronę.

W Pasiu żyło zaledwie kilkaset osób. Na skutek ostatniej katastrofy musiała ucierpieć niemal każda rodzina. Z kabin dobiegały odgłosy cichego płaczu i okrzyki bólu.

Niektórzy ludzie wychylali się z okien oraz umocowanych na zewnątrz hamaków i kiwali głowami na jego widok.

Rees mieszkał sam i przeważnie zadowalał się własnym towarzystwem, ale znał prawie wszystkich ludzi na Pasiu. Zatrzymywał się na krótko przy kabinach bliższych znajomych. W każdej ktoś cierpiał lub umierał. Wkrótce jednak przyśpieszył kroku, gdyż zaczęło mu doskwierać poczucie osamotnienia.

Szeroki na dwadzieścia metrów bar „U Kwatermistrza” był jednym z największych budynków na terenie Pasa. Od frontu wisiały sznury, po których klienci wspinali się do środka, a przy przeciwległej ścianie stał barek.

Podczas tej szczyty lokal był zatłoczony. Odór alkoholu i trawki, wrzawa i ścisk rozgrzanych ciał sprawiły, że Rees poczuł się tak, jakby wyrznął w ścianę. Jame, barman o gęstej, siwiejącej brodzie, ochoczo przygotowywał trunki, zanosząc się ochrypłym śmiechem.

Rees stał z boku gwarne go tłumu. Nie czuł się dobrze wśród roześmianych, podchmielonych ludzi, z niechęcią myślał jednak o powrocie do pustego domu. Mimo to postanowił opuścić bar.

- Rees! Zaczekaj... - To była Sheen. Przecisnęła się przez stojącą na środku grupę mężczyzn. Jeden z nich, zwały, budzący oniesmielenie górnik zwany Rochem, przywoływał kobietę pijackim bełkotem. Sheen miała policzki wilgotne od rozgrzanego powietrza. Zdażyła już obciąć spalone włosy, a czysta, kusa tuniczka nadawała jej schludny wygląd. Dym, którego nawdychała się podczas akcji ratunkowej, wciąż jeszcze wywoływał u niej chrypę. - Widziałam, jak wchodziłeś. Masz. Chyba ci się przyda. Podała Reesowi małą czarę z drinkiem.

- Właśnie miałem wychodzić... - Rees poczuł się niezręcznie.

- Wiem. - Podeszła bliżej i bez uśmiechu przycisnęła naczynie do piersi Reesa. - Tak czy owak, napij się. - Kontakt z ciałem Sheen sprawił, że Rees poczuł ciepło w podbrzuszu.

Zastanawiał się, dlaczego jej pole grawitacyjne tak bardzo wyróżnia się zapachem. Zauważył, że kobieta ma nagie ramiona.

- Dzięki. - Wziął czarę i zaczął saczyć napój, czuł na języku gorący trunek. - Chyba rzeczywiście potrzebowałem czegoś takiego.

- Dziwak z ciebie, prawda, Rees? - Sheen obserwowała go z nie ukrywanym zaciekawieniem.

- Jak to, dziwak? - Odwzajemnił jej spojrzenie. Zauważył, że skóra pod oczami Sheen jest zupełnie gładka. Uderzyła go myśl, że ta kobieta w gruncie rzeczy nie jest od niego o wiele starsza.

- Stronisz od ludzi. - Wzruszył ramionami. - Posłuchaj, powinieneś z tego wyrosnąć. Potrzebujesz towarzystwa. Jak wszyscy. Zwłaszcza po takiej paskudnej zmianie.

- Co miałaś wtedy na myśli? - zagadnął znieacka.

- Kiedy?

- Podczas implozji. Powiedziałaś, że trudno jest budować wystarczająco mocne konstrukcje dla tego wszechświata.

- No i co z tego?

- Hm... a jaki jest ten inny wszechświat?

- Kogo to obchodzi? - Sheen ignorowała zapraszające okrzyki mężczyzn za swoimi plecami.

- Mój ojciec mawiał, że kopalnia wszystkich nas zabija. Ludzie nie powinni pracować tam na dole i czołgać się na wózkach przy pięciu gie.

- Niezły z ciebie numer, Rees. - Sheen wybuchnęła śmiechem. - Ale szczerze mówiąc, nie mam nastroju do metafizycznych spekulacji. Chcę tylko zalać się w trupa tym sfermentowanym napojem ze sztucznych owoców. Jeśli chcesz, możesz się do nas przyłączyć albo idź wdychać do gwiazd. W porządku?

Odeszła, rzuciwszy Reesowi badawcze spojrzenie. Potrząsnął głową, siląc się na uśmiech, gdy tymczasem ona wróciła do swojej grupki. Rees dokończył drinka, przepchał się do barku, żeby odstawić pustą czarę, i wyszedł.

Nad Pasem unosiła się ciężka chmura, która ograniczała widoczność do kilku metrów.

Towarzyszące jej powietrze było wyjątkowo kwaśne i rozrzedzone.

Gorączkowo napinając mięśnie, Rees czepiał się kolejnych sznurów, które wyznaczały granice jego świata. Wykonał dwa pełne okrążenia. Mijał chatki i kabiny znane mu od dzieciństwa, w przelocie oglądał dobrze znajome twarze. Miał wrażenie, iż jest uwięziony na Pasie, i oddychanie ubogim w tlen powietrzem rozsadza mu klatkę piersiową.

Zadręczał się pytaniami. Dlaczego materiały budowlane i konstrukcje stosowane przez

człowieka okazywały się nieodpowiednie w zetknięciu z siłami świata? Dlaczego ciała ludzkie są tak słabe wobec tych sił? Dlaczego rodzice umarli, nie odpowiedziawszy mu na żadne z pytań?

Natłok myśli tworzył galimatias, w którym prześwitywały jednak okruchy racjonalnej postawy. Przecież rodzice Reesa nie mieli lepszego rozeznania w sytuacji i, zanim ponieśli śmierć, byli w stanie przekazać synowi jedynie legendy: dziecinne bajki o jakimś Statku, Załodze, o czymś, co nazywano Pierścieniem Boldera. Rodzice jednak akceptowali rzeczywistość. Wydawało się, że mieszkańcy Pasa, nawet ci najenergiczniejsi, na przykład Sheen, godzili się ze swoim losem. Tylko Reesa prześladowały pytania i nie wyjaśnione wątpliwości. Dlaczego nie mógł żyć tak jak reszta? Dlaczego nie potrafił pogodzić się z obecną sytuacją i uzyskać akceptacji innych?

Czując rozpryskujące się kropelki mgły, bezwładnie płynął unoszony powietrzem, obolałe ramiona domagały się odpoczynku. W całym wszechświecie istniało tylko jedno urządzenie, z którym mógł porozmawiać i które potrafiłoby zareagować w sensowny sposób na jego pytania. To była koparka.

Rees rozejrzał się dookoła. Znajdował się w odległości mniej więcej stu metrów od najbliższej stacji wind, którymi zjeżdżało się do kopalni. Przestał odczuwać ból w kończynach i ze zdwojonym animuszem poszybował w ich kierunku.

Wkrótce znalazł się na stacji. Za jego plecami nadal kłębiła się wilgotna mgła.

Nie zdziwił się, że miejsce całkowicie opustoszało. Zapewne wszyscy członkowie zmiany oplakiwali bliskich. Dopiero za dwie, trzy godziny można się będzie spodziewać nadejścia robotników o kaprawych oczach.

Stacja nie wyróżniała się prawie niczym wśród masy sześciennych budowli ze stali.

Jej centralny element stanowił potężny bęben, na który nawinięto cienką linę.

Bęben umocowany został na wyciągu skonstruowanym z nierdzewnego metalu, a z liny zwisało ciężkie, grubo wyściełane krzesło z dużymi, naoliwionymi kółkami, zaopatrzone w oparcie dla głowy i szyi. Do podpórki z jednej strony bębna przytwierdzono kwadratową płytę kontrolną o boku równym długości ręki. Znajdowały się na niej przełączniki i tarcze wielkie jak ludzka pięść.

Rees szybko wystukał na klawiaturze polecenie obniżenia wyciągu i bęben zaczął wirować. Młodzieniec wślizgnął się na krzesło i starannie wygładził ubranie. Na powierzchni gwiazdy każda fałda materiału robiła się ostra jak nóż. Na płycie kontrolnej ponuro zabłysnęło

czerwone światelko i dolna część kabiny rozsunęła się z cichym zgrzytem.

Przestarzała maszyna mocno skrzypiała i piszczała, aż wreszcie bęben przekręcił się i zaczął spuszczać linę.

Rees upadł na podłogę stacji i wpadł w gęsty obłok. Wiedział, że krzesło opuszczane na linie będzie sunęło przez mgłę, aż pokona dystans czterystu metrów dzielący je od powierzchni gwiazdy. Poczul łagodny ucisk w żołądku, zawsze reagował w ten sposób na zmianę grawitacji. Pas wirował nieco szybciej, niż wynosiła jego prędkość orbitalna, dla zachowania w doskonałym stanie sieci kabin, lecz kilka metrów niżej siła dośrodkowa zanikała, toteż Rees przez chwilę znajdował się w stanie nieważkości. Wylądował w studni grawitacyjnej jądra gwiazdy i szybko odzyskiwał wagę. Miał wrażenie, że klatkę piersiową i brzuch uciska mu żelazny pancerz.

Pomimo coraz trudniejszych warunków odczuwał ulgę. Zastanawiał się, co by pomyśleli pracujący z nim ludzie, gdyby go teraz zobaczyli. Decydować się na zjazd do kopalni w czasie wolnym od pracy... i po co? Żeby pogadać z koparką?

Wyobraził sobie twarz inteligentnej, sceptycznej, pragmatycznie nastawionej do życia Sheen. Poczul, że oblewa się rumieńcem i był zadowolony, że jego zjazd do kopalni ukrywa mgła.

Kiedy wydostał się z oparów, zobaczył jądro gwiazdy. Była to porowata, żelazna kula o szerokości niespełna pięćdziesięciu metrów, zniszczona na skutek działalności człowieka.

Lina, na której opuszczał się Rees, drapała żelazną powierzchnię, przesuwając się z szybkością metra na sekundę podobnie jak inne sznury, równomiernie rozstawione wokół Pasa.

Rees opadał teraz wolniej. Wiedział, że znajdujący się czterysta metrów nad jego głową wyciąg napina się, żeby przeciwdziałać silnemu przyciąganiu gwiazdy. Waga Reesa rosła w szybkim tempie, aż w końcu doszła do pięciu g, powodując nieznośny ból w płucach.

Kółka krzesła zaczęły wirować z furkotem i krzesło opadło na ruchomą, żelazną powierzchnię. Wstrząs zaparł Reesowi dech w piersiach. Lina błyskawicznie odczepiła się i ze świstem poszybowała z powrotem w kierunku mgły, gdy tymczasem krzesło powoli toczyło się jeszcze kilka metrów i stanęło.

Przez chwilę Rees siedział, napawając się ciszą opuszczonej gwiazdy, i przyzwyczajał się do oddychania w nowych warunkach. Gruba podkładka krzesła zapewniła bezpieczne lądowanie szyi, plecom i nogom; również krążenie krwi odbywało się bez zakłóceń.

Rees ostrożnie uniósł prawą rękę. Miał wrażenie, że przedramię ściskają żelazne obręcze,

ale zdołał osiągnąć płyty kontrolnej na poręczy krzesła.

Lekko obrócił głowę w lewo, a potem w prawo. Był zupełnie sam, otaczał go metaliczny krajobraz. Powierzchnię pokrywała gruba warstwa rdzy, usiana głębokimi na kilkanaście centymetrów dolinkami oraz małutkimi kraterami. Linię horyzontu widział z odległości kilkunastu metrów. Rees miał wrażenie, iż przysiadł na czubku kopuły.

Pas oglądany przez warstwę chmur wokół gwiazdy przypominał szereg toczących się po niebie skrzyń, które holowały kabiny i warsztaty, dokonując w ciągu pięciu minut pełnego obrotu.

Rees często rozważał kolejność wydarzeń, które doprowadziły do powstania tego krajobrazu. Aktywność gwiazdy musiała się zakończyć przed wieloma stuleciami, zostało po niej powoli wirujące jądro z rozgrzanego do białości metalu. W oceanie ciepła utworzyły się wysepki zakrzepłego żelaza, które zderzały się i stopniowo zlewały ze sobą.

Następnie wokół żelaza wykształciła się powłoka, która w miarę upływu czasu robiła się coraz grubsza i chłodniejsza. W trakcie tego procesu pęcherzyki powietrza ulegały zatrzymaniu, przez co w kuli powstały wgłębienia i tunele i odtąd mogły ją penetrować istoty ludzkie. Na koniec ciężkie od tlenu powietrze pokryło lśniące żelazo patyną brązowego tlenku.

Zapewne jądro gwiazdy już całkowicie wystygło, ale Rees lubił sobie wyobrazać, że czuje na powierzchni lekki żar, resztki gwiazdznego ognia.

Nagle wysoko w górze rozległ się jęk. Coś błyszczącego poszybowało w powietrzu i niezbyt mocno uderzyło w zardzewiałą powierzchnię mniej więcej metr od krzesła Reesa, zostawiając świeży, o półtoracentymetrowej szerokości krater, który nie dymił z powodu silnego przyciągania gwiazdy. Z góry zaczęły teraz spadać z sykiem kolejne minipociski.

Jądro gwiazdy dudniło od wstrząsów.

Deszcz. Spadając w warunkach grawitacji wynoszącej pięć g, zamieniał się w grad parujących kulek.

Rees zaklął i wyciągnął rękę do płyty kontrolnej. Krzesło potoczyło się naprzód.

Na każdym wyboju i zagłębieniu zapierało mu dech w piersiach. Do najbliższego wejścia do kopalni wciąż brakowało mu kilku metrów. Jak mógł być tak nieostrożny, żeby samotnie schodzić na powierzchnię, skoro istniało niebezpieczeństwo spadnięcia deszczu.

Grad stawał się coraz gęstszy, zasypując wokół całą powierzchnię. Rees skurczył się i czekał przykuty do krzesła, aż deszcz go osiągnie.

Wejście do kopalni miało kształt długiego prostokąta wyciętego w zardzewiałym żelazie. Krzesło powoli toczyło się po łagodnej skarpie ku czeluściom gwiazdy.

Wreszcie Rees spostrzegł, że ma nad głową dach; odtąd nie groziły mu już deszczowe pociski.

Odczekał kilka minut, żeby uspokoić mocno bijące serce, a potem ruszył po płytkim, krętym zboczu. Światło Mgławicy znikło, zastąpił je biały odblask umiejętnie rozstawionych lamp. Rees co pewien czas na nie zerkał. Nikt nie znał zasady działania kuł wielkości pięści.

Najwyraźniej świeciły tutaj od stuleci bez czyjegokolwiek dozoru i tylko gdzieś można było zauważyć ciemny klosz. Rees mijał nie oświetlone odcinki z drzeniem.

Jak zwykle wybiegał myślami w przyszłość. Zastanawiał się, kiedy górnicy będą zmuszeni pracować bez przestarzałych lamp.

Po pięćdziesięciu metrach korytarza, który stanowił jedną trzecią obwodu gwiazdy, Rees dotarł do szerokiej, cylindrycznej komory. Jej dach kończył się mniej więcej dziesięć metrów pod powierzchnią gwiazdy. Ściany z nierdzewnego metalu połyskiwały w świetle lamp. Tutaj było wejście do głównej części kopalni. Między ścianami komory znajdowały się koliste otwory kanałów prowadzących do serca gwiazdy. W korytarzach krety, specjalne koparki, cięły i oczyszczały z domieszek żelazo, a następnie przekazywały je na powierzchnię w łatwych do przerobu sztabach.

Funkcja ludzi na dole polegała na podejmowaniu decyzji, które wykraczały poza możliwości koparek, na przykład ustalali normy wydobycia albo sterowali żłobieniem nowych korytarzy wokół zepsutych krzesel. Zresztą niewielu ludzi potrafiło robić coś więcej, aczkolwiek niektórzy górnicy, na przykład Roch, gustowali w pijackich przechwałkach, dotyczących bohaterskich wyczynów w warunkach ekstremalnej grawitacji.

Z jednego kanału dochodził zgrzytliwy pomruk. Rees obrócił krzesło. Po chwili do oświetlonej komory bardzo powoli wjechała maszyna, którą górnicy nazywali kretem.

Kret był cylindrem z metalu o matowej powierzchni, długim na około pięć metrów.

Poruszał się na sześciu naoliwionych kółkach. Na dziobie maszyny montowano rozmaite narzędzia tnące oraz podobne do rąk szczypce, które zagłębiały się w gwiazdne żelazo. W tylnej części kreta znajdował się obszerny kosz zawierający kilkanaście sztabek świeżo pozyskanego surowca.

- Status! - przywitał się Rees.

Kret zatrzymał się i cienkim, obojętnym głosem, który wydobywał się gdzieś ze środka pocieranego korpusu, udzielił łatwej do przewidzenia odpowiedzi:

- Poważna awaria czujnika pomiarowego.

Reesowi często wydawało się, że gdyby wiedział, co oznacza ten krótki komunikat, pojąłby zagadkę otaczającego go świata.

Z dzioba kreta wysunęło się ramię, które sięgnęło do koszy w tylnej części maszyny i wyciągnęło sztaby żelaza wielkości głowy, a potem układało jedną na drugiej na podłodze komory. Rees przez kilka minut patrzył na pracę urządzenia. Wokół narzędzi na dziobie, osi kół i zaczepów koszy znajdowały się wyraźne ślady po spawaniu, również powłoka kreta miała siatkę długich, cienkich nacięć, które wskazywały, w jakich miejscach dawno temu oderwano poszczególne mechanizmy. Rees spod półprzymkniętych powiek obserwował szeroki, cylindryczny korpus maszyny. Co przytwierdzono kiedyś do wgłębień na kadłubie?

W przeblasku intuicji wyobraził sobie, że silniki, które utrzymują Pas na właściwej orbicie, są przymocowane do kreta. W umyśle Reesa poszczególne części poruszały się dookoła, łączyły i rozłączały ze sobą w najbardziej niewiarygodny sposób. Czy kiedyś silniki naprawdę stanowiły część korpusu kreta? Czy był to dawniej rodzaj maszyny latającej, którą przystosowano do pracy na dole? Może do owych wgłębień pasowały inne urządzenia?

Urządzenia, których od dawna nie używano i obecnie Rees nie umiał nawet ich sobie wyobrazić, na przykład wspomniane przez kreta „czujniki pomiarowe”.

Ogarnęło go uczucie wdzięczności dla kretów. Stanowiły zagadkę, w przygnębiającym wszechświecie Reesa reprezentowały jedyny element dziwności i inności, i tylko one były pożywką dla jego wyobraźni. Mniej więcej sto szycht temu po raz pierwszy zaczął dopuszczać do siebie myśl, że być może gdzie indziej istnieją zupełnie odmienne światy. Stało się to pod wpływem kreta, który nieoczekiwanie zapytał go, czy uważa, że powietrzem Mgławicy oddycha się trudniej.

- Krecie! - przywołał maszynę. Z dzioba kreta wysunęło się gadające metalowe ramię.

Po chwili skierowało na Reesa kamerę.

- Dzisiaj niebo wydawało się trochę czerwiejsze. - Transfer sztab żelaza odbywał się w stałym tempie, ale mały obiektyw pozostał w tej samej pozycji. Na dziobie zaczęło pulsować czerwone światelko. - Proszę podać dane spektrometru.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparł Rees. - A nawet gdybym cię rozumiał, to i tak nie

mam spektrometru.

- Proszę określić ilościowo dane wejściowe.

- Nadal nie rozumiem - cierpliwie odpowiedział Rees.

Maszyna milczała przez kilka sekund.

- W jakim odcieniu czerwieni jest niebo?

- Nie wiem. - Rees zawahał się, gdyż brakowało mu właściwego określenia. - Czerwone. Ciemniejsze. Nie tak czerwone jak krew.

- Proszę skalibrować. - Obiektów zajaśniał szkarłatnym blaskiem.

- Nie, nie tak jasne. - Rees wyobrażał sobie, że spogląda na niebo. Poświata na obiektywie tworzyła spektrum od karmazynu do ciemnego, krwistego odcienia. - Trochę w tył - rzucił. - Tak. Myślę, że to właśnie ta barwa. - Obiektów pociemniał.

Szkarłatna lampka na dziobie zaczęła świecić stałym, intensywnym blaskiem. Reesowi przypomniało się ostrzegawcze światełko na urządzeniu wyciągowym i poczuł, że cierpnie mu skóra.

- Krecie, co oznacza to światełko?

- Ostrzeżenie - zabrzmiał matowy głos maszyny. - Degeneracja środowiska zagrażająca życiu. Wskazany dostęp do wyposażenia pomocniczego.

- Niech cię cholera, krecie, co powinniśmy zrobić? - Rees zrozumiał słowo „zagrażająca”, ale co oznacza reszta odpowiedzi? O jakie wyposażenie pomocnicze chodzi?

Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Maszyna cierpliwie kontynuowała rozładowywanie kosza.

Rees obserwował ją, targany niespokojnymi myślami. Usiłował ułożyć całość z elementów ostatnich wydarzeń. Z powodu implozji ludziom żyło się ciężko, a teraz, jeśli Rees dobrze zrozumiał wypowiedź kreta, okazywało się, że czerwień nieba zwiastuje zagładę całej rasy, jak gdyby sama Mgławica była ogromną latarnią informującą o niepojętym zagrożeniu.

Znowu miał poczucie, że jest uwięziony i ciążyło mu to bardziej niż przyciąganie gwiazdnego jądra. Wiedział, że nikt nie podzieli jego zatroskania. Był tylko głupiutkim dzieciakiem, jego niepokój opierał się na domysłach, oderwanych faktach, które tylko częściowo dawało się uzasadnić.

Czy będzie jeszcze dzieckiem, kiedy nadejdzie koniec? W wyobraźni Reesa pojawiły się apokaliptyczne sceny: przygasające gwiazdy, gęstniejące chmury, brak powietrza w płucach.

Musiał wrócić na powierzchnię Pasa, koniecznie chciał zdobyć dodatkowe informacje.

W całym wszechświecie istniało tylko jedno miejsce, do którego mógł się udać.

Tratwa. Należało tam dotrzeć za wszelką cenę.

Wytyczywszy sobie nowy cel, nie całkiem jasny, ale skłaniający do działania, Rees obrócił krzesło w stronę rampy, która prowadziła do wyjścia.

ROZDZIAŁ 2

Drzewo było drewnianą, obficie ulistnioną machiną o szerokości pięćdziesięciu metrów. Zwolniwszy rotację, powoli opuściło się w kierunku studni grawitacyjnej jądra gwiazdy.

Pallis, pilot drzewa, wisiał poniżej sękatego pnia, uczepiwszy się go rękami i nogami.

Za plecami miał jądro gwiazdy i znajdującą się w środku kopalnię. Spojrzał krytycznym okiem na zasłonięty przez listowie dym, który kłębił się nad górnymi gałęziami.

Warstwa dymu nie była zbyt gruba, toteż Pallis widział światło gwiazd. Dotknął rękami najbliższej gałęzi i poczuł lekkie drżenie. Nawet tutaj, u nasady konarów, drzewo niespokojnie dygotało. Jego działaniem rządziły dwie zasady: próbowało unikać zabójczej grawitacji gwiazdy i uciekało przed cieniem dymnego obłoku, który popychał je w stronę studni grawitacyjnej.

Zręczny pilot musiał zachowywać idealną równowagę, drzewo powinno krążyć z zachowaniem wymaganej w danych warunkach odległości.

Teraz wirujące gałęzie młóciły powietrze, dlatego drzewo podskoczyło w górę co najmniej o metr. Niewiele brakowało, a Pallis oderwałby się od niego. Z listowia wyłoniła się chmara malutkich, przypominających kółeczka skoczków. Zaczęły brzęczeć wokół mężczyzny, starającego się utrzymać równowagę.

Wszystko przez tego cholernego chłopaka...

Rozwścieczony Pallis płynnymi ruchami podciągnął się przez listowie na górną część drzewa. Obłok dymu i pary wisiał kilka metrów nad jego głową, docierając wąskimi smużkami aż do konarów. Wilgotny opał został zużyty co najwyżej w połowie mis paleniskowych.

Govera, jego asystenta, nie było nigdzie widać.

Owinąwszy palcami nóg listowie, Pallis całkowicie się wyprostował. Według standardów Mglawicy był w dość podeszłym wieku, gdyż przeżył pięćdziesiąt tysięcy szycht, ale brzuch miał nadal płaski i twardy jak pień jednego z drzew ukochanej floty i wielu mężczyzn zlekłoby się na widok gęstej siateczki blizn, pokrywających jego twarz, ramiona oraz ręce i czerwieniejących w chwilach gniewu.

To była jedna z takich chwil.

- Gover! Na kości, co ty wyrabiasz?! - Nad jedną z mis paleniskowych obok krawędzi drzewa pojawiła się szczupła twarz. Gover pośpiesznie zsunął się po platformie z listowia. Na wąskich plecach podskakiwał plecak. Pallis stał z założonymi rękoma i napinał bicepsy.

- Gover - powiedział łagodnie - pytam cię jeszcze raz: co ty, u licha, wyrabiasz?

- Skończyłem - wymamrotał. Gover otarł wierzchem dłoni nos, lekko rozchyłając nozdrza. Po chwili cofnął świecąca rękę.

- Skończysz, kiedy ja ci to zakomunikuję. Nie wcześniej. - Pallis pochylił się nad młodzieńcem. Gover próbował uniknąć wzroku pilota. Nic nie odpowiedział. - Posłuchaj - dorzucił Pallis, wbijając palec w torbę młodzieńca. - Wciąż nosisz połowę swojego przydziału drewna na opał. Paleniska wygasają. Spójrz, w jakim stanie jest zasłona dymna.

Więcej dziur niż w twoim cholernym podkoszulku. Przez ciebie moje drzewo nie wie, w jakim kierunku się poruszać. Czujesz, jak drży? Posłuchaj, Gover. O ciebie nie dbam wcale, ale zależy mi na moim drzewie. Jeśli jeszcze raz mu zaszkodzisz, to wyrzucę cię przez krawędź.

Przy odrobinie szczęścia zostaniesz zjedzony przez Kościejów na kolację, a ja sam sprowadzę drzewo z powrotem na Tratwę. Zrozumiałeś? - Gover wisiał przed nim apatycznie, skubiąc rąbek wystrzępionego podkoszulka. Pallis przedłużał napięcie, w końcu syknął: - A teraz jazda stąd!

Gover w popłochu rzucił się do najbliższego kotła i zaczął wyciągać z plecaka szczapy drewna. Niebawem świeże kłęby dymu zasiły uszczuploną chmurę i drzenie drzewa ustało.

Pallis dusił się ze złości, obserwując niezdarne ruchy chłopca. Fakt, miał już wielu kiepskich pomocników, ale dawniej większość z nich pragnęła się uczyć.

Przynajmniej próbowała. I stopniowo, w miarę upływu ciężkich szych, z tych młodych ludzi wyrastali odpowiedzialni mężczyźni i kobiety, zahartowani psychicznie i fizycznie.

Nie dotyczyło to nowej generacji.

Pallis odbywał z Goverem trzeci lot, ale ten chłopak tak samo zawadzał i ociągał się z robotą, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przydzielono go do drzew. Pallis najchętniej przekazałby gówniarza z powrotem do sekcji naukowej.

Z niepokojem zerkał na czerwone niebo. Spadające gwiazdy wyglądały jak rząd czubków szpilek, kurczących się w miarę oddalania. Otchłanie Mgławicy przypominały ciemnopurpurową kloakę. Pallis zastanawiał się, czy jego konsekwentna pogarda dla współczesnej młodzieży nie jest tylko objawem starzenia? A może ludzie naprawdę się zmienili?

No cóż, nie ulegało wątpliwości, że otaczający go świat bardzo się zmienił.

Pogodne, błękitne niebo i powiewy rzeńskiego wiatru stały się teraz jedynie wspomnieniem;

powietrze zmieniło się w mulisty dym, który zdawał się oddziaływać negatywnie również na oddychających nim ludzi. Jeszcze jedna kwestia całkowicie pewna. Drzewo Pallisa źle reagowało na posępne otoczenie.

Mężczyzna westchnął. Usiłował otrząsnąć się z ponurych myśli. Przecież gwiazdy nadal spadały bez względu na to, jaki kolor przybierało niebo. Życie szło naprzód, a on musiał wykonywać swoją robotę.

Delikatne wibracje, które wyczuwał bosymi stopami, sugerowały, że drzewo jest teraz prawie stabilne i krąży na skraju studni grawitacyjnej jądra gwiazdy. Gover cicho poruszał się między misami paleniskowymi. Do diabła, ten chłopak potrafił pracować, gdy się go zmusiło, i ten fakt drażnił Pallisa najbardziej.

- W porządku, Gover. Chcę, żebyś utrzymywał tę warstwę, gdy ja opuścę drzewo.

Pas ma niewielką powierzchnię, zorientuję się, jeśli pokpisz sprawę.

Zrozumiałeś?

Gover skinął głową, nie patrząc na pilota.

Pallis zsunął się z listowia. Myślami był już przy trudnych negocjacjach, na które podążał.

Szychta Reesa dobiegła końca. Znużony wygramolił się z odlewni. Chłodne powietrze osuszało mu pot na czole. Czepiając się lin i dachów, dotarł do swojej kabiny.

Na miejscu uważnie obejrzał dłonie i ramiona. Kiedy jeden ze starszych robotników upuścił żelazną szufłę, Rees ledwie zdążył odskoczyć od gradu stopionych bryłek metalu. Część bryłek wbiła się jednak w ciało i wypaliła małe rany, które...

Nad Pasem pojawił się cień. Rees poczuł na plecach powiew wiatru. Spojrzał w górę i owionął go przenikliwy chłód.

Na tle karmazynowego nieba drzewo wyglądało wspaniale. Tuzin promieniście rosnących konarów wraz z liściastą otoczką obracał się z majestatycznym spokojem. Pień przypominał wielką, drewnianą czaszkę, która omiata spojrzeniem powietrzny ocean.

To szansa na ucieczkę z Pasa.

Drzewa dostawcze były jedynym znanym środkiem komunikacji między Pasem a Tratwą, dlatego po implozji w odlewni Rees postanowił, iż zabierze się następnym drzewem w podróż na Tratwę. Zaczął gromadzić zapasy żywności: pakował suszone mięso, napełnił bukłaki wodą.

Podczas szychtt przeznaczonych na sen często nie mógł zasnąć i gdy rozmyślał o

prowizorycznych przygotowaniach, na jego czole pojawiała się cienka warstwa potu.

Zastanawiał się, czy starczy mu odwagi na podjęcie decydującego kroku.

Teraz nadeszła ta chwila. Gapiąc się na wspaniałe drzewo, Rees usiłował poznać swoje emocje. Wiedział, że nie należy do bohaterów i trochę się obawiał, że strach sparaliżuje go niczym sieć. Nie czuł jednak lęku. Ustąpił nawet dokuczliwy ból rąk. Rees odczuwał tylko podniecenie. Przyszłość ograniczała się do pustego nieba, które z pewnością mogło pomieścić nadzieje młodzieńca.

Szybko wziął zawiniątko zjedzeniem, a następnie wspiął się na zewnętrzną ścianę pomieszczenia.

Z pnia drzewa zwisał sznur, który ciągnął się pięćdziesiąt metrów w kierunku Pasa, i ocierał się o orbitujące kabiny. Opuścił się na nim mężczyzna w błyszczącym kombinezonie.

Był pokiereszowany, stary i muskularny, trochę podobny do pilotowanego przez siebie drzewa. Sprawiał wrażenie pewnego siebie. Zignorował wpatzonego weń Reesa i nie ociągając się, wskoczył do jakiejś kabiny, żeby ruszyć w drogę po Pasie.

Rees przytrzymał się jedną ręką swego pomieszczenia. Rotacja Pasa systematycznie unosiła kabinę w kierunku zwisającego sznura. Uczepił się liny, kiedy od drzewa dzielił go zaledwie metr. Bez wahania opuścił Pas.

Jak zawsze pod koniec zmiany w barze „U Kwatermistrza” było bardzo tłoczno.

Pallis czekał na zewnątrz, obserwując, jak rury i pudełkowate kabiny Pasa kręcą się wokół jądra gwiazdy. Po dłuższej chwili pojawiła się Sheen, niosąca dwie okrągłe czarki z alkoholem.

Wycofali się do względnie cichego zakątka przy instalacji rurowej i w milczeniu wznieśli naczynia. Na moment spojrzeli sobie w oczy. Nieco zdezorientowany Pallis odwrócił wzrok. Ten unik wprowadził go w zakłopotanie.

A niech to kości. Przeszłość minęła.

Sączył trunek, usiłując nie wykrzywiać twarzy.

- Ten alkohol robi się coraz lepszy - stwierdził.

- Przykro mi, że nie możemy zrobić nic lepszego. - Kobieta lekko uniosła brwi. - Bez wątplenia masz bardziej wyrafinowany gust...

- Do diabła, Sheen, nie pojedynkujmy się. - Z gardła Pallisa wydobyło się westchnienie. - Tak, na Tratwie jest maszyna do produkcji alkoholu. Tak, to, co wytwarza, smakuje o wiele

lepiej niż te przerobione szczyny i wszyscy o tym wiedzą. Ale ten napitek naprawdę trochę się poprawił. Już dobrze? Czy teraz możemy przystąpić do interesów?

Obojętnie wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk alkoholu. Pallis patrzył na jej włosy, błyszczące w rozproszonym świetle, i kolejny raz ogarnęło go pożądanie. Do diabła, musi z tego wyrosnąć. Minęło chyba pięć tysięcy szycht od czasu, gdy spali razem, splótszy ciała w hamaku, a Pas cichutko toczył się wokół swej gwiazdy...

To był przelotny romansik: ot, dwoje zmęczonych ludzi decydujących się na jednorazowy seks. Teraz tamta zażyłość tylko utrudniała Pallisowi normalne wykonywanie obowiązków służbowych. Podejrzewał zresztą, że to górnicy pchnęli Sheen w jego ramiona, wiedząc, jakie robi na nim wrażenie, i mając nadzieję, iż wzmocni ich pozycję podczas negocjacji. Nie przebiali w środkach i gra z upływem czasu robiła się coraz bardziej brutalna.

Usiłował skoncentrować się na słowach kobiety.

- Dlatego nasza produkcja spada. Nie jesteśmy w stanie wywiązać się z umowy.

Gord twierdzi, że odlewnia zostanie oddana do użytku dopiero za pięćdziesiąt szycht.

I tak się przedstawia sprawa... - Sheen umilkła i rzuciła Pallisowi wyzywające spojrzenie.

Mężczyzna odwrócił wzrok i niechętnie rozejrzał się po Pasie. W szeregu kabin odlewnia przypominała wypaloną, rozpadającą się ranę. Przez chwilę wyobraził sobie, co się działo w czasie katastrofy: ściany ulegały wybrzuszeniu, z szufli wylewało się roztopione żelazo... Zadrżał.

- Przykro mi, Sheen - powiedział z wolna. - Naprawdę mi przykro, ale...

- Ale nie zostawisz nam pełnej zapłaty - przerwała mu zgryźliwie.

- Do jasnej cholery, to nie ja ustalam reguły. Mam na górze drzewo wypełnione towarami. Jestem gotów dać wam równowartość żelaza, które dostarczycie, według uzgodnionej stawki.

- Pallis, nienawidzę żebrać - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Nie masz pojęcia, jak bardzo tego nienawidzę. Ale potrzebujemy towaru. - Sheen nie spuszczała wzroku z czarki. - Nasz system kanalizacyjny zupełnie się rozpada, mamy chorych i umierających.

- Daj spokój, Sheen - powiedział ostrzej, niż zamierzał. Wysączył alkohol.

- Potrzebujesz naszego metalu, człowieku z Tratwy. Nie zapominaj o tym. - Kobieta uniosła głowę i obserwowała go.

- Sheen, przecież wiesz, że dysponujemy innym źródłem. - Pallis wziął głęboki oddech. - Pierwsza Załoga odkryła dwa gwiazdne jądra na orbitach wokół Rdzenia...

- Pamiętasz, że druga kopalnia już nie działa, prawda, Pallis? - Kobieta cicho się zaśmiała. - Jeszcze nie wiemy dokładnie, co się z nią stało, ale udało nam się uzyskać przynajmniej informację, dlatego nie próbuj się bawić w żadne gierki.

- Sheen, ta rozmowa jest bez sensu. - Pallis miał wrażenie, że wstyd rozsadza go od środka jak bańka. Czuł, jak jego twarz czerwienieje, a blizny tworzą fioletową siateczkę.

Wiedzieli. Przynajmniej udało się nam ewakuować jedyną pomocniczą kopalnię Mgławicy, zanim gwiazda spadła zbyt blisko. Przynajmniej pod tym względem zachowaliśmy się honorowo, chociaż nie starczyło nam honoru, by uniknąć kłamstw, które miały na celu utrzymanie przewagi nad ludźmi. - Ja po prostu wykonuję swoją robotę i nie mam wpływu na całą sprawę. Daję ci jedną szychtę, abyś zdecydowała, czy przyjmiesz moje warunki. Potem opuszczę Pas, bez względu na to, co postanowisz, i jeszcze jedno, Sheen, my możemy z łatwością wykorzystać żelazny złom, ale wasze jedzenie i picie nie da się spożyć ponownie.

- Mam nadzieję, człowieku z Tratwy, że twoje kości zostaną wysrane. - Sheen przyglądała mu się beznamiętnie.

Pallisowi opadły ręce. Odwrócił się i powoli ruszył do najbliższego miejsca, z którego mógł skoczyć na linę drzewa.

Górnicy wspinali się jeden po drugim na drzewo. Każdy dźwigał na plecach żelazne płyty. Pod czujnym okiem pilota płyty były umocowywane w dużych odstępach do obręczy drzewa. Następnie górnicy zeszli na Pas obładowani beczułkami z żywnością i świeżą wodą.

Ukryty w listowiu Rees nie rozumiał, dlaczego tak wiele beczulek pozostawiono wewnątrz drzewa. Siedział na długiej ponad pół metra gałęzi i zasłaniał się liśćmi, uważając, by nie rozciąć sobie dłoni ostrym jak nóż występem pędu. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, gdy się tam wgramolił, ale rozładunek drzewa na pewno trwał kilkanaście szycht.

Rees walczył z sennością. Wiedział, że nikt nie zauważy jego nieobecności w pracy przynajmniej przez kilka szycht. Pomyślał z lekkim smutkiem, że minie jeszcze więcej czasu, nim ktoś zacznie go szukać.

Teraz miał już za sobą świat Pasa. Jeśli czekały go niebezpieczeństwa, przynajmniej były one innego rodzaju niż dotychczasowe. Jak dotąd dokuczał mu tylko głód i pragnienie.

Katastrofa wydarzyła się wkrótce po znalezieniu kryjówki w listowiu. Jeden z robotników Pasa potknął się o jego zawiniątko z żywnością, i myśląc, że należy ono do znieawidzonej załogi Tratwy, podzielił się prowiantem z pozostałymi górnikiemami.

Rees miał szczęście. Nie został przez nich odkryty. Teraz jednak nie posiadał zapasów i nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o burczeniu w brzuchu. Wreszcie rozładunek został zakończony i gdy pilot uruchamiał drzewo, Rees zapomniał o głodzie.

Pallis zwinął sznur i zawiesił go na haku wbitym w pień. Wizyta dobiegła końca.

Sheen przestała się odzywać i przez kilka szycht znosił ponure milczenie.

Pokręcił głową i poczuł ulgę na myśl o powrotnym locie.

- Dobra, Gover, ruszaj w drogę! Kiedy skończę zwijać tę linę, ty masz już skierować miski na spód drzewa, napełnić je i rozpać w nich ogień. A może wolisz poczekać na następne drzewo?

Gover zabrał się do pracy całkiem żwawo. Wkrótce pod drzewem pojawiła się chmura dymu, która zasłoniła Pas i jego gwiazdę.

Pallis znajdował się obok pnia. Ręce i stopy pilota wyczuwały biel podkorowej warstwy drzewa. Miał wrażenie, że przenika potężne roślinne myśli i reakcje na zalegającą w dole ciemność. Pień wyraźnie szumiał, konary młóciły powietrze, listowie trzęsło się i szeleściło, a małe skoczki miotły się, zdezorientowane nagłą zmianą prędkości powietrza.

Potem nastąpiło budzące radość szarpnięcie i wielka obrotowa platforma uniosła się nad gwiazdą. Pas i jego człowiecza niedola skurczyły się do rozmiarów pyłku, który powoli spadał w kierunku Mgławicy. Pallis uczeplił się latającego drzewa rękami i nogami i było mu dobrze jak nigdzie indziej.

Jego zadowolenie trwało mniej więcej półtorej zmiany. Przeszukiwał drewnianą platformę, a zarazem melancholijnie spoglądał na gwiazdy, sunące przez powietrze. Wyczuł zakłócenia lotu. Och, nie były dość poważne, żeby wytrącić Govera z częstych drzemek, ale doświadczonemu Pallisowi wydały się zapowiedzią niebezpieczeństwa. Przycisnął ucho do wysokiej na kilka metrów ściany drzewa, pień warkotał wewnątrz komory próżniowej, usiłując ujednostajnić rotację drzewa.

Wyglądało na to, że ładunek został nierównomiernie rozłożony. To było jednak niemożliwe... Przecież Pallis osobiście nadzorował rozmieszczenie towaru, który musiał jednakowo obciążać wnętrze drzewa. Gdyby fachowiec przeoczył dużą nierównowagę, równie dobrze mógłby zapomnieć, jak się oddycha.

Wobec tego, co się dzieje?

Zniecierpliwiony Pallis burknął coś do siebie. Oderwał się od pnia i powędrował na

krawędź drzewa. Zaczął oglądać umocowane pakunki, metodycznie sprawdzając każdą płytę i beczułkę, jednocześnie przypominał sobie załadunek drzewa.

Gwałtownie przystanął. Jedna z beczulek z prowiantem była uszkodzona, jej plastikowa obudowa pękła w dwóch miejscach, a w środku brakowało połowy zawartości.

Pallis szybko sprawdził stojący obok pojemnik z wodą. On również został rozbity i opróżniony. Pilot poczuł swój gorący oddech.

- Gover! Gover, chodź tutaj! - Chłopak zbliżył się powoli, na jego szczupłej twarzy malował się grymas strachu. Pallis stał nieruchomo, czekając, aż Gover znajdzie się w jego zasięgu. Uderzył pomocnika prawą ręką i chwycił za ramię. Chłopak wiał się i sapał, ale nie był w stanie wydostać się z potężnego uścisku. Przełożony pokazał uszkodzone pojemniki. - Co ty na to?

- Pilocie, ja tego nie zrobiłem. - Gover był w szoku. - Nie byłbym taki głupi...

auu! - Pallis wepchnął głębiej kciuk w przegub Govera, żeby sprawić więcej bólu.

- Myślisz, że chowałem to żarcie przed górnikami po to, abyś ty mógł sobie napchać swoją bezużyteczną gębę? Ty mały kościany palancie, teraz dam ci szkołę. Kiedy wrócę na Tratwę, będę rozповідаł wszystkim, jakim jesteś łgarzem, złodziejem, gnój... - Nagle umilkł, gniew gdzieś się ulotnił. Ilość prowiantu zabrana z pojemników z pewnością nie mogła doprowadzić do utraty przez drzewo równowagi. A co do Govera, hm, w przeszłości nieraz przyłapywano go na kradzieżach, kłamstwach i jeszcze gorszych występkach, ale teraz miał rację: tylko skończony głupiec poważyłby się na coś podobnego. Pallis niechętnie puścił ramię chłopca. Gover rozcierał nadgarstek, z wyrzutem spoglądając na szefa.

Pallis drapał się w brodę. - Hm, skoro nie wzięłeś tych rzeczy, Gover, kto to zrobił? Jak myślisz?

Niech to kości, chyba mieli pasażera na gapę!

Pallis szybko kucnął i zaczął chodzić na czworakach po drewnianym konarze.

Zamknął oczy i starał się wyczuć, gdzie jest źródło leciutkiego drżenia. Jeśli brak równowagi nie występował na krawędzi, to gdzie należało go szukać?

Gwałtownie wyprostował się i niemal pędem pokonał ćwierć drogi wokół krawędzi, chwytając się listowia długimi palcami nóg. Zatrzymał się na kilka sekund i kolejny raz oplótł gałąź ramionami. Następnie, nieco wolniej, skierował się ku środkowej części drzewa i zatrzymał w połowie drogi do pnia.

W listowiu znalazł małe gniazdo. Przez skupisko liści Pallis dostrzegł strzępki wypłowiałej odzieży, pukiel rozczochranych, czarnych włosów i zwisającą, bezwładną rękę.

Doszedł do wniosku, że jest to ręka chłopca lub młodego mężczyzny, chociaż pokrywały ją liczne zgrubienia i niewielkie rany.

Pallis wyprostował się.

- No cóż, uczniu, oto przyczyna niewyważenia ładunku. Miłej szycy, szanowny panie! Czy chciałby pan teraz skosztować śniadanko? - Gniazdo eksplodowało. Z płataniny konarów wyleciał rój skoczków, a po chwili przed Pallisem stanął chłopiec z zaspanymi oczami i wykrzywioną ze strachu twarzą.

- Na kości, toż to szczur z kopalni. - Gover przysunął się do Pallisa.

Pallis spoglądał to na jednego, to na drugiego chłopca. Wydawało się, że są w tym samym wieku, ale Gover był dobrze odżywiony i kiepsko umięśniony, podczas gdy żebra przybysza sterczały jak u modelu na lekcji anatomii, zniszczone ręce świadczyły o wykonywaniu ciężkiej pracy, a mięśniów mógł mu pozazdrościć niejeden mężczyzna.

Pasażer na gapę miał sińce pod oczami. Pallis przypomniał sobie o niedawnej implozji w odlewni i zastanawiał się, jakie okropności widział ten młody górnik. Teraz jednak chłopiec buntowniczo wypiął pierś i zacisnął pięści.

- Co robimy, pilocie? Zrzucamy go Kościejom? - Gover założył ręce i szyderczo się uśmiechnął.

- Gover, czasami budzisz we mnie obrzydzenie - warknął Pallis.

- Ale... - Pomocnik zdziwił się.

- Wyczyściłeś misy paleniskowe? Nie? No, to jazda do roboty! - Rzuciwszy rozżalone i gniewne spojrzenie na przybysza, Gover zaczął niezdarnie sunąć po drzewie.

Górnik z ulgą obserwował jego odejście, a następnie odwrócił się do Pallisa. Pilot nie odczuwał już rozdrażnienia. Uniósł ręce. - Spokojnie. Nie zrobię ci krzywdy... i nie bój się tego obiboka.

Powiedz mi, jak się nazywasz.

Chłopiec poruszył ustami, ale nie wydobył żadnego dźwięku. Obliznął spieczoną wargę i zdołał wymówić:

- Rees.

- Dobrze. Ja nazywam się Pallis. Jestem pilotem drzewa. Wiesz, co to znaczy?

- T-tak.

- Na kości, jesteś wyczerpany. Nic dziwnego, że ukradłeś tę wodę. Zrobiłeś to, prawda? Jedzenie też wziąłeś?

- Przepraszam. Za wszystko panu zapłacę... - powiedział chłopiec po chwili wahania.

- Kiedy? Po powrocie na Pas?

- Nie, ja nie wracam. - Chłopiec potrząsnął głową, jego oczy załśniły.

- Posłuchaj no. - Pallis zacisnął pięści i położył je na biodrach. - Będziesz musiał wrócić. Pozwolą ci zatrzymać się na Tracie do momentu wysłania następnego drzewa dostawczego, a potem zostaniesz wyekspediowany z powrotem. Będziesz musiał popracować, żeby opłacić podróż. W porządku? - Rees jeszcze raz potrząsnął głową. Na jego twarzy malowała się determinacja. Pallis uważnie obserwował młodego górnika. Był niemile zaskoczony współczuciem, które go ogarnęło. - Nadal jesteś głodny? Na pewno chce ci się pić. Chodź. Zapasy żywności dla mnie i dla Govera znajdują się wewnątrz pnia.

Ruszył wraz z chłopcem po powierzchni drzewa. Od czasu do czasu dyskretnie zerkał na Reesa, który prawie szedł po ulistnionej platformie, szukając stopami dobrego punktu zaczepienia, by w ten sposób móc „stanać” na drzewie. Kontrast z niezdarnym gramoleniem się Govera był uderzający. Pallisowi przyszło do głowy, że z tego chłopaka mógłby wyrosnąć świetny leśnik...

Pokonawszy kilkanaście metrów, wypłoszyli stado skoczków. Małe stworzenia zawirowały tuż przed nosem Reesa. Ze strachu cofnął się krok. Pallis wybuchnął śmiechem.

- To są nasiona, z których wyrasta drzewo...

- Domyśliłem się. - Rees kiwnął głową.

- Naprawdę? - zagadnął Pallis, unosząc brwi.

- Tak. Od razu widać, że mają taki sam kształt, różnica dotyczy wyłącznie skali.

Zdumiony Pallis w milczeniu słuchał poważnego głosu młodzieńca. Kiedy dotarli do obudowy, Rees stanął przed wysokim cylindrem i pogładził chropowate drewno. Nie zauważył uśmiechu Pallisa.

- Przyłóż ucho do drzewa. No, śmiało. - Rees usłuchał pilota. Jego zaciekawienie przerodziło się w niemal komiczny zachwyt.

- To pień, który obraca się w powłoce. Widzisz, drzewo żyje aż do samego rdzenia. - Rees wytrzeszczył oczy. Tym razem Pallis nie starał się ukryć uśmiechu. - Ale ty chyba długo nie

pociągniesz, jeśli zaraz się nie posilisz. Masz...

Pallis pozwolił chłopcu drzemać przez ćwierć szychty, potem zagonił go do pracy.

Niebawem Rees schylał się nad misą paleniskową i drewnianymi łopatkami zeskrobywał z żelaznej powierzchni popiół i sadzę. Pracował szybko i starannie, nie wymagał ciągłego nadzoru. Jeszcze raz Gover wypadł niekorzystnie na tle przybysza i chyba domyślał się tego, gdyż wciąż rzucał Reesowi wrogie spojrzenia.

Kiedy upłynęła połowa szychty, Pallis przyniósł Reesowi czarkę wody.

- Masz, należy ci się przerwa. - Rees przycupnął w listowiu i zaczął zginać zeszywniałe ręce. Twarz miał brudną od potu i sadzy. Z wdzięcznością ugasił pragnienie. - W tych misach podtrzymuje się ogień - rzucił od niechcienia Pallis. - Być może już to odgadłeś. Czy rozumiesz zasadę ich działania?

Rees potrząsnął głową, na zmęczonej twarzy pojawiło się zaniepokojenie.

Pallis opisał mu prosty aparat sensoryczny drzewa. Właściwie stanowiło ono rodzaj śmigła. Gigantyczna roślina reagowała na dwa bodźce: pola grawitacyjne i światło. Wielkie lasy, różne pod względem wieku i rozmiaru, dryfowały w chmurach Mgławicy. Ich liście i gałązki chwyciły światło gwiazdne, pożywienie w postaci unoszących się roślin i zwierzątek, spijały wilgoć ze skłębionych chmur deszczowych. Rees słuchał pilota w skupieniu, kiwając głową.

- A zatem w zależności od tempa rotacji drzewo wywiera nacisk na atmosferę i może unikać studni grawitacyjnych albo zbliżać się ku światłu.

- Zgadza się. Dobry pilot umie wytworzyć opar dymu, który zasłania światło, i w ten sposób steruje lotem drzewa.

- Nie rozumiem jednak, jak drzewo może zmienić prędkość rotacji. - Rees zmarszczył czoło.

- Zadajesz dobre pytania - powiedział zdziwiony Pallis. - Spróbuję ci to wytłumaczyć.

Powłoka drzewa składa się z wydrążonego cylindra, w którym tkwi inny lity cylinder.

Nazywa się on pniem i jest zawieszony w komorze próżniowej. Powłoka i pozostała część drzewa są wykonane z lekkiego, drobnowłóknistego drewna, za to pień składa się ze znacznie solidniejszego materiału, a komorę próżniową przecinają liczne żeberka i podpórki przeciwdziałające zawaleniu się konstrukcji. Pień obraca się we własnej komorze.

Podobne do mięśni włókna sprawiają, że wiruje szybciej niż skoczek. Jeśli drzewo pragnie przyspieszyć rotację, nieco zwalnia szybkość pnia i doprowadza do przekazania energii

jego obrotu. Natomiast jeśli drzewo chce wytracić szybkość, jak gdyby z powrotem przekazuje pniowi część energii obrotu. Pallis starał się dobrać proste sformułowania.

Przypominał sobie oderwane, niezbyt przejrzyste fragmenty wykładów naukowców: momenty bezwładności, zachowanie momentu pędu... Zrezygnowany, wzruszył ramionami. - Hm, nie umiem wytłumaczyć jaśniej. Zrozumiałeś coś?

- Myślę, że tak. - Rees skinął głową.

Wydawało się, że odpowiedź Pallisa całkowicie go satysfakcjonuje. Jego radosna mina nasunęła Pallisowi skojarzenie z uczonymi, z którymi kiedyś pracował. Oni również cieszyli się z odkrywania zasad funkcjonowania świata.

Gover ponuro obserwował pilota i Reesa.

Pallis z wolna wycofał się na swoje stanowisko przy powłoce. Zastanawiał się, jakie wykształcenie zdobywa przeciętny górnik. Prawdopodobnie Rees nawet nie umiał czytać. Z pewnością już jako dziecko musiał pracować w odlewni albo schodzić na skruszałą powierzchnię żelaznej gwiazdy, aby tam zaprzęgać mięśnie do niewdzięcznej harówki...

Pallis ze smutkiem uświadomił sobie, że chłopak musiał tam schodzić z powodu modelu gospodarki panującego w Mgławicy i że on sam jako pilot drzewa bierze udział w podtrzymywaniu tego niesprawiedliwego układu.

Pokręcił głową, niezadowolony z siebie. Nigdy nie akceptował do końca głoszonej na Tratwie teorii, iż górnicy to kategoria podludzi, nadająca się jedynie do ciężkiej pracy. Jaka była przeciętna długość życia górnika? Trzydzieści tysięcy szycht? Może mniej?

Czy Reesowi wystarczy życia, aby nauczyć się, czym jest moment pędu? Obsługując drzewo, z pewnością czułby się jak ryba w wodzie. Pallis ze smutkiem przyznał w duchu, że najodpowiedniejszym zajęciem dla tego chłopca mogłaby być kariera uczonego.

W głowie pilota zaczął się rodzić plan.

Rees zbliżył się do powłoki i wziął porcję przysługującą mu pod koniec szychty.

Z roztargnieniem spojrzał na puste niebo. W miarę, jak drzewo oddalało się od Rdzenia i sunęło w górę ku Tratwie, na skraj Mgławicy, powietrze rozjaśniało się. Wraz z wiatrem szumiącym w gałęziach dobiegał inny dźwięk. Młody górnik miał wrażenie, że słyszy nieharmonijny, donośny i tajemniczy krzyk. Spojrzał pytająco na Pallisa. Pilot uśmiechnął się.

- To pieśń wieloryba. - Rees gorliwie rozejrzał się dookoła. - Na twoim miejscu nie zadawałbym sobie trudu. Ta bestia może być daleko stąd... - Pilot w zamyśleniu obserwował

młodzieńca. - Rees, jeszcze nie powiedziałaś mi jednej rzeczy. Jesteś pasażerem na gapę, zgadza się? Ale przecież nie masz pojęcia, jak jest na Tratwie, więc... dlaczego to zrobiłaś?

Przed czym uciekasz?

- Ja przed niczym nie uciekam, pilocie. - Rees zmarszczył czoło, zastanawiając się nad pytaniem. - W kopalni trudno wytrzymać, ale to przecież mój dom. Opuściłem tamto miejsce, żeby znaleźć odpowiedź.

- Odpowiedź? Na jakie pytanie?

- Dlaczego Mgławica umiera.

Pallis patrzył na zatroskanego chłopca i czuł, że po plecach przechodzą mu ciarki.

Rees obudził się w swoim gniazdku bardzo pokrzepiony. Zobaczył nad sobą Pallisa, którego sylwetkę podkreślało jasne niebo.

- Zmiana szychty - odezwał się lakonicznie pilot. - Czeka nas ciężka robota: dokowanie, rozładunek i...

- Dokowanie? - Rees otrząsał się z resztek snu. - W takim razie przybyliśmy do celu?

- Ma się rozumieć! - Pallis pokazał zęby w uśmiechu. Odsunął się na bok. Na niebie za jego plecami majaczyła potężna Tratwa.

ROZDZIAŁ 3

Hollerbach skończył studiować raport z laboratorium. Piekły go oczy. Zdjął okulary, położył na biurku i zaczął starannie masować grzbiet nosa.

- Och, usiądźże, Mith - powiedział ze znużeniem w głosie.

Kapitan Mith nie przestawać krążyć po biurze. Na jego twarzy z czarnym zarostem malowała się wściekłość, a pokaźny brzuch zabawnie podskakiwał. Hollerbach zauważył, że brzeg kombinezonu Mitha jest wystrzępiony i nawet złote oficerskie naszywki na kołnierzyku zupełnie zmatowiały.

- Mam usiąść? Jak ja, u licha, mogę siadać? Chyba wiesz, że muszę prowadzić Tratwę.

- Oczywiście, ale... - Hollerbach cicho jęknął.

- Podczas gdy wy, uczeni, łazicie tutaj z kąta w kąt, moi ludzie zapadają na choroby i umierają... - Mith zdjął z zagraconej półki model planetarium i potrząsnął nim.

- Och, na kości, Mith, daruj sobie świętoszkowate teksty! - zawołał Hollerbach.

- Twój ojciec był taki sam. Ciągłe kazania, z których nie ma żadnego pożytku. - Mith otworzył usta. - Posłuchaj no, testy laboratoryjne wymagają czasu. Pamiętaj, że sprzęt, na którym pracujemy, liczy sobie setki tysięcy szycht. Robimy, co możemy, ale szybciej się nie da, nawet pomimo całego zamieszania w Mgławicy. I bądź łaskaw odłożyć planetarium na miejsce.

- Dlaczego, do cholery, miałbym cię posłuchać, stary palancie? - Mith popatrzył na zakurzony przyrząd.

- Ponieważ to jedyny model we wszechświecie. Nikt nie wie, jak go naprawić. Sam jesteś starym palantem.

- Dobrze już, dobrze. - warknął Mith, po czym roześmiał się gardłowo. Odłożył model na półkę i przysunął krzesło z twardym oparciem. Kiedy usiadł, wydatny brzuch oparł mu się aż na udach. Spojrzał na Hollerbacha zatroskanym wzrokiem. - Posłuchaj, naukowcu, nie powinniśmy brać się za łby. Musisz zrozumieć, jak bardzo jestem zaniepokojony i jak bardzo boi się załoga.

- Naturalnie, że rozumiem, kapitanie. Hollerbach położył pełne ciemnych plam ręce na biurku. Obrócił w palcach stare okulary i westchnął. - Nie musimy czekać na wyniki badań laboratoryjnych. Doskonale wiem, czego się z nich dowiemy.

- Czego? - Mith przyjrzał się swoim dłoniom.

- Że cierpimy na niedobór białka i witamin. Dotyczy to zwłaszcza dzieci. Choroby kości i

skóry oraz zaburzenia rozwoju na które cierpią, występowały w czasach tak archaicznych, że nie wspominają o nich nawet wydruki medyczne Statku. - Hollerbach pomyślał o swoim, liczącym zaledwie cztery tysiące szycht, wnuku. Kiedy dotykał jego szczupłych nóżek, czuł zniekształcone kości. - Hm, naszym zdaniem, dystrybutory żywności nie są uszkodzone.

- Skąd ta pewność? - prychnął Mith.

- Oczywiście, nie jestem pewien - przyznał Hollerbach z irytacją w głosie.

Przetarł oczy. - Posłuchaj, Mith, ja tylko stawiam hipotezy. Możesz je przyjąć albo zaczekać na testy.

- W porządku, w porządku. Mów dalej. - Mith oparł się o krzesło i uniósł dłonie.

- Doskonale. Jeśli chodzi o wyposażenie Tratwy, najwięcej wiemy, z konieczności, o dystrybutorach żywności. Właśnie poddajemy te bestie gruntownemu przeglądowi, ale nie sądzę, abyśmy wykryli jakąś usterkę.

- W takim razie, gdzie tkwi problem?

- Czy to nie oczywiste, Mith? - Hollerbach podniósł się z krzesła, gdyż poczuł znajome klucie w prawym biodrze. Podszedł do otwartych drzwi i wyjrzał na zewnątrz. - W latach mojego dzieciństwa niebo było błękitne jak oczy niemowlęcia. Teraz mamy dzieci, a nawet dorosłych, którzy nie wiedzą, jak wygląda błękit. Przeklęta Mgławica uległa zakwaszeniu. Dystrybutory czerpią energię ze związków organicznych w atmosferze Mgławicy i, naturalnie, przenoszonych drogą powietrzną roślin i zwierząt. Mith, mamy do czynienia z cyklem przerobu odpadów. Maszyny nie działają cudów. Nie wytwarzają przyzwoitej żywności ze śmieci. I na tym polega problem.

- Co możemy zrobić? - zapytał wreszcie po długim milczeniu.

- Nie mam pojęcia - odparł nieco szorstkim tonem Hollerbach. - Ty jesteś kapitanem.

- Do diabła, skończ z tymi protekcyjnymi uwagami. Co mam powiedzieć załodze?

- Mith ociężale wstał z krzesła i zbliżył się do Hollerbacha. Sędziwy naukowiec poczuł na karku jego gorący oddech. Kapitan naciskał na starca wielkim brzuchem.

- Powiedz im, żeby nie tracili nadziei - Hollerbach poczuł ogromne zmęczenie.

Wyciągnął rękę w stronę drzwi i pożałował, że jego krzesło stoi daleko od wyjścia. - Powiedz, że robimy wszystko, co się da. Albo nic im nie mów. Zrób, co uznasz za stosowne.

Mith zastanawiał się przez chwilę.

- Oczywiście, nie masz jeszcze wszystkich wyników - stwierdził z nadzieją w głosie. -

Jeszcze nie zakończyliście przeglądu maszyn, prawda?

- Jeszcze nie. - Hollerbach potrząsnął głową i przymknął oczy.

- Może jednak to maszyny są zepsute. - Mith klepnął uczonego dłonią wielką jak żelazna płyta. - W porządku, Hollerbach. Dzięki. Bądź ze mną w stałym kontakcie.

- Naturalnie. - Hollerbach zeszywniał.

Mith szedł dużymi krokami po pokładzie. Nie należał do szczególnie bystrych osób, ale był porządnym facetem, może nie tak porządnym jak jego ojciec, ale z pewnością przyzwoitszym od tych, którzy domagali się zmiany kapitana.

Kto wie, czy wobec ciężkiego położenia Tratwy nie przydałby jej się jakiś wesołek, który podtrzymywałby ludzi na duchu, pomimo iż powietrze zamienia się wirujący gaz...

Hollerbach roześmiał się na tę myśl. Przestań, Hollerbach, naprawdę robi się z ciebie stary palant.

Poczuł, że coś go piecze w łysinę, i spojrzał do góry. To gwiazda emitowała gorące promienie. Poruszała się po orbicie, która wciąż zbliżała ją do drogi Tratwy. A zatem znajdowała się już tak blisko, że mogła przypiec skórę? Hollerbach nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek pozwolono na tak niebezpiecznie bliskie położenie gwiazdy.

Tratwa już dawno powinna zostać przemieszczona. Doszedł do wniosku, że musi szybko skontaktować się z nawigatorem Cipse'em i jego chłopakami.

Przemknął cień. Naukowiec spostrzegł, że daleko nad Tratwą wiruje drzewo. To Pallis wracał z Pasa. Jeszcze jeden porządny facet, tak niewielu ich pozostało.

Przetarł obolałe oczy i zaczął obserwować płyty pokładowe, na których stał.

Rozmyślał, ile istnień ludzkich pochłonęło utrzymywanie metalowej wysepki w powietrzu przez tak długi okres. Czy teraz ludzkość wyginie z powodu zatrutego powietrza?

Może lepiej byłoby nie usuwać Tratwy poza zasięg gwiazdy. Może powinna wylecieć w powietrze jako ostatni przebłysk ludzkiej chwały...

- Czy można, proszę pana? - Przed uczonym stanął Grye, jeden z jego asystentów.

Pulchny człowieczek nerwowym ruchem wyciągnął w kierunku Hollerbacha pognieciony plik kartek. - Wykonaliśmy następną serię testów.

- No, nie stój tak, człowieku. - Znowu miał robotę. - Bezczynność nie przynosi pożytku. Wprowadź dane i powiedz mi, co z nich wynika. - Odwrócił się i pierwszy wszedł do gabinetu.

Tratwa robiła się coraz większa, aż w końcu przesłoniła pół Mgławicy, rzucając wielki

cień na przestrzenie zapyłonego powietrza. Gwiazda, szeroka na milę kula żółtego ognia, znajdowała się nad nią w znacznej odległości.

Pod dozorem Pallisa Rees i Gover rozpalili ogień w misach paleniskowych i zaczęli się piąć po drzewie. Potem machali dużymi, lekkimi kocami, żeby rozwiać kłęby dymu. Pallis krytycznie przyjrzał się dymnemu baldachimowi. Wciąż był niezadowolony, toteż warknął na chłopców. Jednak drzewo wznosiło się bardzo pewnie i w równomiernym tempie.

Powoli skierowało się ku Krawędzi Tratwy.

W trakcie pracy Rees wypytywał Pallisa o każdy widoczny element Tratwy. Z dołu wysepka przypominała chropowaty, szeroki na pół mili dysk. Metalowe płyty rozpraszały blask gwiazd, a z kilkudziesięciu otworów na pokładzie promieniowało światło. W miarę jak drzewo zbliżało się do miejsca przeznaczenia, Tratwa przybierała kształt elipsy o niejednolitej powierzchni. Na krawędziach najbliższych płyt Rees dostrzegł okopcone ślady po spawaniu.

Gdy powiódł wzrokiem po podobnej do sufitu powłoce, płyty zaczęły się zlewać w niewyraźną plamę, a dalej położony brzeg Tratwy tworzył poziomą linię horyzontu.

Wreszcie, przy akompaniamencie podmuchów wiatru, drzewo wzniosło się ponad Krawędź i Rees zobaczył, że otwiera się przed nimi górny poziom Tratwy.

Przysunął się do krawędzi drzewa. Ukrył ręce w listowiu i z otwartymi ustami patrzył na hałaśliwą i barwną Tratwę.

Tratwa przypominała ogromny półmisek i pulsowała życiem. Jej powierzchnia była usiana świetlnymi punkcikami, które nasuwały skojarzenie z lukrem na ciastku. Na pokładzie znajdowały się budowle o przeróżnych kształtach i rozmiarach, zbudowane z drewnianych płyt oraz karbowanego metalu i stłoczone niczym zabawki. Wokół całej Krawędzi krążyły niezdarnie, niby milcząca straż, maszyny, których wysokość odpowiadała pomnożonemu dwukrotnie wzrostowi przeciętnego mężczyzny. Na środku Tratwy leżał ogromny, srebrny cylinder. Na tle klockowatych brył wyglądał jak schwytyany wieloryb.

Rees wyczuwał rozmaite zapachy, świeży ozon z maszyn, warsztatów i fabryk Krawędzi mieszał się z odorem drewna, spalane w kominach, i nieco egzotycznymi aromatami, które unosiły się z kabin.

Ludzi było więcej, niż byłby w stanie zliczyć. Tworzyli ogromną masę, która bez trudu wchłonęłaby wszystkich mieszkańców Pasa. Poruszali się po Tratwie, wypełniając arterie niby wezbrane potoki. Tu i ówdzie grupki dzieci wybuchały śmiechem.

Rees zobaczył solidne, przytwierdzone do pokładu piramidy, które sięgały przeciętnemu mężczyźnie najwyżej do pasa. Młody górnik zmrużył oczy, aby obejrzeć cały pokład. Przekonał się, że piramidy umieszczono wszędzie. Obok jednego z metalowych stożków siedziała jakaś para: mężczyzna cicho rozmawiał z kobietą, opierając się o obiekt nogą. Gromadka dzieciaków biegała między ustawionymi w szereg piramidami, bawiąc się w skomplikowaną odmianę berka.

Z każdej stożkowej budowli odchodziła w górę lina. Rees odchyliwszy głowę do tyłu, powiódł wzrokiem wzdłuż lin i wstrzymał oddech ze zdziwienia. Każda lina przymocowana była do drzewa.

Widok latającego drzewa wprowadził już Reesa w stan oszołomienia. Teraz, lecąc nad Tratwą, miał przed sobą potężny las. Wszystkie liny, mocno naprężone, utrzymywały się w pionie. Rees miał wrażenie, że czuje, z jakim wysiłkiem uwiązane drzewa przeciwstawiają się przyciąganiu Rdzenia. Przenikanie przez wirujące rzędy drzew powodowało rozproszenie światła Mgławicy, dlatego też pokład Tratwy tonął w kojącym mroku, a skoczki tańczące wokół lasu zmieniały kolor światła, nadając mu pasteloworóżową tonację.

Drzewo Reesa unosiło się do momentu osiągnięcia najwyższego poziomu lasu. Tratwa nie wyglądała już jak kolorowy obraz i znowu była tylko wysepką w powietrzu, ozdobioną gęstym, przemieszczającym się listowiem. Niebo nad głową młodzieńca wydawało się ciemniejsze niż zwykle, dlatego gdy spoglądał w dół, na otaczającą Rdzeń mgłę, miał wrażenie, iż zawisł na samym skraju Mgławicy. W całym wszechświecie jedyny ślad istnienia ludzkości stanowiła Tratwa, kawałek metalu pozbawiony namacalnego oparcia.

Ktoś położył Reesowi rękę na ramieniu. Podskoczył i zobaczył Pallisa.

- Co się dzieje? Nigdy przedtem nie widziałeś kilku tysięcy drzew?

- Ja... - wyjąkał Rees czerwieniąc się.

- Rozumiem, co czujesz. - Pallis uśmiechał się. - Dla wielu ludzi to normalka.

Mimo wszystko, ilekroć oglądam ten widok z zewnątrz, ciarki chodzą mi po grzbiecie.

W głowie Reesa kołatało mnóstwo pytań. Jak się chodzi po tej powierzchni? Co czuli budujący Tratwę, wisząc w próżni nad Rdzeniem? Pallis nie miał jednak czasu na odpowiedzi: trzeba było wykonać robotę. Rees dźwignął się z miejsca i owinał stopy listowiem jak przystało na rasowego leśnika.

- Coś ci powiem, górniku - oznajmił Pallis. - Kierujemy lotem drzewa. Musimy opaść z powrotem w las. Napelnij miski paleniskowe. Zasłona dymna ma być tak gruba, jakbym miał po

niej chodzić. Zrozumiano?

Wydawało się, że Pallis jest usatysfakcjonowany pozycją drzewa nad Tratwą.

- W porządku, chłopcy. Teraz!

Gover i Rees biegali między misami paleniskowymi i wrzucali do ognia garście wilgotnego drzewa. Dym tworzył wielką czaszę. Gover kaszłał i przeklinał, oczy Reesa mocno łzawiły, a czarny od sadzy opar drapał go w gardle.

Młody górnik omal nie spadł z listowia, kiedy drzewo przechyliło się i zaczęło uwalniać od dymnej zasłony. Popatrzył na niebo. Spadające gwiazdy nie krążyły już tak szybko. Domyślił się, że na skutek prób oderwania się od ciemnego dymu drzewo wirowało mniej więcej o jedną trzecią wolniej.

Pallis rzucił się do obudowy i rozwinął linę. Zanurzył się w listowiu i popuszczał linę, uważając, aby nie zahaczała o inne drzewa.

Drzewo szybowało przez zewnętrzne warstwy lasu. Każde mijane drzewo powoli się obracało i naprężało krepującą je linę. Tu i ówdzie Rees widział czołgających się przez listowie mężczyzn i kobiety, którzy machali do Pallisa, wykrzykując coś.

Kiedy drzewo znalazło się w cieniu rzucanym przez las, zaczęło odwracać liście w różnych kierunkach, jakby próbowało ocenić nieregularny wzór, utworzony z padającego na nie światła. Po chwili jednak zaczęło się obracać szybciej. Płynnym ruchem uniosło się o kilka metrów i gwałtownie zastygło w powietrzu. Lina przymocowana do jego obudowy była teraz naprężona; ciągnęła drzewo, lekko drżąc. Zgodnie z przypuszczeniem Reesa jej drugi koniec dosięgnął pokładu Tratwy i został przytwierdzony przez dwóch mężczyzn do jednej z piramid.

Rees uklęknął i dotknął drzewa. Żywica płynąca wewnątrz konaru sprawiała, że jego powierzchnia pulsowała jak skóra. Młodzieniec wyczuwał zdenerwowanie, z jakim drzewo usiłowało wybrnąć z pułapki, i ogarnęła go litość.

Pallis zakończył sprawdzanie liny, a potem ruszył po drewnianej platformie, żeby się upewnić, czy wszystkie misy zostały wygaszone. Następnie wrócił do obudowy i z wgłębienia w drzewie wyciągnął plik papierów. Przykucnął i z cichym szelestem dał nurka w listowie. Po chwili wystawił głowę, rozglądał się dookoła, aż wreszcie dostrzegł Reesa.

- Czyżbyś nie szedł, chłopcze? Pozostanie tutaj nie ma sensu. Ta sędziwa dama nie wybierze się nigdzie co najmniej przez kilka szycht. No, chodź, nie każ Goverowi czekać na zarcie.

Rees z wahaniem ruszył w kierunku obudowy. Pallis opuścił drzewo jako pierwszy.

Po jego skoku Gover syknął:

- Jesteś z dala od domu, szczurze z kopalni. Zapamiętaj: tutaj nic do ciebie nie należy.

Nic. - Wypowiedziawszy te słowa, asystent Pallisa zanurzył się w listowiu.

Serce waliło Reesowi jak młot, poszedł jednak w jego ślady.

Jak trzy krople wody mężczyźni zsuwali się przez nasycony zapachami ciemny las.

Rees szybko opuszczał się po cienkiej linie. Na początku schodzenie nie sprawiało trudności, lecz rozproszone pole grawitacyjne zaczęło przyciągać jego stopy.

Pallis i Gover czekali na drugim końcu i obserwowali manewry młodzieńca. Na ostatnim metrze Rees rozhuśtał się, żeby uniknąć stromych boków stożka kotwicznego, i lekko wylądował na pokładzie.

Do przybyczy podszedł człowiek ze zniszczonym notesem w ręku. Był potężnej postury, a jego czarne włosy i zarost nie zakrywały całkowicie blizn, które wydawały się jeszcze bardziej sine niż Pallisa. Na naramienniku kombinezonu miał czarną, błyszczącą naszywkę. Na widok Reesa bardzo się nasrożył. Górnik cofnął się, przerażony siłą jego spojrzenia.

- Miło znowu cię powitać, Pallis - odezwał się mężczyzna ponurym tonem. - Widzę jednak, że sprowadziłeś połowę swojej rasy.

- Niezupełnie, Decker - odparł chłodno Pallis i wręczył rozmówcy dokumenty.

Mężczyzna nachylił się nad listami pilota.

Gover niecierpliwie szurał nogami po pokładzie, wycierając nos wierzchem dłoni.

Rees przyglądał się wszystkiemu wytrzeszczonymi oczami. Patrzył na pokład, budynki i pełnych energii ludzi. Skala tego świata przyprawiała go o zawrót głowy i zaczynał marzyć o powrocie do spokojnego, pełnego ograniczeń życia na Pasie.

Usiłował przezwyciężyć zawroty głowy. Skoncentrował się na silnym działaniu grawitacji i na lśniącej powierzchni pod stopami. Na próbę zastukał w pokład.

Dźwięcznie rozbrzmiał. Spokojnie - mruknął Pallis. Skończył załatwiać swoje sprawy i stanął przed młodym górnikiem. - Przeciętna grubość tej płyty wynosi zaledwie jeden milimetr, ale wzmacniają ją skarpy.

- Wygląda na pół g. - Rees ugiął nogi i skoczył kilkanaście centymetrów w górę.

Po chwili łagodnie opadł na pokład, czując przyciąganie.

- Blżej czterdziestu procent. - Pallis kiwnął głową. - Znajdujemy się w studni grawitacyjnej samej Tratwy. Oczywiście, przyciąga nas również Rdzeń Mgławicy, ale jego wpływ jest bardzo mały, a poza tym i tak nie moglibyśmy go wyczuć, ponieważ Tratwa jest na orbicie wokół Rdzenia. - Zadań głowę, żeby spojrzeć na las. - Większość ludzi sądzi, że drzewa są po to, aby odciągać Tratwę od Rdzenia, rozumiesz? One jednak pełnią funkcję stabilizującą. Zabezpieczają Tratwę przed przechyłem oraz przeciwdziałają wpływom wiatrów i pozwalają nam przemieszczać Tratwę, ilekroć zachodzi taka konieczność... - Pallis pochylił się nad Reesem i spojrzał mu w twarz. Jego blizny były intensywnie szkarłatne. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz na zamroczonego.

- Nic mi nie jest. - Rees silił się na uśmiech. - Trochę się niepokoję, że nie jestem na pięciominutowej orbicie.

- No cóż, jakoś się przyzwyczaisz. - Pallis roześmiał się. - A teraz posłuchaj, młody człowieku. - Wyprostował się. - Muszę podjąć decyzję, co z tobą zrobić.

Rees poczuł lodowaty dreszcz. Wybiegał myślą w przyszłość do momentu, gdy zostanie porzucony przez pilota, i od razu ogarnęła go pogarda dla samego siebie. Czyżby zuchwale opuścił swój dom tylko po to, by uzależnić się od uprzejmości obcego człowieka?

Gdzież się podziała jego odwaga?

Wyprostował się i uważnie słuchał słów Pallisa.

- Muszę odszukać jakiegoś oficera - zastanawiał się głośno pilot, drapiąc pokryty szczecina podbródek. - Odnotować cię w dzienniku pokładowym jako pasażera na gapę.

Załatwić ci tymczasowy przydział do klasy, dopóki nie wyśle się następnego drzewa. Tyle papierkowej roboty, niech to diabli... Jestem zbyt zmęczony, w dodatku głodny i brudny.

Zostawmy to do następnej szychty. Rees, możesz się zatrzymać w mojej kabinie, dopóki nie uporządkujemy spraw. Ty również, Gover, chociaż nie jest to zbyt nęcąca perspektywa. - Pomocnik patrzył w dal. Nawet nie spojrzał na pilota. - Nie mam zapasów dla takich trzech dorastających chłopaków jak my. Prawdę mówiąc, nie starczyłoby ich nawet dla jednego.

Gover, pojedź na Krawędź i zamów na mój numer równowartość kilku szycht, dobrze?

Ty też, Rees, dlaczego by nie? Spodoba ci się podróż. Ja idę do kabiny, żeby zmyć przynajmniej kilka warstw kurzu.

W ten sposób Rees zaczął się przedzierać przez płataninę lin w ślad za pomocnikiem Pallisa, który wysforował się do przodu, nie raczywszy na niego zaczekać. W mrocznym, pełnym

drzew świecie nieprzychylny Gover stanowił dla Reesa jedyny stały punkt odniesienia, toteż młodzieniec starał się nie tracić go z oczu.

Zbliżyli się do wyciętego w sieci lin przejścia, w którym roіło się od ludzi.

Gover stanął tuż przed wejściem, ponuro milcząc; najwyraźniej na coś czekał. Rees tkwił obok niego i rozglądał się dookoła. Oczyszczona, prosta droga była szeroka na dziesięć metrów. Kiedy się nią szło, przypominała okolony drzewami, równomiernie oświetlony tunel. Rees zauważył, że kłosze są przytwierdzone do lin w taki sam sposób, jak kłosze w czeluściach gwiezdnej kopalni.

Po drodze chodziło pełno ludzi. Poruszali się w obu kierunkach żwawym, uporządkowanym strumieniem. Niektórzy zwracali uwagę na niechlujny wygląd Reesa, ale większość grzecznie patrzyła w drugą stronę. Wszyscy przechodnie nosili czyste i porządne ubrania, lecz mieli podkrążone oczy i blade policzki, jak gdyby Tratwę prześladowała tajemnicza choroba. Mężczyźni i kobiety ubrani byli w taki sam typ kombinezonu z cienkiego, szarego materiału. Niektórzy mieli na ramionach lub mankietach złote naszywki, często wymyślnie haftowane. Rees zerknął na swoją postrzępioną tunikę i przeżył wstrząs, rozpoznawszy w niej sędziwego potomka odzieży noszonej przez populację Tratwy.

Czyżby górnicy nosili odrzuty z Tratwy?

Zastanowił się, jak skomentowałaby to Sheen...

Dwaj mali chłopcy stanęli przed Reesem i ze zdumieniem patrzyli na obszarpaną tunikę. Mocno zakłopotany, syknął do Govera:

- Na co czekamy? Dlaczego nie idziemy dalej?

Gover odwrócił głowę i spojrzał na Reesa z bezgraniczną pogardą. Młody górnik uśmiechnął się niepewnie do chłopców, lecz oni wciąż wlepiali w niego oczy.

Ze środkowej części Tratwy dobiegł łagodny szum. Rees z ulgą wyszedł na arterię komunikacyjną i zdziwił się na widok szeregu twarzy, sunących ku niemu ponad tłumem.

Gover zbliżył się do górnika i podniósł rękę. Rees obserwował go ciekawie. Teraz szum przerodził się w ryk. Rees odwrócił się i zobaczył zaokrąglony dziób kreta.

Maszyna jechała wprost na niego. Odskoczył do tyłu, z trudem unikając zderzenia z rozpędzonym cylindrem.

Kret stanął kilka metrów od Govera i Reesa. Do jego górnej powierzchni został przymocowany rząd prostych krzeseł, na których siedzieli ludzie.

Rees otwierał i zamykał usta. Spodziewał się wspaniałych widoków na Tratwie, a nie czegoś podobnego! Mali chłopcy rozdziawili buzie, patrząc na jego błazeńskie miny. Gover śmiał się od ucha do ucha.

- Co jest grane, szczurze z kopalni? Nigdy nie widziałeś autobusu? - Młody pomocnik podszedł do kreta, rozkołysał się i z wprawą zajął puste miejsce.

Rees potrząsnął głową i szybko poszedł za Goverem. Dolną część kreta opasywała niska półka. Rees wszedł na nią i ostrożnie się obrócił, a następnie opadł na siedzenie obok Govera. Kret ruszył, gwałtownie szarpiając. Rees potoczył się na bok i kurczowo chwycił poręcz krzesła. Musiał się wykręcić, żeby mieć dobry widok. W końcu gładko poszybował nad głowami przechodniów.

Chłopcy biegli za kretem, pokrzykując i machając rękami. Rees zachował całkowitą obojętność, toteż po kilku metrach zmęczeni się i dali za wygraną.

Rees utkwiał wzrok w siedzącym obok szczupłym mężczyźnie w średnim wieku.

Obserwował on górniką z nie tajoną pogardą, a potem, niemal niepostrzeżenie, przesunął się na dalej położony brzeg krzesła.

Rees zwrócił się do Govera:

- Nazywasz mnie „szczurem z kopalni”. Co znaczy słowo „szczur”?

- Stworzenie ze starej Ziemi - wyjaśnił szyderyczym tonem Gover. - Szkodnik, najpodlejsza z podłych kreatur. Słyszałeś o Ziemi? - To miejsce, z którego my pochodzimy - oznajmił podkreślając wyraz „my”.

Rees rozważał odpowiedź, przyglądając się maszynie.

- Jak nazwałeś to urządzenie?

- To autobus, szczurze z kopalni. - Gover popatrzył na górniką z udawaną litością. - Ot, taka drobnostka, z której korzystamy w cywilizowanym świecie.

Rees spoglądał na zarysy obciążonego meblami i pasażerami cylindra. Typowy kret.

Osmalone wgłębienia wskazywały, w którym miejscu oderwano jakiś element. Pod wpływem impulsu Rees pochylał się i wyrzynał pięścią w powierzchnię autobusu.

- Status!

Gover uparcie ignorował górniką. Rees czuł na sobie pełen obrzydzenia, zdumiony wzrok chudego sąsiada. Po chwili autobus głośno zameldował:

- Poważna awaria czujnika pomiarowego. - Głos wydobywał się spod krzesła, które

zajmował szczupły osobnik. Ten podskoczył i, szeroko otworzywszy usta, gapił się w dół.

- Jak to zrobiłeś? - Zainteresowany Gover zerknął niechętnie na Reesa.

- Och, drobiazg. - Uśmiechnięty Rees rozkoszował się chwilą. - Widzisz, w miejscu, z którego przybywam, także mamy te... aha, autobusy. Kiedyś ci o tym opowiem. - Z całkowicie obojętną miną rozsiadł się na krześle, aby czerpać z jazdy większą przyjemność.

Podróż trwała zaledwie kilka minut. Autobus często się zatrzymywał, a pasażerowie wsiadali i wysiadali na każdym przystanku.

Nagle płatanina lin ustąpiła miejsca odkrytemu pokładowi. Niczym nie zasłonięte światło Mgławicy oślepiło Reesa. Kiedy obejrzał się do tyłu, liny wyglądały jak mur z metalowych elementów, wysoki na setki metrów i zakończony tarczami liści.

Przód autobusu zaczął się unosić. Rees sądził, że zwodzi go własna wyobraźnia.

Zauważył jednak, że pasażerowie zmieniają miejsca, a przechył wzrasta. Nabral pewności, że zaraz ześlizgnie się po metalowym zboczu z powrotem w kierunku lin.

Zmęczony pokręcił głową. Jak na jedną szczytę, zobaczył zbyt wiele niesamowitych rzeczy. Gdyby chociaż Gover podał mu kilka informacji o tym, co się dzieje...

Przymknął powieki. Uspokój się, przemyśl to wszystko, tłumaczył sobie. Przywołał z pamięci widok Tratwy z lotu ptaka. Czy miała kształt misy? Nie, aż do Krawędzi była zupełnie płaska, to nie ulegało wątpliwości. W takim razie, o co tutaj chodzi?

Przeszył go strach. A może Tratwa spada! Nie można wykluczyć, że liny tysiąca drzew zerwały się albo Tratwa wywraca się, wyrzucając ludzi w powietrzną otchłań...

Ta myśl pochłaniała go coraz bardziej. Autobus wyjeżdżał ze studni grawitacyjnej Tratwy, najgłębszej w centralnej części struktury. Gdyby teraz zawiodły hamulce, autobus potoczyłby się do samego środka Tratwy... zupełnie jakby jechał w dół. W rzeczywistości Tratwa stanowiła płaski, umocowany w przestrzeni obiekt. Jednak za sprawą pola grawitacyjnego przyciągającego ku jej centrum, ktoś, kto stał blisko Krawędzi, ulegał złudzeniu, iż Tratwa się przechyla.

Kiedy skończyła się stromizna, autobus gwałtownie przystanął. Obok trasy znajdowały się schodki, które prowadziły do samej Krawędzi. Pasażerowie zeskoczyli z pojazdu.

- Ty zostajesz tutaj - oznajmił Gover Reesowi, po czym ruszył za innymi po niskich schodkach.

Przy samej Krawędzi majaczyła potężna sylwetka maszyny dostawczej. Pasażerowie

ustawili się przed nią w kolejce.

Rees posłusznie siedział na swoim miejscu. Miał wielką ochotę przyjrzeć się urządzeniu. Pamiętał jednak, iż ma przed sobą jeszcze jedną szychcę i sporo czasu, żeby zgłębić tajniki maszyny.

Przyszło mu do głowy, że byłoby przyjemnie pójść na spacer nad Krawędzią i zerknąć w głębinę Mgławicy... Może nawet dostrzegłby Pas.

Pasażerowie po kolei wracali do autobusu, niosąc paczki z żywnością, podobne do tych, które Pallis sprowadzał na Pas. Ostatni pasażer uderzył w dziób autobusu.

Sfatygowana, stara maszyna chwiejnie ruszyła po wymyślanym zboczach.

Kabina Pallisa była zwykłym sześcianem podzielonym na trzy pokoje. Znajdowała się tam jadalnia, salonik z krzesłami i hamakami oraz łazienka z umywalką, toaletą i prysznicem.

Pallis przebrał się w długą, grubą togę. Na piersi miał wyszyte stylizowane drzewo w zielonym wieńcu, które, jak zdążył się już dowiedzieć Rees, symbolizowało przynależność do klasy Leśników. Gospodarz polecił Reesowi i Goverowi umyć się. Kiedy przyszła kolej na Reesa, zbliżył się do błyszczących kurków lekko przerażony. W czystej, lśniącej cieczy z trudem rozpoznał wodę.

Pallis przygotował pożywny rosół na sztucznym mięsie. Rees usiadł na podłodze, krzyżując nogi, i łapczywie się posilał. Gover usadowił się na krześle i jak zwykle milczał.

Dom pilota nie miał żadnych ozdób z wyjątkiem dwóch przedmiotów. Z sufitu zwisała klatka z listewek, w której unosiło się i szumiało pięć lub sześć młodych drzewek o niedojrzałych, wirujących gałązkach. Poruszały się i wypełniały pokój naturalnym zapachem.

Rees zauważył, że skoczki, wśród których były dwa ozdobione jasnymi kwiatami, syczały rozdrażnione w kierunku świateł kabiny.

- Wypuszczam je, kiedy stają się zbyt duże - powiedział Pallis do górnika. - Stanowią dla mnie coś w rodzaju towarzystwa. Wiesz, są tacy, którzy związują te małeństwa drutem, żeby zahamować ich wzrost i zdeformować sylwetki. Nie mógłbym postępować w ten sposób bez względu na to, jak ciekawy okazałby się rezultat.

Drugą ozdobą było zdjęcie kobiety. Mieszkańcy Pasa również znali takie pamiątki - stare, wyblakłe obrazki przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie niczym mocno sfatygowaną schedę. Portret jednak wydawał się świeży i pełen życia. Uzyskawszy pozwolenie Pallisa, młodzieniec wziął fotografię do ręki i aż podskoczył, gdy rozpoznał uśmiechniętą twarz.

Odwrócił się do Pallisa.

- To Sheen.

- Powinienem być się domyślić, że ją znasz. - Pallis wiercił się na krześle, blizny na zakłopotanej twarzy poczerwieniały. - Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

Rees wyobraził sobie pilota i kierowniczkę szychty razem. Niezupełnie czuł się przekonany, ale obraz ich dwojga przynajmniej nie budził w nim odrazy, jak inne pary, które miał okazję oglądać w przeszłości.

Odłożył zdjęcie na miejsce i zamyślony zaczął jeść.

Pod koniec zmiany wszyscy położyli się spać.

Hamak Reesa był wygodny. Po raz pierwszy młodzieniec odprężył się i poczuł jak u siebie w domu. Wiedział, że następna szychta przyniesie nowe, zaskakujące wydarzenia, ale na razie nie chciał sobie zaprzętać nimi głowy. Przez kilka godzin mógł czuć się bezpiecznie, ukryty w Tratwie niby w zagłębieniu dłoni.

Pełne szacunku pukanie wytrąciło Hollerbacha ze stanu koncentracji bliskiej transu.

- Słucham? Kto tam, u diabła? - Oczy starego człowieka potrzebowały kilku sekund, by odzyskać ostrość widzenia. Jeszcze dłużej trwało uwolnienie się od natłoku informacji, zawartych w testach żywieniowych. Naukowiec sięgnął po okulary. Oczywiście, ten przestarzały drobiazg nie pasował do jego oczu, ale szkła naprawdę trochę pomagały.

Hollerbach ujrzał przed sobą, niezbyt wyraźnie, wysokiego, z bliznami na twarzy mężczyznę, który niepewnie przekroczył próg gabinetu.

- To ja, Pallis.

- Ach, pilot. Zdaje mi się, że widziałem powrót twojego drzewa. Udana wyprawa?

- Obawiam się, że nie, proszę pana. - Pallis zmusił się do uśmiechu. - Górnicy mieli trochę kłopotów...

- Czyż nie mamy ich wszyscy? - gderliwie przerwał mu Hollerbach. - Mam tylko nadzieję, że nie zatruwamy tych biednych facetów naszą żywnością. No dobrze, Pallis, co mogę dla ciebie zrobić? Ach, na kości, przypomniałem sobie. Przywiozłeś tego przekłętego chłopaka, prawda? - Zerknął za plecy Pallisa, gdzie stał chudy, bezczelny Gover, i westchnął.

- Hm, idź zobaczyć się z Grye'em i wróć do swoich obowiązków, chłopcze. I do studiów. Może jeszcze uda nam się zrobić z ciebie uczonego, jak myślisz? Albo - mruknął po odejściu Govera - sam wyrzucę cię za Krawędź. Coś jeszcze, Pallis?

Pilot drzewa wyglądał na zakłopotanego. Niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

- Tak, proszę pana. Rees! - Do gabinetu wszedł młodzieniec. Był ciemnowłosy i smukły, miał na sobie obszarpany kombinezon. Stał w drzwiach i nie odrywał wzroku od podłogi. - Podejź, chłopcze - rzekł Pallis dość uprzejmym tonem. - To tylko dywan, nie ugryzie cię.

Dziwaczny przybysz ostrożnie szedł po dywanie, aż znalazł się przed biurkiem Hollerbacha. Podniósł oczy i stanął jak wryty, widząc uczonego.

- Dobry Boże, Pallis - jęknął Hollerbach i przejechał ręką po łysej czaszce. - Coś ty mi tu przywiózł? Czyżby on nigdy nie widział uczonego?

- Sądzę, że nie w tym rzecz. - Pallis zakaszał, tłumiąc śmiech. - Z całym szacunkiem, wątpię, żeby ten chłopak kiedykolwiek widział kogoś w tak sędziwym wieku.

- Skąd pochodzisz, chłopcze? - Hollerbach przyjrzał się górnikowi uważniej.

Spojrzał na wyrobione mięśnie oraz blizny na rękach i barkach.

- Z Pasa - wyraźnie odrzekł Rees.

- To pasażer na gapę - dorzucił przeproszającym tonem Pallis. - Załapał się na powrotną podróż ze mną i...

- I trzeba od razu wysłać go do domu. - Hollerbach oparł się na krzesło i założył chude ramiona. - Przykro mi, Pallis, mamy przeludnienie.

- Wiem o tym, proszę pana, i już kazałem załatwić niezbędne formalności. Jak tylko drzewo zostanie załadowane, będzie można się go pozbyć.

- W takim razie, dlaczego sprowadziłeś go tutaj?

- Ponieważ... - Pallis zawahał się. - Hollerbach, ten chłopak jest bystry - dokończył pośpiesznie. - Potrafi uzyskać od autobusów raporty o statusie...

- To potrafi zrobić sporo inteligentnych dzieciaków podczas każdej szychty. - Hollerbach wzruszył ramionami i pokręcił głową, wyraźnie rozbawiony. - Rany boskie, nic się nie zmieniłeś, Pallis. Pamiętasz dzień, kiedy jako dzieciak przyniosłeś mi połamane skoczki? Musiałem zrobić dla nich małe łupki z papieru. Oczywiście, ten zabieg nie zdał się na nic, ale przynajmniej poprawił ci samopoczucie. - Blizny Pallisa pociemniały.

Pilot był wściekły i unikał zaciekawionego spojrzenia Reesa. - A teraz sprowadzasz tego młodego, bystrego pasażera na gapę i co? Spodziewasz się, że mianuję go moim pierwszym asystentem?

- Myślałem, że przynajmniej do czasu przygotowania drzewa... - Pallis wzruszył

ramionami.

- Źle myślałeś. Jestem zapracowanym człowiekiem, pilocie.

- Wyjaśnij mi, dlaczego się tutaj znalazłeś. - Pallis zwrócił się do chłopca. - Powiedz mi, co opowiadałeś podczas lotu.

- Opuściłem Pas, żeby się dowiedzieć, dlaczego Mgławica umiera - rzekł z prostotą.

- Och, tak? Wiemy, dlaczego umiera. - Uczony pochylił się ku młodzieńcowi zaintrygowany. - Z powodu wyczerpywania się wodoru, to oczywiste. Nie wiemy jednak, jak temu przeciwdziałać.

Rees uważnie patrzył na naukowca i zastanawiał się nad jego odpowiedzią.

- Co to jest wodór? - zapytał.

Hollerbach bębnił długimi palcami po biurku. Miał ochotę wyprosić Pallisa z pokoju, ale Rees czekał na odpowiedź, spoglądając na niego inteligentnymi oczami.

- Hm, jedno zdanie nie wystarczy, żeby ci tę kwestię wyjaśnić. - Znowu w ruch poszły palce. - No cóż, może nie przyniosłoby to szkody i jeszcze mogłoby być zabawne...

- Słucham? - odezwał się Pallis.

- Potrafisz posługiwać się miotłą, chłopcze? Na kości, przydałby nam się ktoś do pomocy temu bezużytecznemu Goverowi. Tak, dlaczego by nie? Pallis, zabierz go do Grye'a.

Daj mu jakąś robotę, a Grye'owi powiedz ode mnie, żeby zaczął wyjaśniać mu podstawy wiedzy. Ostatecznie, skoro ten mały jest na naszym wikcie, powinien pracować.

Ale pamiętaj, tylko do odlotu drzewa.

- Dzięki, Hollerbach...

- Och, wynoś się, Pallis. Wygrałeś swoją batalię i teraz pozwól mi zająć się robotą, a na przyszłość trzymaj swoje cholerne, kulawe skoczki przy sobie!

ROZDZIAŁ 4

Rees usłyszał dzwonek oznaczający koniec zmiany. Ściągnął rękawice ochronne i fachowym okiem zerknął na laboratorium. Dzięki jego wysiłkowi podłoga i ściany błyszcząły w świetle przymocowanych do sufitu kloszy.

Opuścił gabinet. Promienie gwiazdy wywoływały u Reesa swędzenie odkrytych partii skóry, toteż przez kilka sekund stał, rozkoszując się wolnym od antyseptyków powietrzem.

Czuł ból w krzyżu i udach, a skóra ramion piekła tam, gdzie polano ją mocnymi środkami odkażającymi.

Kilkadziesiąt szycht do następnego lotu drzewa mijało mu bardzo szybko. Upajał się egzotycznymi widokami i zapachami Tratwy i jednocześnie oczekiwał powrotu do samotnego życia w kabinie na Pasie, gdzie snuć będzie wspomnienia, wypełniające pustkę, podobnie jak fotografia Sheen umilała życie Pallisowi.

Rees wiedział, że przekazano mu i zademonstrowano tylko część cennej wiedzy.

Uczeni stanowili niezbyt przyjemną społeczność, przeważnie byli starzy, otyli i skorzy do wybuchów złości. Potrząsając naszywkami wskazującymi rangę, wykonywali własne dziwaczne zadania i ignorowali Reesa. Grye, asystent, któremu zlecono kształcenie młodzieńca, ograniczył się do pokazania mu ilustrowanej książeczki dla dzieci, żeby łatwiej nauczył się czytać, oraz sterty niezrozumiałych ekspertyz laboratoryjnych.

Reesowi przysłała do głowy smutna myśl, że najlepiej zna się na sprzątaniu.

Mimo wszystko, od czasu do czasu, natrafiał na coś interesującego. Na przykład seria butelek ustawiona jak w barze w jednym z laboratoriów, napełniona żywicą w różnych fazach krzepnięcia...

- Hej, ty! Jak się nazywasz? A niech to, chodź tutaj, młody! Tak, ty! - Rees odwrócił się i zobaczył, że ktoś ugina się pod stertą zakurzonych książek. - Hej, ty, chłopaku z kopalni!

Chodź i pomóż mi to nieść.

Nad tomami ukazała się łysina, a następnie pulchna twarz. Rees rozpoznał Cipse'a, głównego nawigatora. Zapominając o własnych zmartwieniach, rzucił się do zasapanego mężczyzny i delikatnie zdjął górną część sterty.

- Zamyśliłeś się, co? - Nawigator odetchnął z ulgą.

- Przepraszam...

- No, chodź, chodź. Jeżeli nie zaniemiemy tych wydruków na mostek, to faceci z mojej ekipy znowu rozbiegną się po barach i stracimy kolej na szycie. Możesz mi wierzyć. - Rees zawahał się. - Na kości, chłopcze, czy jesteś równie głuchy jak głupi?

Rees bezgłośnie poruszył wargami.

- Mam... chce pan, żebym zaniósł te książki na mostek?

- Nie, oczywiście, że nie - rzekł ociężałe Cipse. - Żebyś pognął na Krawędź i wyrzucił to. O cóż innego mogłoby mi chodzić...? Och, na miłość... pośpiesz się, pośpiesz! - Cipse ruszył w drogę.

Rees stał w miejscu dokładnie pół minuty.

Mostek!

Pobiegł za Cipse'em do centralnej części Tratwy.

Miasto na Tratwie miało prosty układ. Widziane z góry, bez przesłaniających je drzew, przypominało serię koncentrycznie ułożonych kręgów.

Krąg najbardziej wysunięty na zewnątrz, w stronę Krawędzi, był zabudowany w niewielkim stopniu, przeważnie stały na nim maszyny dostawcze imponujących rozmiarów.

W jego obrębie znajdował się również hałaśliwy, zadymiony obszar z magazynami i zakładami przemysłowymi.

Następny krąg tworzyły dzielnice mieszkaniowe, skupiska małych kabin z drewna i metalu. Rees zdążył się już dowiedzieć, że obywatele, stojący niżej w społecznej hierarchii, zajmowali kabiny w pobliżu uprzemysłowionego rejonu. Na terenie osiedla znajdowały się wyspecjalizowane instytucje: ośrodek szkoleniowy, prymitywnie wykończony szpital oraz laboratoria klasy uczonych, gdzie mieszkał i pracował on sam.

Najmniejszy krąg, do którego zawsze odmawiano Reesowi wstępu, był zarezerwowany dla oficerów. Natomiast w środkowym punkcie Tratwy tkwił lśniący cylinder, który rzucił się młodzieńcowi w oczy na samym początku pobytu.

Mostek... Może teraz otrzyma pozwolenie, by się tam dostać.

Kabiny oficerów były większe i lepiej wykończone niż mieszkania zwykłych członków załogi. Rees z podziwem patrzył na rzeźbione framugi drzwi i zasłony w oknach.

Tutaj nie widywało się biegających dzieciaków ani spoconych robotników.

Cipse przestał biec i szedł dostojnie, pozdrawiając mężczyzn i kobiety w uniformach ze złotymi galonami.

Rees zaczepił o wystającą płytę pokładu, stopę przeszył ból. Upuścił książki.

Otworzyły się na pośliskich stronicach, gdzie widniały tabele liczb i sygnatury złożone z tajemniczych liter „IBM”.

- Och, na kości, ty beznadziejny szczurze z kopalni! - wrzasnął Cipse. Obok przechodziło dwóch młodych kadetów. Naszywki na ich nowych czapkach lśniły w świetle gwiazdy. Na widok Reesa cicho się zaśmiali.

- Przepraszam - powiedział Rees, rumieniąc się ze wstydu. Jak to możliwe, że się potknął? Przecież pokład stanowił płaską mozaikę zespawanych żelaznych płyt... a może jednak nie? Górnik przyjrzał się płytom. W tym miejscu wyginały się i złączone zostały nitami. Ich srebrzysty połysk kontrastował z rdzawym odcieniem żelaznych kafli leżących dalej. Na jednej z płyt znajdował się klockowaty, prostokątny wzór, niedokończony, i przez to prowokacyjny, jakby kiedyś namalowano na krzywej ścianie ogromne litery, a potem ktoś rozciął powierzchnię i złożył ją na nowo.

- No, chodź już - burknął Cipse.

Rees podniósł książki i pośpiesznie ruszył za nawigatorem.

- Naukowcu - zapytał zdenerwowany - dlaczego pokład w tym miejscu jest inny?

- Ponieważ wewnętrzna część Tratwy jest najstarsza. - Cipse odpowiedział z rozdrażnieniem. - Kolejne kręgi dodano później, konstruując je z warstw gwiazdowego metalu.

Ta część została zbudowana z elementów kadłuba. Rozumiesz?

- Kadłuba? Jakiego kadłuba?

Ale Cipse pobiegł przed siebie i nie kwapił się z odpowiedzią.

Obrazy w wyobraźni Reesa wirowały jak młode drzewo. Płyty kadłuba! Przyszedł mu na myśl korpus kreta. Gdyby się go pocięło i ponownie złożyło, powstałby wielokształtny obiekt z krzywiznami.

Powłoka kreta jednak z pewnością nie wystarczyłaby na wyłożenie całego obszaru.

Rees wyobraził sobie kreta o ogromnych rozmiarach, potężne ściany tworzące łuk wysoko ponad jego głową...

Ależ to nie mógł być kret. Zatem może Statek? Czyżby dziecięce baśnie o Statku i jego Załodze mimo wszystko były prawdziwe?

Reesa rozpieły emocje. Kiedyś już czuł się tak samo na widok zmysłowego, chłodnego ciała Sheen... Gdyby ktoś „raczył mu wyjaśnić sytuację!

Wreszcie minęli najgłębiej położony szereg mieszkań I podeszli do mostku. Rees nie mógł wytrzymać tempa marszu. Serce biło mu coraz mocniej.

Mostek był piękny. Tworzył półcylinder o wysokości dwukrotnie większej niż wzrost Reesa i szerokości około stu kroków. Jego bok harmonijnie łączył się z pokładem.

Rees przypomniał sobie, jak leciał pod Tratwą i widział połowę cylindra, zwisającą pod płytami niczym wielki owad. Nie wypuszczając z objęć sterty książek, młodzieniec zbliżył się do wygiętej ściany. Jej srebrzysta, metalowa powierzchnia tonowała ostrym blask gwiazdy, nadając mu różowozłotą poświatę. W ścianie wycięto drzwi w kształcie łuku. Rees nigdy dotąd nie widział framugi wykonanej z tak mistrzowską precyzją. Wokół cylindra zachodziły na siebie płyty rozmontowanego kadłuba. One również zostały bardzo starannie wykrojone i przyspawane do ściany.

Rees próbował sobie wyobrazić ludzi, którzy wykonali tak wspaniałą robotę. W umyśle formował obraz niemal boskich istot, które rozcinają lśniącymi ostrzami kolejny potężny cylinder... Z pewnością następne pokolenia dodawały prymitywne elementy do połyskującego serca Tratwy, a jego wdzięk i siła malały wraz z upływem tysięcy szycht.

- No, pośpiesz się, szczurze z kopalni! - Nawigator aż poróżowił z wściekłości.

Rees otrząsnął się z marzeń i pobiegł za Cipse'em do drzwi. Z błyszczącego wnętrza wyszedł naukowiec i uwolnił górnika od ciężaru. Cipse rzucił Reesowi ostatnie spojrzenie. - Wracaj teraz do roboty i bądź wdzięczny, że nie powiem Hollerbachowi, aby dał cię na pożarcie roślinom przetwarzającym - mruknął nawigator i zniknął w środku.

Rees nie chciał opuścić magicznego rejonu. Pogłodził srebrzystą ścianę palcami, lecz zaraz odsunął rękę spłoszony. Powierzchnia była ciepła, prawie tak jak skóra, i niewiarygodnie gładka. Przyłożył dłoń do ściany i pozwalał, by swobodnie się ześlizgiwała.

Nie było żadnego tarcia, jak gdyby powłokę nasmarowano płynem.

- Cóż to znowu? Szczur z kopalni podskubuje nasz mostek? - Rees odwrócił się zdenerwowany. Dwóch młodych oficerów, których wcześniej widział, stanęło przed nim z rękami na biodrach. - No, chłopcze? - zagadnął wyższy. - Masz tu jakąś sprawę do załatwienia?

- Nie, ja...

- Jeśli nie, proponuję, żebyś się zmywał z powrotem na Pas, tam gdzie się ukrywają inne szczury. A może powinniśmy cię zachęcić do ruszenia w drogę? Co, Jorge?

- Dlaczego nie, Doav.

Rees patrzył na odprężonych, przystojnych młodzieńców. Cipse był prawie tak samo opryskliwy... ale młodość tych kadetów i bezmyślność, z jaką naśladował i starszych przełożonych, sprawiły, że Rees nie mógł znieść ich pogardy. Ogarniał go coraz większy gniew, nie mógł sobie jednak pozwolić na okazanie wrogości. Celowo odwrócił głowę od kadetów i zamierzał przejść obok nich, lecz wyższy młodzieniec, Doav, zastąpił mu drogę.

- No, szczerze? - Wsunął palec i szturchnął Reesa w plecy.

Wbrew własnej woli Rees chwycił palec i bez trudu wykręcił kadetowi rękę do tyłu.

Żeby uchronić palec od złamania, Doav musiał wysunąć łokieć i niemal uklęknąć przed Reesem. Na czole kadeta pojawiły się kropelki potu, ale zacisnął zęby i nie krzyczał. Jorge przestał się uśmiechać. Opuścił ręce, nie wiedząc, co powinien zrobić.

- Nazywam się Rees - powoli wycedził górnik. - Zapamiętaj to sobie. - Puścił palec kadeta. Doav osunął się na kolana. Ściskając obolały palec, obrzucił przeciwnika nienawistnym spojrzeniem.

- Zapamiętam cię, Rees, nie ma obawy - syknął. Rees pożałował wybuchu złości.

Odwrócił się i odszedł.

Rees powoli wycierał kurz w gabinecie Hollerbacha. Ze wszystkich pomieszczeń, do których miał dostęp podczas sprzątanía, ten pokój intrygował go najbardziej.

Przejechał palcem po rzędzie książek. Ich kartki szarzały ze starości, a złocenia na grzbietach prawie zupełnie wyblakły. Dotykał kolejnych liter: E-n-c-y-k... Kim lub czym jest owa Encyklopedia? Przez chwilę fantazjował, że wyjmując jakiś tom, otwiera go...

Poczuł podobny do seksualnej żądzý głód wiedzy.

Zwrócił uwagę na urządzenie wielkości jego złożonych rąk, składające się z ozdobnych zębatek i trybików. W środku znajdowała się jasna, srebrzysta kula, wokół której wisiało na drucikach dziewięć pomalowanych kulek. Przedmiot wydał się Reesowi piękny, ale do czego, u diabła, mógł służyć?

Rozejrzał się dookoła. W gabinecie nie było nikogo. Nie mógł się oprzeć pokusie.

Wziął urządzenie i z rozkoszą dotykał metalowej podstawki.

- Tylko go nie upuść, dobrze?

Drgnął ze strachu. Tajemniczy przedmiot poleciał w powietrze bardzo powoli. Rees złapał go i odstawił na półkę, a potem odwrócił się. W drzwiach stała Jaen.

Miała szeroką, usianą piegami twarz. Uśmiechała się. Rees odwzajemnił uśmiech dopiero

po kilku sekundach.

- Serdeczne dzięki - powiedział.

- Powinieneś się cieszyć, że to tylko ja. - Jaen podeszła do młodzieńca. - Gdyby wszedł tutaj ktoś inny, już by cię wyrzucano z Tratwy.

Rees wzruszył ramionami. Widok Jaen sprawiał mu przyjemność. Pracowała jako główny pomocnik Cipse'a. Była starsza od Reesa zaledwie o kilkaset szycht i należała do nielicznego grona laborantów, którzy nie okazywali mu pogardy. Czasami zdawała się nawet zapominać, że Rees jest szczurem z kopalni... Krępa, mocno zbudowana dziewczyna charakteryzowała się pewnością siebie, choć poruszała się trochę niezgrabnie.

Rees z zakłopotaniem uświadomił sobie, że porównuje ją z Sheen. Polubił towarzystwo Jaen i zaczynał wierzyć, że mogliby być dobrymi przyjaciółmi. Jej ciało nie wzbudzało jednak w nim tak intensywnych doznań jak ciało dziewczyny z kopalni.

Jaen stanęła obok Reesa i pogładziła mały przedmiot opuszką palca.

- Biedny, stary Rees - uzalała się. - Założę się, że nawet nie wiesz, co to takiego, prawda?

- Przecież wiesz, że nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami.

- To jest planetarium - wyjaśniła, przeliterowując wyraz. - Model Układu Słonecznego.

- Czego?

- To jest gwiazda. - Jaen pokazała srebrną kulę w środku planetarium. - A te kulki, chyba żelazne, krążą po orbicie wokół niej. Nazywa się planetami. Ludzkość, czyli mieszkańcy Tratwy, wywodzi się z jednej z tych planet. Sądzę, że czwartej albo może trzeciej.

- Naprawdę? Nie mogło ich być zbyt wiele. - Rees podrapał się w brodę.

- Dlaczego nie?

- Ze względu na brak przestrzeni. Gdyby planeta miała duże rozmiary, liczba g nie byłaby zbyt wysoka. Jądro mojej gwiazdy ma tylko pięćdziesiąt metrów szerokości - i składa się nań głównie powietrze, a jednak grawitacja powierzchni wynosi pięć g.

- Tak? No cóż, ta planeta była o wiele większa. - Jaen rozłożyła ręce. - Szeroka na wiele kilometrów. Grawitacja nikogo nie przytłaczała. Wszystko wyglądało wtedy inaczej.

- Jak?

- Nie wiem dokładnie, ale grawitacja powierzchniowa wynosiła jakieś trzy czy cztery g.

- W takim razie czym jest g? To znaczy, dlaczego g ma taką a nie inną wartość? - Zastanawiał się.

- Rees, nie mam zielonego pojęcia. - Jaen chciała już poruszyć inną kwestię.

Pytanie Reesa wyprowadziło ją z równowagi. - Na kości, zadajesz głupie pytania. Aż kusi mnie, żeby ci zdradzić najbardziej interesujący szczegół dotyczący planetarium.

- Cóż to za szczegół?

- Układ był ogromny. Pokonanie przez planetę orbity zajmowało około tysiąca szycht... a gwiazda w środku miała wiele milionów mil szerokości!

- Bzdura - stwierdził po przemyśleniu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Jaen wybuchnęła śmiechem.

- Taka gwiazda nie mogłaby istnieć. Po prostu uległaby implozji.

- Ale z ciebie mądrała. - Jaen uśmiechnęła się do górnika. - Mam nadzieję, że okażesz się równie bystry, kiedy trzeba będzie taszczyć dla nas towary z Krawędzi. No chodź, Grye dał nam listę rzeczy do zabrania.

- W porządku.

Rees wziął swoje narzędzia pracy i wyszedł z gabinetu Hollerbacha, mając przed sobą szerokie plecy dziewczyny. Po drodze obejrzał się do tyłu na półkę, gdzie lśniło planetarium.

Miliony mil? Oczywiście niedorzeczność.

Ale jeśli...?

Siedział obok Jaen w autobusie. Dzięki potężnym oponom maszyny jazda odbywała się bez żadnych wstrząsów.

Rees patrzył na cętkowane płyty Tratwy i ludzi pochłoniętych sprawami, o których nie wiedział zbyt wiele. Pasażerowie cierpliwie siedzieli przez całą podróż. Tylko niektórzy czytali. Rees był poruszony widokiem osób, posiadających umiejętność odczytywania liter.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Jaen, usłyszawszy jego westchnienie.

- Przepraszam. - Rees smutno się uśmiechnął. - To tylko... Jestem tutaj bardzo krótko i chyba niewiele się nauczyłem.

- Myślałam, że Cipse i Grye udzielając! czegoś w rodzaju korepetycji. - Jaen zmarszczyła brwi.

- Niezupełnie - odpowiedział. - Zresztą, chyba ich rozumiem. Ja też nie chciałbym marnować czasu dla jakiegoś pasażera na gapę, który i tak po kilku szychtach zostanie wyrzucony do domu.

- To mógłby być powód. - Jaen podrapała się w nos. - Ale ci dwaj zawsze chętnie

popisywali się przede mną wiedzą. Rees, zadajesz cholernie trudne pytania.

Podejrzewam, że trochę się ciebie boją.

- Cóż za wariactwo...

- Powiedzmy sobie szczerze: większość tych starych przyków nie jest znowu aż tak wykształcona. Myślę, że Hollerbach dysponuje dużą wiedzą i może jeszcze paru innych. Ale reszta pracuje na podstawie starych wydruków i ma nadzieję, że jakoś to będzie.

Zwróć uwagę, jak łatają archaiczne przyrządy drewnem i kawałkami sznurka... Gdyby wydarzyło się coś naprawdę poważnego albo ktoś zadał im pytanie zmuszające do myślenia, byłiby bezradni.

Rees rozważał słowa Jaen i uświadomił sobie, jak bardzo zmieniła się jego opinia o uczonych od czasu, gdy przybył na Tratwę. Teraz rozumiał, że oni również nie są wolni od słabości i próbują sobie radzić w świecie, w którym życie staje się coraz trudniejsze.

- Tak czy owak, to nie zmienia postaci rzeczy - powiedział. - Codziennie, gdy otwieram oczy, zastanawiam się nad problemami, których nie można rozstrzygnąć, na przykład na każdej stronie książek z liczbami Cipse'a, widnieje napis „IBM”. Co to znaczy?

- Zażyłeś mnie. - Jaen wybuchnęła śmiechem. - Może ma to jakiś związek ze sposobem produkowania tych książek? Wiesz, one pochodzą ze Statku.

- Ze Statku? Wiesz, słyszałem na ten temat tyle historii, że nie mam pojęcia, co jest prawdą. - Rees ożywił się.

- Z tego, co wiem, Statek naprawdę istniał. Został pocięty na części i tworzy podstawę samej Tratwy.

- A jego Załoga wydrukowała te książki? - zapytał po zastanowieniu.

- Powstały kilka generacji później. - Jaen zawahała się. Najwyraźniej nie posiadała tak dużej wiedzy. - Pierwsza Załoga przechowywała klucz do ich zrozumienia w jakiejś maszynie.

- Co to była za maszyna?

- Nie wiem. Może mówiąca maszyna, taka jak autobusy. Ale to urządzenie służyło nie tylko do zapisu. Potrafiło również dokonywać obliczeń.

- W jaki sposób?

- Rees - rzuciła poirytowana - gdybym to wiedziała, sama bym zbudowała coś takiego.

Zgadza się? W każdym razie z upływem czasu maszyna zaczęła zawodzić i członkowie Załogi obawiali się, że nie będą w stanie kontynuować obliczeń. Dlatego zanim urządzenie się

wyczerpało, wydrukowało całość dostępnej mu wiedzy. Między innymi starodawną tabelę zwaną logarytmami, która pomaga nam w obliczeniach. Właśnie tę rzecz Cipse wziął ze sobą na mostek. Może kiedyś nauczysz się korzystać z tablic logarytmicznych.

- Tak, może. - Autobus wyjechał z płataniny lin. Rees zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem gwiazdy.

- Rozumiesz, na czym polega praca Cipse'a, prawda? - zapytała Jaen.

- Myślę, że tak - rzekł wolno. - Cipse jest nawigatorem. Zajmuje się ustalaniem, gdzie powinniśmy przemieszczać Tratwę.

Jaen potakująco kiwnęła głową.

- A robimy to dlatego, że musimy uciekać przed gwiazdami, które spadają z brzegów Mgławicy. - Pokazała kciukiem rozżarzoną kulę na niebie. - Takimi jak ta. Na mostku odnotowuje się wszystkie zbliżające się gwiazdy, dlatego zawsze jest czas na przesunięcie Tratwy. Sądzę, że wkrótce znowu zmienimy położenie... Mam nadzieję, że zdążysz to zobaczyć, Rees. Wszystkie drzewa przechylają się równocześnie, na pokładzie wieje silny wiatr. Jeśli zostanę dobrze oceniona, będę pracowała w ekipie, która przemieszcza Tratwę.

- Brawo - powiedział nieco rozgorączkowanym tonem Rees.

- Nie trać nadziei, górniku. - Jaen spoważniała i poklepała go po ramieniu. - Jeszcze nie wyrzucili cię z Tratwy.

Uśmiechnął się do dziewczyny i przez resztę podróży już milczeli.

Autobus dojechał do brzegu studni grawitacyjnej Tratwy. Krawędź przypominała z dala ostrze noża rozcinające niebo. Pojazd zatrzymał się przed szerokimi schodami. Rees i Jaen stanęli w kolejce przed automatem wydającym żywność. Na tle nieba majaczyła sylwetka ponurego strażnika, siedzącego obok maszyny. Rees uświadomił sobie, że gdzieś już go widział.

Na maszynę dostawczą składał się nieregularny blok o wysokości odpowiadającej przeciętnemu wzrostowi dwóch mężczyzn. W jej frontowej ścianie znajdowały się wyloty, otaczające nieskomplikowaną płytę kontrolną, trochę podobną do tej u kreta.

Wydawało się, że dysza z drugiej strony wypręża się ku Mgławicy niby wielka gęba. Doprawdy, nietrudno było sobie wyobrazić, że maszyna oddycha przez te metalowe wargi.

- Wiesz, energii dostarcza jej miniaturowa czarna dziura. - Jaen szepnęła Reesowi do ucha.

- Co? - Podskoczył z wrażenia.

- Nie wiesz? - zapytała, pokazując zęby w uśmiechu. - Później ci powiem.

- Lubisz się zabawiać - zarzucił jej Rees.

Pozbawione osłony latającego lasu, gwiazdy świeciły intensywniej niż zwykle. Z czoła Reesa kapwały kropelki potu. Zamrugał oczami i spojrzał na tęgą szyję stojącego przed nim mężczyzny. Była pokryta twardymi, czarnymi włoskami i mokra w okolicach kołnierzyka. Mężczyzna miał szeroką twarz i perkaty nos. Spojrzał w górę na gwiazdę.

- Przeklęty upał - mruknął. - Nie wiem, dlaczego wciąż tkwimy pod tą cholerną gwiazdą. Mith powinien ruszyć swoją tłustą dupę i coś zrobić. Nie? - Natarczywie patrzył na Reesa. Chłopiec uśmiechnął się niepewnie. Nieznajomy obrzucił go wrogim spojrzeniem i odwrócił się.

Po kilku minutach kolejka zniknęła. Pasażerowie popychali Jaen i Reesa i szli po schodach, niosąc paczki z żywnością, wodą i innymi rzeczami.

Obserwowani przez ponurego strażnika, górnik i asystentka nawigatora zbliżyli się do maszyny. Jaen wystukała jeden z numerów rejestracyjnych naukowców, a następnie podała szczegółowe dane. Rees był zdumiony wprawą, z jaką dziewczyna przebiegała palcami po klawiaturze. Pomyślał, że zapewne i ta umiejętność pozostanie poza jego zasięgiem...

Strażnik patrzył na niego. Siedział z założonymi rękami na wysokim, drewnianym taborecie. Miał na sobie podniszczony kombinezon w czarne pasy.

- Proszę, proszę - wycedził. - Szczur z kopalni.

- Witaj, Gover - rzekł chłodno Rees.

- Nadal usługujesz starym pierdzielom z Nauki, co? Myślałem, że już dawno się ciebie pozbyli. Wy, szczury z kopalni, zasługujecie tylko na wylot rury... - Rees zacisnął pięści, napięte bicepsy zabolowały.

- A ty nadal jesteś rozgoryczony, co, Gover? - warknęła Jaen. - To, że wywalili cię z Nauki, jakoś nie wpłynęło pozytywnie na twój charakter.

- Postanowiłem odejść. - Gover obnażył żółte zęby. - Nie zamierzam spędzić całego życia ze starymi, głupimi niszczycielami kosmosu. Jeśli chodzi o Infrastrukturę, przynajmniej wykonuję prawdziwą robotę. Uczę się czegoś pożytecznego.

- Gover, gdyby nie uczeni, Tratwa zostałaby zniszczona przed paroma pokoleniami.

Jaen oparła zacisnięte pięści na biodrach.

- Jasne. Możesz sobie w to wierzyć. - Gover pociągnął nosem. Wyglądał na znudzonego.

- To prawda.

- Może w jednym przypadku, ale co powiesz o obecnej sytuacji? Dlaczego nie przesunęli Traktwy, żeby nas uchronić od tej gwiazdy na niebie? - Rozzłoszczona Jaen wciągnęła powietrze i... zawahała się, nie umiejąc podać odpowiedzi.

- Nieważne. - Gover nie wydawał się zainteresowany swoim małym triumfem. - Pomyśl, czego chcesz. O nas, ludziach, którzy naprawdę podtrzymują lot Traktwy, o Infrastrukturze, leśnikach, cieślach i metalurgach, niedługo będzie głośno.

Zaczną się ciężkie czasy dla wszystkich pasożytów.

- Co to znaczy? - Jaen nachmurzyła się.

Gover odwrócił się od niej z cynicznym uśmiechem. Jakiś człowiek za ich plecami ryknął:

- Hej, wy dwoje, ruszajcie się!

Wrócili do autobusu, niosąc palety z towarami. Rees zagadnął:

- A jeśli on ma rację? Może uczonym i oficerom już nie będzie wolno pracować?

- To oznaczałoby koniec Traktwy. - Dziewczyna zadrżała. - Ale ja znam Govera.

Nadyma się i udaje ważnego, aby zrobić wrażenie, iż jest szczęśliwy z powodu przeniesienia się do Infrastruktury. Zawsze zachowuje się tak samo.

Rees zmarszczył czoło. Może, pomyślał. Gover jednak wydawał się taki pewny siebie.

Kilka szycht później Hollerbach poprosił Reesa na rozmowę.

Górnik stał przed gabinetem uczonego i głęboko oddychał. Czuł się, jakby postawiono go na Krawędzi Traktwy. Następne minuty miały zdecydować o całym jego życiu.

Wyprostował się i wszedł do gabinetu.

Hollerbach pochylał się nad jakimiś papierami w świetle padającym na biurko.

Popatrzył spode łba na intruza.

- No? Kto tam? Ach, tak, chłopak z kopalni. Wejdz, wejdz. - Starzec wskazał Reesowi krzesło z drugiej strony biurka, a sam usiadł w fotelu i założył kościste ręce za głowę. Jego oczy wydawały się bardziej zapadnięte niż kiedykolwiek.

- Pan mnie wzywał - powiedział Rees.

- Rzeczywiście - potwierdził Hollerbach, patrząc Reesowi prosto w oczy. - Przejdźmy do rzeczy. Ponoć nieźle dajesz sobie radę. Jesteś pracowity, a to rzadka zaleta... Zatem dziękuję ci za to, co zrobiłeś. Ale - ciągnął łagodnym tonem - drzewo dostawcze zostało załadowane i poleci na Pas już podczas następnej zmiany. Muszę zdecydować, czy będziesz uczestnikiem tego lotu. -

Reesa przeszył dreszcz emocji, być może ma szansę zostać.

Przewidując jakąś próbę, szybko powtarzał w pamięci okruchy nabytych wiadomości.

Hollerbach wstał z krzesła i zaczął spacerować po gabinecie.

- Wiesz, że cierpimy na przeludnienie - powiedział. - Mamy kłopoty z automatami wydającymi żywność, więc sytuacja nie ulegnie poprawie. Z drugiej strony, skoro pozbyłem się tego wałkonia Govera, dysponuję nie obsadzonym stanowiskiem laboranta. Nie mogę jednak złożyć wniosku o pozwolenie na twój pobyt, jeśli nie będzie należycie uzasadniony.

Rees czekał.

- Nie chcesz wyjawić swoich zamiarów, prawda, chłopcze? - Hollerbach zmarszczył brwi.
- Bardzo dobrze... Gdybyś miał mi zadać jedno pytanie teraz, zanim zostaniesz stąd odesłany, a ja zagwarantowałbym, że odpowiem na nie najlepiej, jak potrafię, jak by ono brzmiało?

Serce waliło Reesowi jak młot. Nadeszła próba, moment balansowania na Krawędzi, lecz jakże nieoczekiwana okazała się forma testu. Jedno pytanie! Jakiego klucza należy użyć, by uzyskać dostęp do sekretów, które usiłował poznać z zawziętością skoczka, miotającego się wokół klosza lampy.

Mijały sekundy. Hollerbach nie spuszczał wzroku z Reesa, trzymając chude ręce nad głową.

- Co to takiego g? - zapytał w końcu Rees pod wpływem impulsu.

- Wyjaśnij, o co ci chodzi. - Hollerbach nachmurzył czoło.

- Żyjemy we wszechświecie wypełnionym silnymi, zmiennymi polami grawitacyjnymi. -

Rees zacisnął pięści.

- Mamy jednak standardową jednostkę przyspieszenia grawitacyjnego - g. Dlaczego tak jest? I dlaczego wartość g jest właśnie taka, a nie inna?

- A jakiej odpowiedzi się spodziewasz? - Hollerbach pokiwał głową.

- Myślę, że nazwa gie odnosi się do miejsca, z którego pochodzi człowiek. Musiał tam istnieć duży obszar o stałej grawitacji, której wartość nazywamy g. W ten sposób powstał standard. Takiego rejonu nie ma nigdzie we wszechświecie, nawet Tratwa nie spełnia tego warunku. Może więc w przeszłości istniała jakaś potężna Tratwa, która teraz jest podzielona na części...

- Całkiem rozsądne... A gdybym ci powiedział, że takiego rejonu nie było nigdy w całym wszechświecie? - Hollerbach roześmiał się.

- Wtedy zasugerowałbym, że ludzie przyszedli z innego miejsca. - Rees wyciągnął wniosek ze wskazówki uczonego.

- Jesteś tego pewny?

- Oczywiście, że nie - wycofał się Rees. - Musiałbym to sprawdzić, znaleźć więcej dowodów.

- Chłopcze, podejrzewam, że nadajesz się na uczonego bardziej niż całe zastępy moich tak zwanych asystentów. - Stary naukowiec pokręcił głową.

- Ale jaka jest odpowiedź?

- Dziwna z ciebie istota, co? - Hollerbach uśmiechnął się. - Bardziej interesujesz się wyjaśnianiem zjawisk niż własnym losem. No cóż, wszystko ci wytłumaczę. Twoje przypuszczenie jest trafne. Ludzie nie pochodzą z tego wszechświata. Przybyliśmy tutaj na Statku. Przelecieliśmy przez coś, co nazywa się Pierścieniem Boldera, jest to rodzaj przejścia.

Gdzieś w kosmosie, po drugiej stronie Pierścienia, znajduje się świat, z którego się wywodzimy. Tak się składa, że jest to planeta, kula, nie Tratwa. Liczy sobie około ośmiu tysięcy mil szerokości, a na jej powierzchni grawitacja wynosi dokładnie jeden g.

- Wobec tego musi się składać z jakiegoś gazu. - Rees zmarszczył brwi.

- Właściwie ta kula jest z żelaza. - Hollerbach zdjął z półki planetarium i patrzył na planety. - Nie mogłaby istnieć tutaj. Widzisz, grawitacja stanowi klucz do zrozumienia problemu. Tutaj grawitacja jest miliard razy silniejsza niż we wszechświecie, z którego przybyliśmy. W tutejszych warunkach nasza ojczysta planeta miałaby grawitację powierzchniową miliarda g, jeśli nie uległaby natychmiastowej implozji.

Niebiańska mechanika jest z kolei śmiechu warta. Nasz ojczysty świat potrzebuje ponad tysiąca szycht, żeby okrążyć własną gwiazdę. Tutaj pokonałby orbitę w siedemnaście minut! Rees, nie wierzymy, aby Załoga zamierzała sprowadzić Statek akurat w to miejsce.

Prawdopodobnie stało się tak na skutek wypadku. Z chwilą gdy zwiększyła się grawitacja, duże elementy Statku uległy zniszczeniu, włącznie z urządzeniami umożliwiającymi lot. Ludzie spadli w obszar Mgławicy. Na pewno nie rozumieli, co się dzieje, i gorączkowo szukali sposobu wydostania się spod wpływu Rdzenia...

Rees przypomniał sobie implozję w odlewni i zaczął wyobrażać sobie...

...Członkowie załogi biegają po korytarzach spadającego Statku. Wszędzie kłębi się dym, a blade płomienie blokują przejście i roztaczają woń spalenizny. Kadłub jest rozerwany i ostre

powietrze Mgławicy dostaje się do kabin. Przez dziury w srebrzystych ścianach ludzie widzą latające drzewa i potężne, nieprzezroczyste wieloryby, a wszystko to przekracza ich najśmielsze wyobrażenia...

- Tylko kości wiedzą, jak udało im się przetrwać pierwsze szychty - ciągnął Hollerbach. - Jakoś jednak przeżyli. Nauczyli się wykorzystywać drzewa i bronić przed wpływem Rdzenia. Stopniowo zadomowili się w całej Mgławicy, docierając do Pasa, a nawet jeszcze dalej.

- Co? - Rees gwałtownie otrząsnął się z zamyślenia. - Myślałem, że pan opisuje, jak ludzie ze Statku dostali się na Tratwę... Sądziłem, że mieszkańcy Pasa i inni...

- Pochodzą z innego rejonu? - Hollerbach uśmiechnął się. Wyglądał na zmęczonego.

Nam, żyjącym na Tratwie we względnym komforcie, wygodnie jest dawać wiarę takim teoriom. W rzeczywistości wszyscy ludzie zamieszkujący Mgławicę wywodzą swój ród ze Statku. Tak, nawet Kościeje. Cóż, mit o różnym pochodzeniu prawdopodobnie niszczy gatunek. Powinniśmy się krzyżować, żeby zwiększyć pulę genetyczną.

Rees rozważał słowa Hollerbacha. Z perspektywy czasu dostrzegł wiele podobieństw między życiem na Tratwie i Pasiu. Jednak na myśl o równie oczywistych różnicach, o surowych warunkach, na jakie byli skazani mieszkańcy Pasa, poczuł zimny gniew.

Dlaczego, na przykład Pas nie mógłby dysponować własną maszyną dostawczą? Skoro prawdziwa jest teoria o wspólnym pochodzeniu, to górnicy mają takie same prawa jak mieszkańcy Tratwy...

Postanowił jednak przemyśleć tę kwestię później, a teraz skoncentrował się na słowach uczonego.

- Będę z tobą szczerzy, młodzieńcze. Wiemy, że Mgławica jest prawie na wyczerpaniu.

Nas też to czeka, jeśli czegoś nie zrobimy.

- Co się stanie? Czy powietrze przestanie się nadawać do oddychania?

- Prawdopodobnie. - Hollerbach delikatnie odstawił planetarium. - Najpierw zgasną gwiazdy. Zrobi się zimno i ciemno, drzewa zaczną tracić siłę. Nie będziemy mieli niczego, co by nas podtrzymywało. Wpadniemy do Rdzenia i taki będzie koniec. Zapowiada się niezła jazda... Jeśli chcemy uniknąć tej śmiertelnej jazdy, Rees, musimy mieć naukowców.

Młodych, dociekliwych, takich, którzy mogliby znaleźć sposób na wyjście z pułapki, jaką staje się Mgławica. Sekret uczonego nie jest to, co wie, lecz pytania, jakie zadaje. Myślę, że masz dar zadawania pytań. Może...

- Mówi pan, że mogę zostać? - Rees poczuł, że oblewa się rumieńcem.

- Pamiętaj, to okres próbny. - Hollerbach pociągnął nosem. - Będę go przedłużał według własnego widzimisię. Musimy ci też zapewnić porządne wykształcenie.

Przyciśnij Grye'a trochę mocniej, dobrze? - Stary człowiek powlókł się z powrotem do biurka i opadł na krzesło. Wyjął z kieszeni okulary, założył je i pochylił się nad papierami. Po chwili zerknął na Reesa. - Coś jeszcze?

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? - Rees uśmiechnął się.

- No, skoro już musisz... - zirytował się Hollerbach.

- Niech mi pan opowie o gwiazdach. Tych po drugiej stronie Pierścienia Boldera.

Czy rzeczywiście dzieli je od nas milion mil?

- Tak, a niektóre znajdują się jeszcze dalej! - Hollerbach usiłował okazać irytację, ale w końcu lekko się uśmiechnął. - Istnieją między nimi ogromne odległości. Te gwiazdy świecą na niemal pustym niebie. Są jednak w stanie przetrwać, i to nie tysiąc szycht jak tutejsze paskudztwa, lecz biliony szycht!

Rees próbował wyobrazić sobie coś tak cudownego.

- Ale... jak?! - wyjąkał.

Tym razem Hollerbach odpowiedział chętnie.

ROZDZIAŁ 5

Po rozmowie Grye zabrał młodzieńca do akademika. W długim, płasko wykończonym budynku było miejsce dla około pięćdziesięciu ludzi. Onieśmielony Rees szedł za kapryśnym naukowcem między dwoma rzędami zwykłych sienników. Obok każdego posłania znajdowała się szafka oraz wieszak na ubrania. Rees z zaciekawieniem patrzył na nieliczne rzeczy osobiste rozsypane na podłodze i szafkach. Leżały tam grzebień i brzytwy, małe lusterka, proste przybory do szycia, zdarzały się fotografie rodzin i młodych kobiet. Jakiś młody człowiek, sądząc po czerwonej naszywce na kombinezonie, nonszalancko leżał na swoim sienniku. Na widok niechlujnego ubioru Reesa uniósł brwi ze zdziwienia, ale dość przyjaźnie kiwnął głową. Górnik uczynił to samo i czując, że czerwieni się jak burak, szybko poszedł za Grye'em.

Zastanawiał się, co to za budynek, gdzie go przyprawiono. Kabina Pallisa, w której mieszkał od czasu przybycia, wydawała mu się szczytem luksusu, o jakim nie mógł marzyć, będąc mieszkańcem Pasa. Te pomieszczenia nie wyglądały tak wspaniale, ale z pewnością służyły wyższej klasie. Niewykluczone, że będzie musiał tu posprzątać, może nawet pozwoli mu spać gdzieś w pobliżu...

Dotarł wraz z Grye'em do łóżka bez prześcieradła i koców, a stojąca obok szafka była pusta. Grye machnął ręką, jakby chciał odprawić towarzysza.

- Tutaj chyba będzie ci dobrze - rzekł i ruszył z powrotem. Rees ruszył za nim, całkowicie zdezorientowany. Grye odwrócił się do górnika. - Na wszystkie cholerne kości, chłopie, co się z tobą dzieje? Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi?

- Przepraszam...

- Tutaj. - Grye jeszcze raz pokazał Reesowi siennik. Cedził słowa, jakby miał przed sobą nierozgarnięte dziecko. - Odtąd będziesz spał tutaj. Czy mam ci to napisać?

- Nie...

- Połóż swoje rzeczy w szafce.

- Nie mam niczego.

- Przynies z magazynu koce - ciągnął Grye. - Inni pokażą ci, gdzie to jest. - Nie zważając na zagubione spojrzenie młodzieńca, Grye popędził przez akademik, żeby zająć się następnym zadaniem.

Rees usiadł na miękkim i czystym łóżku. Przesunął palcem po starannie wykonanej

szafce. Po swojej szafce. Zrobiło mu się gorąco. Tak, to była jego szafka, jego łóżko - jego miejsce na Tratwie.

Udało się więc.

Siedział na posłaniu przez kilka godzin, nie wiedząc, że skupia na sobie rozbawione spojrzenia pozostałych mieszkańców akademika. Czuł się bezpiecznie i cieszył się z perspektywy jutrzejszych zajęć.

- Słyszałem, jak okpiłeś starego Hollerbacha. - Słowa wyrwały Reesa z otępienia.

Podniósł oczy i spojrzał na nieprzyjemną twarz kadeta, z którym rozprawił się przy mostku.

Usiłował przypomnieć sobie jego imię. Doav? - Nie dość, że mieszkamy w tych ruderach, to jeszcze musimy je dzielić z takimi szcurami jak ten...

Rees miał w sobie tylko spokój i akceptację. To nie był odpowiedni czas na bójki.

Młodzieniec spojrzał Doavowi w oczy, lekko się uśmiechnął i mrugnął.

Doav prychnął i odwrócił się. Robiąc mnóstwo hałasu i trzaskając drzwiami szafki, zabrał swoje rzeczy, potem wziął pościel i ostentacyjnie przeniósł się na drugi koniec sypialni.

Po pewnym czasie do łóżka Reesa podszedł chłopak, który wcześniej okazał mu życzliwość.

- Nie przejmuj się Doavem. Nie wszyscy jesteśmy tak źle nastawieni.

Rees podziękował młodzieńcowi, doceniając przyjazny gest, ale zauważył, że chłopiec nie chce z nim nawiązać kontaktu. W miarę jak zmiana dobiegała końca i kolejni uczniowie kładli się spać, było widać, że łóżko Reesa stanowi wysepkę, którą otacza fosa pustych posłań.

Rees ułożył się na nie zasłanym sienniku, podwinął nogi i uśmiechnął się do siebie.

Nie był ani trochę zmartwiony.

Rees dowiedział się, że teoretycznie w społeczeństwie Tratwy nie występuje podział na klasy. Szeregi uczonych i oficerów były dostępne dla wszystkich bez względu na urodzenie. Przyjęcie zależało wyłącznie od zasług lub od nadarzającej się okazji. O przynależności do klasy decydowały zadania, pełnione przez członków Załogi legendarnego Statku. Reesowi wytłumaczono, że podział odbywa się ze względu na funkcje i użyteczność, a nie władzę czy pozycję. Oficerowie więc nie stanowili klasy panującej, służyli reszcie obywateli, gdyż brali na siebie dużą odpowiedzialność za codzienne utrzymywanie społecznego porządku i należyte funkcjonowanie Infrastruktury Tratwy. Kapitan liczył się na przykład najmniej, ponieważ ponosił

największą odpowiedzialność.

Tak przynajmniej mówiono.

Z początku Rees, który dotychczas obcował z ludźmi tylko w prymitywnym środowisku na Pasie, wierzył we wszystko, czego z powagą go uczono. Snobistyczne okrucieństwo Doava i innych ludzi traktował jako wyraz niedojrzałości. Jednak z czasem krąg jego znajomych poszerzył się. Rees zdobywał, oficjalnie i nieoficjalnie, coraz więcej informacji, które zmieniły jego pierwotne wyobrażenie o Tratwie.

Bez wątpienia młoda osoba, wywodząca się z klasy nieoficerskiej, mogła zostać oficerem. Jednak, o dziwo, nigdy do tego nie dochodziło. Inne klasy, odsunięte od władzy z powodu dziedzicznego panowania oficerów, w odwecie robiły wszystko, by umocnić własne wpływy, na przykład personel Infrastruktury uczynił z mechaniki Tratwy ezoteryczną wiedzę.

Gdyby nie pojednawcze zabiegi kierowników Infrastruktury, ludzi takich jak znajomy Pallisa, Decker, obsługa Infrastruktury chętnie wykorzystalaby swą przewagę, uniemożliwiając dostęp do zapasów żywności i picia przez zatkanie wbudowanych w pokład kanałów albo zatrzymanie Tratwy w któryś ze stu znanych jej sposobów.

Również uczeni, mający za zadanie badać otaczający ich świat, nie byli wolni od chęci rywalizowania o władzę. Od uczonych zależało przetrwanie Tratwy. W takich sprawach, jak poruszanie Tratwą, kontrola zagrożenia epidemiologicznego czy plan przebudowy sektorów pokładu, ich wiedza i usystematyzowany sposób myślenia okazywały się niezbędne.

Ponadto uczeni pielęgowali tradycję, która wyjaśniała, jak funkcjonuje wszechświat i w jaki sposób ludzie w nim żyją. Bez tego przekazu sieć społecznych i technologicznych uwarunkowań Tratwy z pewnością uległaby zniszczeniu w ciągu paru tysięcy szycht. Rees doszedł do wniosku, że Tratwa trzyma się w górze nie dzięki orbitowaniu wokół Rdzenia, lecz dzięki nieprzerwanej działalności rozumu ludzkiego.

Na barkach uczonych spoczywała więc wielka, niemal święta odpowiedzialność.

Jednak ten fakt wcale nie przeszkadzał im wykorzystywać wiedzy z taką bezwzględnością, z jaką czynili to robotnicy Deckera, blokując kanalizację. Ustawową powinnością naukowców było kształcenie każdego ucznia szczebla nadzorczego bez względu na klasę, i czynili to - symbolicznie. Pozwalało to jednak osobom terminującym w dziale Nauki, takim jak Rees, zgłębiać tajniki wiedzy i oglądać stare książki i przyrządy...

Wiedzę strzeżono jak skarb, dlatego jedynie ludzie obcujący z uczonymi znali

pochodzenie ludzkości i zasady funkcjonowania Tratwy i Mgławicy. Słuchając paplaniny w refektarzach i kolejkach po żywność, Rees przekonał się, że uczniowie bardziej interesują się wielkością porcji podczas szychty albo wynikiem symulowanych zawodów sportowych niż przetrwaniem rasy. Zupełnie jak gdyby Mgławica mogła trwać wiecznie, a sama Tratwa bezpiecznie, po wsze czasy spoczywać na filarach ze stali!

Ludzie byli ciemni, podatni na mody, kaprysy i krasomówcze popisy... nawet na Tratwie. Rees z własnego doświadczenia wiedział, że inne kolonie, na przykład kopalnia na Pasię czerpie wiedzę o przeszłości człowieka i strukturze kosmosu z dziwacznych podań. Być może również zagubione światy Kościejów opierają wiedzę tylko na legendach.

Na szczęście dla naukowców uczniowie z innych klas przeważnie zadowalali się istniejącym stanem rzeczy. Zwłaszcza oficerscy kadeci, słuchający wykładów, okazywali na różne sposoby pogardę. Suche fakty nie przemawiały do ich wyobraźni tak bardzo, jak znalezienie się w wirze wydarzeń i popisywanie władzą.

W tej sytuacji uczeni nie napotykali sprzeciwu. Jednak Rees powątpiewał w słuszność ich metod. Wprawdzie w porównaniu z Pasem Tratwa wciąż zapewniała wygodę i dobre zaopatrzenie, lecz tutaj też zaczęły występować niedobory. Niezadowolenie było powszechne.

Ludzie nie potrafili zrozumieć, że bardziej uprzywilejowane klasy w znacznym stopniu przyczyniają się do ich dobra, więc często stawały się one obiektem gniewu.

Obecny układ nie wydawał się zbyt stabilny.

Rees zdawał sobie sprawę, że elitarny charakter wiedzy wywołuje jeszcze jeden niepożądany efekt. Fakty, którym nadano charakter pereł wiedzy, sprawiały wrażenie uświęconych i niezmiennych. Naukowcy ślęczeli nad starymi księgami i intonowali mądre litanie, dostarczone tutaj przez Statek i jego Załogę, nie chcąc albo nie umiając pogodzić się z myślą, że pozółkłe strony mogą zawierać luki informacyjne, a nawet - cicho sza! - nieścisłości i błędy!

Pomimo że Rees miał liczne wątpliwości i pytania, w jego życiu nastąpił bardzo szczęśliwy okres. Jako pełnoprawny uczeń, mógł liczyć na więcej niż książki dla dzieci, pokazywane mu przez Grye'a. Brał udział w zajęciach razem z innymi studentami i uczył się konsekwentnie uporządkowanego materiału. Wolne godziny spędzał na oglądaniu książek i zdjęć. Niezapomniane wrażenie wywarła na nim stara fotografia, którą znalazł w zniszczonym folderze. Zobaczył na niej błękitny skraj Mgławicy.

Błękitny!

Sycił oczy magiczną barwą, której przejrzystość i chłód idealnie odpowiadały jego wyobrażeniom.

Na początku Rees siedział w ławce z uczniami młodszymi od siebie o parę tysięcy szycht. Robił jednak błyskawicznie postępy i wkrótce, budząc niechętnie okazywany podziw wykładowców, nadrobił zaległości, dzięki czemu pozwolono mu brać udział w zajęciach prowadzonych przez samego Hollerbacha.

Jako nauczyciel, Hollerbach odznaczał się energią i urokiem osobistym. Nie korzystał z pozółkłych tekstów i prastarych fotografii. Zachęcał uczniów do samodzielnego myślenia i urozmaicał wykłady bogatym słownictwem, popartym żywą gestykulacją.

Podczas którejś zmiany polecił każdemu studentowi zbudować proste wahadło, metalową bryłkę przywiązaną do sznurka, i porównać czas jego oscylacji do czasu palenia się świecy. Rees ustawił wahadło, zgodnie z instrukcją Hollerbacha ograniczył oscylacje do kilku stopni i uważnie liczył kolejne wychylenia. Siedzący kilka ławek dalej Doav, ospale przeprowadzał poszczególne fazy eksperymentu. Ilekroć Hollerbach przestawał zwracać na niego uwagę, śmiertelnie znudzony młodzieniec szturchał rozkołysaną bryłkę palcem.

Niebawem studenci ustalili, że czas ruchu wahadła zależy wyłącznie od długości sznurka i nie wiąże się z masą wahadła. Ten prosty fakt wydał się Reesowi fascynujący, tym bardziej że wykrył tę zależność samodzielnie. Po zajęciach przesiedział w małym, studenckim laboratorium jeszcze wiele godzin. Eksperymentował, zmieniając masę wahadła i zwiększając jego wychylenie.

Na następnej lekcji Hollerbach zrobił niespodziankę. Majestatycznie wszedł do laboratorium, zmierzył studentów wzrokiem, polecił im wziąć stojaki z retortami, do których nadal były przymocowane wahadła, a potem przywołał ich ręką, odwrócił się i opuścił salę.

Studenci poszli za nim, nerwowo ściskając swoje retorty. Doav wywrócił oczy, demonstrując znudzenie.

Hollerbach prowadził grupę aleją pod baldachimem obracających się drzew. Niebo było akurat bezchmurne i światło gwiazd tworzyło jasne cętki na płytach pokładu.

Pomimo dość podeszłego wieku Hollerbach szedł całkiem szybko. Kiedy zatrzymał się pod gołym niebem, kilka metrów za brzegiem latającego lasu, Rees pomyślał, że jego koledzy podobnie jak on czują ten marsz w nogach. Rozejrzał się z zaciekawieniem, mrugając oczami,

gdyż raziło go światło gwiazd. Pozorne nachylenie zespawanego pokładu sprawiało, iż czuł się nieswojo.

Hollerbach usiadł ze skrzyżowanymi nogami i polecił studentom, aby zrobili to samo.

Przymocował do płyt kilkanaście świec.

- A teraz, panie i panowie - zawołał - chciałbym, żebyście powtórzyli eksperymenty z naszej ostatniej lekcji. Przygotujcie wahadła. - W grupie rozległy się stłumione jęki, które nie dotarły do uszu Hollerbacha. Studenci rozpoczęli pracę, a Hollerbach wstał i niecierpliwie między nimi krążył. - Pamiętajcie, że jesteście uczonymi - powiedział. - Jesteście tutaj po to, by obserwować, a nie osądzać. Macie robić pomiary i rozumieć...

Rees otrzymał dziwne wyniki. Ostrożnie powtórzył serię testów, gdy tymczasem świece Hollerbacha dopalały się. Wreszcie naukowiec zawołał:

- Jakie wnioski? Doav?

Rees usłyszał ciężki oddech kadeta.

- Żadnej różnicy - oznajmił znużonym głosem Doav. - Taka sama krzywa wyniku jak ostatnim razem.

Rees zmarszczył brwi. Czas, który zmierzył, był dłuższy od wczorajszego, chociaż nie zanotował znaczącej różnicy. Doav udzielił więc niewłaściwej odpowiedzi.

Na pokładzie panowała cisza. Doav niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

Hollerbach postanowił dać mu wycisk. Rees z trudem powstrzymywał uśmiech, kiedy stary naukowiec wytykał kadetowi niestaranność i lenistwo, a także zarzucił mu, iż ma klapki na oczach i nie zasługuje na złote galony. Pod koniec reprimendy Doavowi płonęły policzki.

- Usłyszmy prawdę - mruknął Hollerbach, ciężko dysząc. - Baert? - Następny uczeń udzielił odpowiedzi zgodnej z wynikami Reesa. - W takim razie, co się stało? - zagadnął Hollerbach. - Co wpłynęło na zmianę wyniku eksperymentu?

Studenci wysuwali rozmaite hipotezy. Mówili o wpływie światła gwiazdowego na piony wahadeł, o większej niedokładności metody pomiaru, świece Hollerbacha migotały tutaj znacznie częściej niż w laboratorium, oraz innych czynnikach. Sędziwy naukowiec w skupieniu wysłuchiwał kolejnych pomysłów i od czasu do czasu kiwał głową.

Reesa nie przekonała żadna z wygłaszanych teorii. Wpatrywał się w małe urządzenie, gorąco pragnąc, by zdradziło swe sekrety.

W końcu Baert napomknął z wahaniem:

- Może grawitacja?

- No właśnie? - Hollerbach uniósł brwi.

- Znajdujemy się trochę dalej od centrum grawitacji Tratwy, prawda? - Baert niepewnie potarł nos. - Jeśli więc wpływ grawitacji na wahadło jest trochę mniejszy... - Hollerbach przyglądał mu się badawczo, ale milczał. Baert zarumienił się i ciągnął: - To grawitacja sprawia, że wahadło się wychyla, a więc jeśli grawitacja jest mniejsza, okres wychylenia będzie dłuższy... Czy to brzmi logicznie?

- Przynajmniej budzi mniej wątpliwości niż inne propozycje, które tu słyszałem.

Hollerbach przekreślał głowę z boku na bok. - Załóżmy, że masz słuszość, jaki jest więc dokładny związek między siłą grawitacji a okresem?

- Nie możemy tego stwierdzić - odpowiedział Baert. - Potrzebujemy więcej danych.

- No, proszę - zauważył Hollerbach. - To pierwsze inteligentne zdanie wypowiedziane przez was podczas tej szychty. Cóż, panie i panowie, proponuję, żebyście zaczęli zbierać dane. Dajcie mi znać o waszych wynikach - dorzucił i odszedł.

Studenci rozeszli się z mieszanymi uczuciami. Rees chętnie zabrał się do pracy i przez kilka następnych szycht buszował po całym pokładzie, uzbrojony w wahadło, notatnik i zapas świec. Zapisywał okres ruchu wahadła, sporządzał staranne notatki, wykresy logarytmiczne i obliczenia. Uważnie obserwował, jak wahadło ustawia się pod różnymi kątami w stosunku do powierzchni, wykazując, że płaszczyzna pionu zmienia się w zależności od miejsca na Tratwie. Przypatrywał się też powolnym, niepewnym oscylacjom wahadła na samej Krawędzi.

Wreszcie udał się do Hollerbacha.

- Sądzę, że znam odpowiedź - zaczął niepewnie. - Okres ruchu wahadła jest proporcjonalny do kwadratu pierwiastka jego długości, a także odwrotnie proporcjonalny do kwadratu pierwiastka przyspieszenia zależnego od grawitacji. - Hollerbach nic nie powiedział. Splótł usiane ciemnymi plamami palce i z powagą przyglądał się Reesowi. - Czy mam rację? - Rees nie wytrzymał.

- Chłopcze, musisz się nauczyć, że w nauce nie istnieją proste odpowiedzi. - Hollerbach sprawiał wrażenie rozczarowanego. - Można tylko wysuwać hipotezy.

Stwierdziłeś coś w rodzaju empirycznego prorocstwa. W porządku, niech będzie.

Teraz musisz je skonfrontować z teorią, którą poznałeś.

Rees jęknął w duchu, lecz posłusznie zabrał się do wykonania polecenia. Opisał wyniki

badania na temat siły i kierunku pola grawitacyjnego Tratwy.

- Pole różnicuje swoją wartość w skomplikowany sposób - oznajmił. - Na początku myślałem, że maleje ono jak odwrotność kwadratu odległości od centrum Tratwy.

Przekonałem się jednak, że to nieprawda. Prawo kwadratu odwrotności obowiązuje tylko w stosunku do mas punktowych albo idealnie kulistych obiektów. Traci ważność w przypadku obiektów o kształcie talerza, takich jak Tratwa.

- Wobec tego, jakie...? - Hollerbach nie dokończył, spojrzał tylko na ucznia.

- Wiem - westchnął Rees. - Powinienem jeszcze nad tym popracować. Zgadza się?

Głowił się nad zagadką dłużej niż nad ruchem wahadła. Musiał się nauczyć łączyć w całość trzy wymiary i wykorzystywać siły wektorowe i powierzchnie ekwipotencjalne oraz dokonywać sensownych, przybliżonych założeń. W końcu jednak rozwiązał problem, lecz zaraz pojawiło się następne pytanie, a potem jeszcze jedno i jeszcze jedno...

Życie Reesa nie ograniczało się do pracy.

Pewnego razu Baert, z którym Rees trochę się zaprzyjaźnił, zaoferował górnikowi bilet na imprezę zwaną Teatrem Światła.

- Nie będę udawał, że wybrałem cię w zastępstwie - powiedział z uśmiechem Baert.

Tamta kobieta wygląda trochę atrakcyjniej niż ty... ale nie chcę przegapić spektaklu ani zmarnować biletu.

- Teatr Światła? Cóż to takiego? Co się tam dzieje? - zapytał Rees, podziękowawszy koledze. W palcach obracał mały kartonik.

- Na Pasię nie ma zbyt wielu teatrów, co? Hm, skoro nigdy o czymś takim nie słyszałeś, to poczekaj na przedstawienie...

Teatr znajdował się za uwiązanymi drzewami. Żeby do niego dotrzeć, trzeba było pokonać trzy czwarte trasy prowadzącej do Krawędzi. Do teatru dojeżdżały autobusy z centrum Tratwy, ale Baert i Rees zdecydowali się pójść na piechotę. Wkrótce dotarli do wysokiego ogrodzenia otaczającego teatr. Pokład tutaj robił się stromy i odtąd spacer przypominał forsowną wspinaczkę. Tu, na odkrytym pokładzie, z dala od osłony lasu, wyraźnie odczuwało się ciepło gwiazdy świecącej nad Tratwą, toteż twarze obu podróżników błyszczały od potu.

Baert niezdarnie się odwrócił, naciskając butami na zanitowane zbocze.

- Niezła wyprawa - stwierdził - ale przekonasz się, że było warto. Masz swój bilet?

Rees pogrzebał w kieszeniach, aż w końcu znalazł drogocenny kartonik. Z

niedowierzaniem patrzył, jak Baert pokazuje bilet portierowi, a następnie wszedł za kolegą przez wąską bramę.

Teatr Światła miał kształt owalu o długiej, liczącej około pięćdziesięciu metrów osi.

W górnej części teatru przytwierdzono ławki. Rees i Baert zajęli swoje miejsca.

Górnik spojrzał w dół na małą scenę, która została wsparta palami, tak że znajdowała się w płaszczyźnie poziomej, pod kątem do pokładu. Za sceną Rees dostrzegł odwrócony środek Tratwy, szerokie, metalowe zbcze, pokryte klockowatymi budynkami i wirującymi, szumiącymi drzewami, jakby potężną kurtynę na potrzeby spektaklu.

Teatr zapełnił się błyskawicznie. Rees ocenił, że zmieściłoby się tutaj około stu widzów. Zadrżał na myśl o tak wielkiej liczbie ludzi w jednym miejscu.

- Coś do picia?

Odwrócił się w popłochu. Podeszła do niego, trzymając tacę ze szklankami, olśniewająco piękna dziewczyna. Spróbował odwzajemnić uśmiech i odpowiedzieć, ale zdziwiła go jej postawa... Bez najmniejszego wysiłku i skrępowania stała prostopadle do pokładu, ignorując odchylenie płaszczyzny. Jej pozycja była tak naturalna, jakby pokład znajdował się w poziomie.

Rees zdumiał się. Wszystkie szczegółowo obmyślane hipotezy na temat złudnego przechyłu pokładu okazywały się fałszywe, jeśli dziewczyna stoi pionowo, a on siedzi pod kątem, bez oparcia dla pleców...

Nagle spadł na plecy, tłumiąc okrzyk.

Baert roześmiał się i pomógł mu wstać. Dziewczyna uśmiechnęła się ujmująco i zaoferowała górnikowi kubek z przezroczystym, słodkim napojem. Rees czuł, że jego policzki płoną jak gwiazdy. - Co to było? - Przepraszam. - Baert powstrzymywał się od śmiechu.

- Nabierają się wszyscy. Doprawdy, powinienem być cię uprzedzić...

- Ale jak ona może chodzić w ten sposób?

- Gdybym wiedział, zepsułbym sobie zabawę. - Baert wzruszył szczupłymi ramionami. - Magnetyczne podeszwy? Zabawne, że to nie dziewczyna cię przewraca.

Upadek zawdzięczasz pomyłce własnej percepcji, utracie poczucia równowagi.

- Tak, bardzo śmieszne - rzekł kwaśno Rees. Sącył napój i patrzył, jak dziewczyna porusza się w tłumie. Jej kroki wydawały się swobodne i naturalne. Pomimo uważnej obserwacji nie udało mu się dostrzec, w jaki sposób utrzymuje równowagę. Wkrótce jednak doczekał się bardziej zajmujących widoków. Ujrzał cyrkowców zonglujących pałkami, które wzbijały się

łukiem w powietrze pod nieprawdopodobnymi kątami, a potem niezawodnie wracały do rąk właścicieli.

Publiczność zaczęła bić brawa. Rees powiedział do Baerta:

- To jest magia.

- Nie magia - odparł tamten. - Prosta fizyka: nic więcej. Zdaje się, że twoje górnicze oczy wyskakują z orbit?

Rees nachmurzył się. Na Pasiu nikt nie miał zbyt wiele czasu na zonglowanie. Nie ulegało też wątpliwości, że to właśnie górnicy pośrednio płacili swoją pracą za ten spektakl.

Dyskretnie zerkał na zgromadzonych widzów. Dużo złotych i czerwonych galonów, mało czerni i innych kolorów. Czyżby przychodziły tutaj tylko wyższe sfery? Stłumił gniew i znowu zaczął oglądać przedstawienie.

Niebawem nadeszła pora na gwóźdź programu. Na scenie zamontowano trampolinę.

Tłum ucichł. Ktoś zagrał na dętym instrumencie płacziwą melodię, a potem na scenę wyszedł mężczyzna z kobietą, ubrani w zwykłe trykoty. Ukłonili się przed publicznością, wspięli na trampolinę i wspólnie poszybowali wysoko w oświetlone gwiazdami powietrze.

Najpierw wykonali proste manewry: wolne, pełne wdzięku salta i obroty. Miłe dla oka, ale niezbyt widowiskowe.

Następnie mężczyzna i kobieta jednocześnie odbili się od trampoliny, skoczyli wysoko i spotkali pod łukami. Nie dotykając się nawzajem, zawirowali wokół siebie, rozłożywszy ręce i nogi.

- Rety, jak oni to robią? - Baert z wrażenia wstrzymał oddech.

- Grawitacja - szepnął mu do ucha Rees. - Przez sekundę każde z nich kręciło się wokół środka masy partnera.

Akrobaci nie przerywali tańca. Okręcili się wokół siebie, a ich giętkie ciała kreśliły zawile parabole. Rees obserwował pokazy półprzymkniętymi oczami, pogrążony w ekstazie.

Analizował wymyślne ruchy tancerzy z punktu widzenia fizyka. Ich środki masy, zlokalizowane gdzieś wokół talii, wytyczały hiperboliczne orbity w zmiennych polach grawitacyjnych. Tratwy, sceny i samych tancerzy, toteż za każdym razem, gdy akrobaci opuszczali trampolinę, trasy przebywane przez ich środki masy były mniej lub bardziej określone. Mężczyzna i kobieta poruszali szczupłymi ciałami tak pięknie, że stwarzali złudzenie, iż lecą w powietrzu z własnej woli i nie są uzależnieni od grawitacji. Rees uznał za paradoksalne, że

grawitacja wynosząca miliard g pozwala ludziom na taką swobodę.

Tancerze wykonali ostatni, efektowny łuk. Ich ciała zawirowały, a twarze połączyły się niczym sąsiadujące ze sobą planety. Potem spektakl się zakończył. Akrobaci stanęli na trampolinie, trzymając się za ręce. Rees klaskał i tupał nogami jak cała publiczność.

Grawitację wielkości miliarda g można było więc nie tylko mierzyć...

Nagle coś błysnęło, w powietrzu rozległ się hałas, po czym pojawił się obłok dymu.

Wysadzona od spodu trampolina przez moment przypominała trzepoczącego, ptasiego tancerza. Akrobaci krzyknęli, podmuch powietrza wyrzucił ich w górę. Następnie trampolina runęła wraz z tancerzami na rozłupane deski.

Oszołomiona publiczność zamilkła. Tylko ze szczątków sceny dobiegał cichy, urywany jęk. Rees z niedowierzaniem patrzył na czerwonobrazową plamę, rozprzestrzeniającą się na resztkach trampoliny.

Jakiś tęgi mężczyzna z pomarańczowymi naszywkami szybko wybiegł zza kulis i zajął przed publicznością władczą postawę.

- Siadać - zakomenderował. - Niech nikt nie próbuje wychodzić. - Nie ruszał się z miejsca, podobnie jak posłuszni widzowie.

Rees rozejrzał się dookoła. Przy wyjściach stali mężczyźni w kombinezonach z pomarańczowymi naszywkami. Tak samo ubrani ludzie podchodzili również do zgliszczy sceny.

- Służba bezpieczeństwa - szepnął Baert i pobladł. - Podlegają bezpośrednio Kapitanowi. Nie widuje się ich zbyt często, ale zawsze są na posterunkach, często jako tajniacy.

- Oparł się o krzesło i założył ramiona. - Ale heca. Zanim nas stąd wypuszczą, będą wszystkich przesłuchiwać. Potrwa to wiele godzin...

- Baert, nic z tego nie rozumiem. Co się stało?

- A jak myślisz? - Baert wzruszył ramionami. - Oczywiście podłożono bombę.

- Ktoś zrobił to celowo? - Rees był zdezorientowany niemal tak samo, jak wówczas, gdy przeszła obok niego dziewczyna z napojami. Baert rzucił mu ironiczne spojrzenie i nic nie odpowiedział. - Dlaczego?

- Nie wiem. Nie utożsamiam się z tymi ludźmi. - Baert potarł nos. - Takich ataków, skierowanych głównie przeciwko oficerom albo miejscom, w których oficerowie się pojawiają, jest sporo. Na przykład tutaj. Widzisz, mój przyjacielu, nie wszystkim jest tutaj dobrze - ciągnął.

- Wielu ludzi sądzi, że oficerowie mają zbyt wiele przywilejów.

- I dlatego podejmują takie akcje? - dopytywał Rees. Obrócił się w kierunku zaplamionej na czerwono trampoliny, na której leżały bezwładne ciała grawitacyjnych tancerzy. Nie mógł uwolnić się od poczucia nierzeczywistości. Przypomniawszy sobie, że zaledwie godzinę przed tragedią wściekł się na Baerta. Może byłby w stanie zrozumieć motywy ludzi, którzy podłożyli bombę - dlaczego jedna grupa miałaby dowolnie rozporządzać owocami pracy innej grupy? - ale żeby zabijać z takiego powodu?

Członkowie służby bezpieczeństwa zaczęli rewidować pojedynczych ludzi w tłumie.

Zrezygnowani, Rees i Baert, siedzieli w milczeniu, czekając na swoją kolej.

Pomimo incydentu w teatrze, Rees czerpał ze swego nowego życia ogromną przyjemność i miał wrażenie, że kolejne zmiany szychty upływają niewiarygodnie szybko. Nie minęło dużo czasu, gdy skończył Tysiąc Szychty, pierwszy etap promocji. Nadeszła pora na uhonorowanie jego osiągnięć.

Tak oto znalazł się w udekorowanym autobusie i oglądał czerwone naszywki uczonego trzeciej klasy, dopiero co przyszyte do ramienia jego kombinezonu.

Drżał, odnosząc wrażenie, że śni na jawie. Autobus przejeżdżał przez podmiejskie dzielnice Tratwy.

Dwunastu młodych pasażerów, którzy otrzymali promocję wraz z Reesem, rozmawiało i co rusz wybuchało śmiechem.

Jaen obserwowała Reesa przekornie zatroskana, marszcząc swój szeroki nos. Ręce położyła na kolanach.

- Coś cię dręczy.

- Nic takiego. - Wzruszył ramionami. - Przecież mnie znasz. Jestem poważnym facetem.

- Faktycznie, cholera. Masz. - Jaen zabrała chłopakowi siedzącemu obok Reesa butelkę z wąską szyjką. - Napij się. Przecież uzyskałeś promocję. To twoja Tysięczna Szychta i masz prawo się zabawić.

- Hm, niezupełnie tysięczna. Pamiętaj, że późno zacząłem. Czuję, jakbym miał za sobą tysiąc dwieście pięćdziesiąt szychty.

- Och, ty wstrętny nudziarzu, wypij trochę, bo zaraz wykopię cię z autobusu.

Rees śmiejąc się, ustąpił i pociągnął duży łyk z butelki. W barze „U Kwatermistrza” próbował sporo trunków i większość z nich była mocniejsza od tego musującego wina, jednak tym razem alkohol podziałał na niego w niesamowity sposób. Odnosił wrażenie, że kuliste

lampy, wiszące rzędami wzdłuż płataniny lin, dają przyjemniejsze światło.

Grawitacyjne przyciąganie Jaen mieszało się z jego siłą ciężenia i stanowiło źródło ciepła i spokoju, natomiast urywana rozmowa kolegów stała się bardziej ożywiona i zajmująca.

Pogodny nastrój nie opuścił Reesa, kiedy wynurzyli się spod baldachimu latających drzew i dotarli do cienia Platformy. Wielkie metalowe wargi zawijały się od Krawędzi do środka, tworząc czarny prostokąt na tle karmazynowego nieba, a ich wzmacniające klamry przypominały wychudzone kończyny. Autobus zatrzymał się z warkotem przy szerokich schodach. Rees, Jaen i reszta pasażerów wysypali się z pojazdu i wspięli się po schodach na Platformę.

Przyjęcie z okazji Tysięcznej Szychty trwało w najlepsze. Na Platformie bawiło się około stu absolwentów ze wszystkich klas. Bar cieszył się ogromnym powodzeniem, a niezbyt dobrana grupa muzyków grała rytmicznie. Obok niskiej estrady nieliczne pary trochę podrygiwały. Rees ruszył przed siebie, żeby obejrzeć ściany Platformy.

Platforma dowodziła dobrego smaku jej twórców, którzy przymocowali kwadrat o powierzchni stu metrów kwadratowych do Tratwy pod takim kątem, aby harmonizował z miejscową płaszczyzną poziomą, a potem otoczyli go szkłem, odsłaniając przepiękne widoki.

Przy wewnętrznej części brzegu znajdowała się Tratwa, przechylona niczym potężna zabawka. Podobnie jak w teatrze, wrażenie z pobytu na bezpiecznej, płaskiej powierzchni i jednocześnie bliskość stromej zbocza przyprawiały go o podniecający zawrót głowy.

Wysunięty w stronę kosmosu skraj Platformy był zawieszony nad Krawędzią Tratwy, a jeden sektor podłogi został wyłożony szklanymi płytami. Rees stanął nad czeluściami Mgławicy i miał wrażenie, iż unosi się w powietrzu. Widział setki gwiazd, rozsypanych w ogromnym, trójwymiarowym szeregu i rozświetlających powietrze niczym szerokie na milę klosze lamp. Na środku, bliżej zasłoniętego Rdzenia Mgławicy, gwiazdy tworzyły gęste skupisko, toteż młodzieńcowi wydawało się, że spogląda na głęboki, wysadzany gwiazdami szyb.

- Gratuluję, Rees. - Rees odwrócił się i zobaczył Hollerbacha. Wychudzony, posępny naukowiec zupełnie nie pasował do wesołego otoczenia.

- Dziękuję panu.

- Oczywiście, od początku nie wątpiłem w to, że odniesiesz sukces. - Stary człowiek pochylił się ku Reesowi jak spiskowiec.

- Muszę przyznać, że ja czasami wątpiłem. - Rees wybuchnął śmiechem.

- Tysiąc Szycht, he? - Hollerbach podrapał się w policzek. - Hm, nie mam wątpliwości, że

zajdziesz znacznie dalej. Tymczasem mam dla ciebie problem do rozwiązania. Starożytni, czyli pierwsza Załoga, nie mierzyli czasu w szychtach.

Wiemy o tym z archiwów. Używali szycht, to fakt, ale posługiwali się też innymi jednostkami:

dzień, trwający około trzech szycht, oraz rok, czyli około tysiąca szycht. Ile skończyłeś szycht?

- Jakieś siedemnaście tysięcy, proszę pana.

- A zatem liczysz sobie około siedemnastu lat, tak? Przejdźmy do rzeczy. Jak myślisz, do czego odnosiły się te jednostki? - Zanim Rees zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Hollerbach podniósł rękę i odszedł. - Baert! - wykrzyknął starzec. - A więc pozwolili ci zająć tak daleko pomimo wysiłków z mojej strony...

Pod ścianami ustawiono pucharki ze słodyczami. Jaen skubała jakąś puszystą substancję i z roztargnieniem pociągnęła Reesa za rękę.

- Chodź. Nie masz już dość zwiedzania i nauki?

- Hm? - Rees spojrzał na dziewczynę, a wino i blask gwiazd uderzyły mu do głowy.

Wiesz, Jaen, pomimo opowieści o naszym ojczystym świecie, dochodzę do wniosku, że tutaj czasami też jest bardzo pięknie. - Uśmiechnął się. - Ty również nieźle wyglądasz.

- Ty też. A teraz chodźmy zatańczyć. - Uderzyła go w splot słoneczny.

- Co? - Natychmiast otrząsnął się z euforii. Zerknął przez ramię dziewczyny na wirujące w tańcu pary. - Posłuchaj, Jaen, ja nigdy w życiu nie tańczyłem.

- Nie bądź tchórzem, szcurze z kopalni. Ci ludzie to tacy sami eksuczniowie jak ty czy ja. I jedno mogę ci zagwarantować: nie będą na ciebie patrzyli.

- No... - zaczął, ale było już za późno. Jaen stanowczo chwyciła go pod ramię i poprowadziła na środek Platformy.

Rees wciąż pamiętał o nieszczęsnych tancerzach w Teatrze Światła. Wiedział, że nawet gdyby żył pięćdziesiąt tysięcy szycht, nigdy nie zdołałby tak perfekcyjnie zatańczyć.

Na szczęście, taniec na Platformie w niczym nie musiał przypominać wymyślnych ewolucji.

Chłopcy obserwowali dziewczyny z odległości kilku metrów. Uczestnicy balu, którzy tańczyli, nadrabiali braki entuzjazmem. Rees patrzył na tańczących przez kilka sekund, a potem zaczął naśladować rytmiczne kołysanie. Zauważył, że Jaen wykrzywia ku niemu twarz.

- Okropne. Ale kto by się przejmował.

W warunkach słabej grawitacji, która była tutaj mniej więcej o połowę niższa niż w pobliżu laboratoriów, tańczyło się bardzo powoli. Rees rozluźnił się i poczuł, że taniec sprawia mu przyjemność. W pewnym momencie załamały się pod nim nogi i z łoskotem przewrócił się. Jaen zakryła usta, żeby stłumić chichot. Rees usłyszał wokół siebie salwy śmiechu. Dźwignął się na nogi.

- Przepraszam...

- Powinieneś przeproszać. - Ktoś poklepał go po ramieniu.

Rees odwrócił się i zobaczył uśmiechniętego od ucha do ucha wysokiego młodzieńca z naszywkami młodszego oficera.

- Doav - wycedził. - Podstawileś mi nogę? - Doav zarechotał. - Doav, działałeś mi na nerwy przez cały ostatni rok... - Rees mimowolnie napiął mięśnie. Młodszy oficer wydawał się zbity z tropu. - To znaczy, przez ostatnie tysiąc szycht. - Rees mówił prawdę. Czasami przez cały dzień znosił niespodzianki Doava, który przejawiał w stosunku do niego agresję.

Wolałby jednak nie być obiektem jego brutalności. Wypadek w teatrze pozwolił Reesowi zrozumieć, że postawy ludzi takich, jak Doav, przysparzają Tratwie cierpienie i, być może, zapowiadają dalsze nieszczęścia. Miał wrażenie, że wino, które wypił, zamieniło się w krew i pulsuje mu w głowie. - Kadecie, jeśli mamy jakieś porachunki...

- Nie tutaj. - Doav zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. - Ale niedługo się policzymy. O tak, niedługo. - Odwrócił się i zniknął w tłumie.

- Czy ty musisz z każdego zdarzenia robić widowisko? - Jaen uderzyła Reesa w ramię tak mocno, że aż podskoczył. - No chodź, zamówimy sobie drinki. - Zaczęła się przepychać w stronę baru.

- Cześć, Rees. - Rees zatrzymał się, przepuszczając Jaen do baru. Miał przed sobą szczupłego młodzieńca z gęstą czupryną, który nosił czarne naszywki Infrastruktury i chłodno mu się przyglądał.

- Gover - jęknął Rees. - Zdaje się, że to nie będzie moja najlepsza szychta.

- Co takiego?

- Nieważne. Nie widziałem cię od mojego przybycia.

- Tak. Łatwo zrozumieć, dlaczego. - Gover delikatnie prztyknął palcem w naszywkę Reesa. - Obracamy się w różnych kręgach, prawda?

Incydent z Doavem wyprowadził Reesa z równowagi, lecz mimo to starał się patrzeć na Govera obojętnie. Gover miał twarz rozwścieczonego choleryka, ale mimo to sprawiał wrażenie człowieka bardziej solidnego i pewnego siebie niż poprzednio.

- Wciąż usługujesz tym starym pierdzielom w laboratoriach, tak?

- Nie zamierzam ci odpowiadać, Gover.

- Nie? - Gover potarł nos dłonią. - Kiedy widzę cię w tym śmiesznym kostiumie, zastanawiam się, jak sam teraz siebie postrzegasz. Założę się, że odkąd tu wylądowałeś, nie przepracowałeś uczciwie nawet jednej szychty. Ciekaw jestem, co myślą teraz o tobie twoi znajomi, szczury. Jak sądzisz?

- Czego chcesz, Gover? - Rees poczuł, że się czerwieni. Miał wrażenie, że wino kwaśniej mu w żołądku. Był trochę oszołomiony. Czyżby złościł się na Govera, aby bronić się przed prawdą, żeby zapomnieć, iż zdradził własne korzenie?

- Posłuchaj, szczurze z kopalni, możesz wierzyć albo nie, ale chcę ci wyświadczyć przysługę. - Gover zrobił krok do przodu. Jego nieświeży oddech okazał się silniejszy niż zapach wina.

- Jaką przysługę?

- Sprawy zaczynają przybierać inny obrót - chytrze powiedział Gover. - Rozumiesz, o czym mówię? Niedługo wszystko się zmieni. - Łypnął na Reesa, najwyraźniej nie mając ochoty na rozwijanie wątku.

- O co ci chodzi? O niezadowolonych? - Były mieszkaniec Pasa zmarszczył brwi.

- Tak się ich czasem nazywa. Niektórzy twierdzą, że to poszukiwacze sprawiedliwości.

- Gover, byłem w Teatrze Światła podczas tamtej pamiętnej zmiany. Czy wtedy rzeczywiście sprawiedliwości stało się zadość? - Rees przestał słyszeć głosy uczestników balu. Czuł się tak, jakby on i Gover mieli gdzieś w powietrzu inną, należącą tylko do nich Tratwę.

- Rees, sam widzisz - oczy Govera przypominały wąskie szparki - że elita na Tratwie spycha nas do roli ostatniej rasy, a jej niemoralny system ekonomiczny degraduje pozostałą część ludzkiej populacji Mgławicy. Nadchodzi czas, gdy ci lepsi będą musieli to odpokutować.

- Jesteś jednym z nich, prawda? - Rees przeszył go wzrokiem.

- Może. - Gover przygryzł wargę. - Posłuchaj, Rees. Ryzykuję, dyskutując z tobą. Jeśli mnie zdradzisz, zaprzeczę, że kiedykolwiek przeprowadziliśmy tę rozmowę.

- Czego ode mnie chcesz?

- Naszą sprawę popierają porządni ludzie, na przykład Decker, Pallis...

- Daj spokój, Gover. - Rees parsknął rubasznym śmiechem. Mógł jeszcze uwierzyć w akces potężnego robotnika Infrastruktury, ale Pallis?

- Do diabła, Rees, wiesz, co o tobie myślę. - Gover nie dawał się wytrącić z równowagi. - Jesteś szczurem z kopalni. Tutaj, wśród przyzwoitych ludzi, nie ma dla ciebie miejsca. Jednak środowisko, z którego się wywodzisz, czyni cię jednym z nas.

Proszę tylko, żebyś przyszedł i posłuchał, co ci ludzie mają do powiedzenia. Masz dostęp do budynków Nauki, więc mógłbyś się przydać.

Rees próbował uporządkować myśli. Gover był zjadliwym, rozgoryczonym młodzieńcem i jego argumenty, pogarda mieszająca się z apelowaniem do uczuć bliźniego, wydawały się prostackie i wewnętrznie sprzeczne. Jednak straszliwa prawda, która była ze słów Govera, przydawała im siły. Rees przeraził się, że osoba pokroju Govera może tak szybko go otumanić, lecz mimo to buntował się i wrzał gniewem. Jeśli miało dojść do rewolucji, jeśli laboratoria zostałyby zniszczone, a oficerowie wtrąceni do więzień, co stałoby się wówczas?

- Gover, spójrz w górę. - Zadań głowę. - Widzisz tę gwiazdę? Jeśli nie przesuniemy Tratwy, ta gwiazda otrze się o nas i usmażymy się. Gdybyśmy nawet przetrwali coś takiego, popatrz dalej. - Rees zakreślił ramieniem szerokie półkole, pokazując czerwone niebo. - Mgławica umiera, a my wyginieemy razem z nią. Gover, tylko uczeni, wsparci przez uporządkowany system Tratwy, mogą nas uchronić przed tymi zagrożeniami.

- Naprawdę w to wierzysz? - Gover wściekle łypnął okiem i splunął na pokład. - Dałbyś spokój, Rees. Coś ci powiem. Mgławica mogłaby zapewniać nam byt jeszcze przez długi czas, gdyby jej zasoby były dzielone sprawiedliwie. Tylko tego się domagamy. - Odczekał chwilę. - No?

- Spływaj, Gover - odpowiedział znużonym głosem Rees. Zamknął oczy. Czy niebiańskie wilki wspomną o Goverze, gdy wylądują na wraku Tratwy i będą ogryzać kości jego dzieci?

- Jeśli tego właśnie chcesz, to nie mogę powiedzieć, żeby było mi przykro... - Gover uśmiechnął się szyderczo i zniknął w tłumie.

Rees miał wrażenie, że hałas tylko wiruje wokół niego i nie dociera do jego uszu.

Przepchnął się do baru, zamówił czystą wódkę i wypił palący płyn jednym haustem.

Niebawem dołączyła do niego Jaen.

- Szukałam cię - powiedziała, chwytając młodzieńca za ramię. - Gdzie... - nie dokończyła.

Poczuła pod marynarką Reesa naprężone mięśnie, a kiedy na nią spojrział, wzdrygnęła się na widok jego zagniewanej twarzy.

ROZDZIAŁ 6

Uczony drugiej klasy stał na korytarzu mostka. Obserwował wejście początkującego trzecioklasisty i próbował ukryć uśmiech. Mundur młodego człowieka był jak spod igły.

Chłopiec patrzył na srebrny kadłub mostka ze strachem, a jego błądź stanowiąca oczywisty dowód, iż zaledwie przed paroma godzinami fetował Tysięczną Szychtę. Uczony przypomniał sobie własną Tysięczną Szychtę i pojawienie się w nadbudówce Tratwy jakieś trzy tysiące szycht wcześniej. Chłopak okazywał zainteresowanie. Uczony miał już zbyt wiele do czynienia z uczniami, którzy w najlepszym razie byli ponurzy i zawzięci, a w najgorszym razie otwarcie wyrażali pogardę. Liczba nieobecności, a przez to wydaleń ze szkoły rosła w zatrważającym tempie. Uczony drugiej klasy, Rees, wyciągnął rękę do nadchodzącego adepta.

- Witaj na mostku - powiedział. Chłopak, blondyn z siwym pasemkiem we włosach, nazywał się Nead. Uśmiechał się niepewnie. W drzwiach stanął gruby, posepny strażnik.

Przygwoździł Neada groźnym spojrzeniem. Rees zauważył, że młodzieniec drży ze strachu, i westchnął. - Nie bój się, chłopcze. To tylko stary Forv. Musi zapamiętać twoją twarz, ot i wszystko. - Rees z odrobiną smutku pomyślał, że tego rodzaju uciążliwe środki ostrożności od niedawna uznawało się za konieczne. Ponieważ dostawy żywności wciąż się kurczyły, nastroje na Tratwie ulegały pogorszeniu, zaś ataki „niezadowolonych” przybierały na sile i częstotliwości. Czasami Rees zastanawiał się, czy...

Pokręcił głową, żeby otrząsnąć się. Miał przecież zadanie do wykonania. Powoli prowadził chłopca przez lśniące korytarze mostka.

- Na razie wystarczy, jak nabierzesz ogólnego pojęcia o układzie pomieszczenia - powiedział. - Most jest cylindrem o długości około stu metrów. Ten korytarz biegnie wokół jego środkowej części. Wnętrze dzieli się na trzy pokoje: dużą komorę w środku i dwie mniejsze komory przy końcu. Sądzymy, że te mniejsze pomieszczenia służyły kiedyś jako sterownie albo przechowalnie sprzętu. Prawdopodobnie mostek był częścią pierwszego Statku.

Weszli do jednego z mniejszych pomieszczeń. Piętrzyły się w nim książki, sterty dokumentów i urządzenia różnej wielkości i kształtów. Dwaj naukowcy pracowali pochyleni nad tym bałaganem. Byli skoncentrowani pomimo unoszącego się wokół nich kurzu.

Nead pytająco spojrział na Reesa brązowymi oczami.

- Do czego używa się tego pomieszczenia obecnie?

- Służy jako biblioteka - spokojnie odparł Rees. - Most to nasze najbezpieczniejsze, najlepiej chronione przed warunkami atmosferycznymi i wypadkami miejsce, dlatego przechowujemy tutaj nasze archiwa. Tyle, ile się zmieści, po jednym egzemplarzu każdego istotnego rejestru, a także część osobliwych przedmiotów, które przetrwały do naszych czasów.

Udali się korytarzem do małej klatki schodowej i zaczęli iść w kierunku osadzonych w wewnętrznej ścianie drzwi, które prowadziły do środkowej komory mostka. Rees zastanawiał się, czy ostrzec chłopca przed wysokim progiem, ale ostatecznie postanowił tego nie zrobić - miał ochotę na nieco złośliwego psikusa.

Nead po zrobieniu około trzech kroków w dół pochylił się do przodu, wymachując rękami. Nie przewrócił się jednak, tylko powoli wykonał salto i zaczął balansować w pionowym szybie klatki schodowej. Miało się wrażenie, że wpadł w jakąś niewidzialną ciecz.

Rees uśmiechnął się od ucha do ucha.

Nead ciężko dyszał. Udało mu się dosięgnąć ściany. Kiedy oparł dłonie na metalowej powierzchni, odzyskał równowagę i z powrotem wgramolił się na schody.

- Na kości - zaklął - co jest tam w dole?

- Nie martw się, jest nieszkodliwe - rzekł Rees. - Mnie też to spotkało, gdy wszedłem tu pierwszy raz. Nead, jesteś teraz uczonym. Zastanów się. Co się stało, kiedy zszedłeś po stopniach? - Chłopiec miał zakłopotaną minę. Rees westchnął. - Przeszedłeś przez płaszczyznę pokładu Tratwy, tak? To metalowa powierzchnia pokładu wywołuje przyciąganie grawitacyjne Tratwy, dlatego tutaj, w środku Tratwy i na jej płaszczyźnie nie ma przyciągania. Rozumiesz? Znalazłeś się w strefie nieważkości. - Nead otworzył usta ze zdziwienia. - Przyzwyczaisz się. - rzucił Rees. - Może z czasem nawet zrozumiesz to zjawisko. No, chodź.

Poszedł korytarzem do środkowej komory i z zadowoleniem usłyszał za swoimi plecami, że Nead wstrzymuje oddech.

Znaleźli się w przewiewnym, szerokim na jakieś pięćdziesiąt metrów pomieszczeniu.

Podłoga była tu w większej części przezroczysta, a jedyne, szerokie okno odsłaniało, przyprowadzające o zawrót głowy, czeluście Mgławicy. Wokół okna zamontowano wąskie, wyższe od przeciętnego człowieka urządzenia. Rees pomyślał, że niedoświadczonemu Neadowi maszyny muszą się wydawać potężnymi, niesamowitymi owadami, które ktoś naszpikował soczewkami i antenkami, aby mogły zerkać w powietrze. W pokoju wyczuwało się odświeżający zapach ozonu i oleju smarowego i dobiegał cichy szum serwowmotorów.

W komorze pracowało podczas tej szychty co najmniej kilkunastu naukowców.

Krażyli między maszynami, ustalając parametry i sporządzając szczegółowe notatki.

Ponieważ płaszczyzna Tratwy przesuwiała się nad przezroczystą podłogą na wysokości pasa człowieka, uczeni podskakiwali w powietrzu jak łódki na niewidzialnym stawie, a ich środki grawitacyjne oscylowały powyżej i poniżej linii równowagi w dwu i trzysekundowych okresach.

Rees obserwował otoczenie jakby nowymi oczami. Poczul, że się uśmiecha. Jakiś niski, pulchny mężczyzna bez najmniejszego problemu obrócił się do góry nogami, żeby z bliska zerknąć na płytę czujnika pomiarowego. Spodnie naukowca zsunęły się w kierunku płaszczyzny równowagi, odsłaniając krótkie nogi uczonego.

Rees stał z Neadem na małym progu. Zrobił krok w dół i uniósł się w powietrzu.

Zawisł zaledwie kilkanaście centymetrów nad złożoną z okien podłogą. Nead ociągał się zdenerwowany.

- No chodź, to jest łatwe - powiedział Rees. - Po prostu pływasz w powietrzu albo odbijasz się w górę lub w dół, kiedy stopy dotkną pokładu.

Nead zszedł z progu i runął do przodu. Powoli udało mu się wyprostować.

Przypominał Reesowi dziecko, które po raz pierwszy wchodzi do basenu. Po chwili młody człowiek uśmiechnął się. Niebawem poruszał się już swobodnie, odbijając się stopami od podłogi. Rees pokazał Neadowi maszyny. - Niesamowite. - Młody adept pokręcił głową. - To wyposażenie należy do najlepiej zachowanych elementów Statku. - Rees uśmiechnął się. - Zupełnie jakby rozładunek miał miejsce podczas ostatniej zmiany... Znajdujemy się w obserwatorium. Tutaj zamontowano wszystkie wysokiej jakości czujniki i właśnie tutaj, jako członek mojej mgławicowej ekipy fizyków, będziesz spędzał większość czasu. - Zatrzymali się przed dziesięciometrową, inkrustowaną soczewkami rurą. Rees przejechał dłonią po ozdobnym boku przyrządu. - To maleństwo jest moim oczkiem w głowie - rzucił. - Piękne, prawda? To teleskop, który może pracować niezależnie od długości fal, również wizualnych.

Za pomocą tego urządzenia możemy obserwować sam środek Mgławicy.

- Czy nigdy nie odczuwa się tutaj potrzeby patrzenia na zewnątrz? - zapytał Nead po przemyśleniu słów Reesa i zerknął na sufit.

- Tak. - Rees skinął głową w geście aprobaty. Spodobało mu się pytanie młodzieńca. - Znamy metody robienia z dachu przezroczystej powierzchni. Możemy też uczynić podłogę nieprzejrzystą, jeśli chcemy. - Popatrzył na płytę kontrolną urządzenia, nie większą niż ludzka

pięć. - Mamy szczęście, akurat nie dokonuje się żadnych obserwacji. Szybko „oprowadzę”

cię po Mgławicy. Większość tego, co ci opowiem, powinieneś już znać ze studiów, a o szczegóły na razie się nie martw.

Powoli wystukał serię komend na klawiaturze pod czujnikiem. Czuł, że młodzieniec patrzy na niego z zaciekawieniem. Zapewne Nead nigdy dotąd nie widział na Tratwie, gdzie znajdowało się sto maszyn dostawczych, kogoś, kto by naciskał klawisze tak niezręcznie.

Rees poczuł bolesne ukłucie, wróciły do niego stare urazy. Nieważne...

Tarcza sufitu zrobiła się zupełnie przezroczysta i odsłoniła czerwone niebo.

Rees wskazał płaski monitor, zamontowany na cienkim słupie w pobliżu teleskopu.

Ciemny obraz zakłócały jedynie zamazane kształty soczewek w różnych barwach, od czerwieni poprzez żółć aż po czyściutki błękit.

Z wrażenia Nead wstrzymał oddech.

- Przypomnijmy sobie kilka faktów - zaczął Rees. - Jak wiesz, żyjemy w Mgławicy, gwiazdnym obłoku w kształcie elipsy, którego szerokość wynosi około pięciu tysięcy mil.

Każda cząsteczka Mgławicy orbituje wokół Rdzenia. Tratwa również znajduje się na orbicie, jest umiejscowiona w Mgławicy jak mucha na obracającym się talerzu. Okraczamy Rdzeń w ciągu dwunastu szycht. Kopalnia Pasa jest położona niżej, toteż potrzebuje zaledwie dziewięciu szycht na wykonanie pełnego okrążenia. Kiedy piloci latają między kopalnią i Tratwą, drzewa w gruncie rzeczy zmieniają orbity! Na szczęście, gradienty prędkości orbitalnych są tak małe, że osiągnane przez drzewa prędkości pozwalają im bez trudu przelecieć z orbity na orbitę. Oczywiście, piloci muszą planować trasy bardzo starannie, żeby mieć pewność, iż kopalnia Pasa nie znajduje się po drugiej stronie Rdzenia, gdy pojawiają się na odpowiedniej orbicie. Teraz zapuszczamy się poza Mgławicę. W normalnych warunkach atmosfera utrudnia widoczność, ale teleskop pozwala nam ujrzeć to, co zobaczylibyśmy po rozproszeniu powietrza.

- Co to za plamki? Czy one są gwiazdami? - Nead uważnie przyglądał się obrazowi na monitorze.

- To inne mgławice. - Rees potrząsnął głową. - Niektóre z nich są większe od naszej, inne mniejsze, niebieskie są młodsze, a pozostałe starsze. Sądząc po przestrzeni, która znajduje się w zasięgu teleskopu, a mówimy tu o setkach milionów mil, cała przestrzeń kosmiczna jest nimi wypełniona. Dobrze. Teraz skierujmy się do wewnątrz. - Rees jednym naciśnięciem klawisza zmienił obraz. Pojawiło się na nim niebieskofioletowe niebo, na tle którego gwiazdy świeciły jak

diamenty.

- Jakież to piękne - zachwycił się Nead. - Ten obraz nie może pochodzić z naszej Mgławicy.

- Ależ tak - odparł Rees i smutno się uśmiechnął. - Oglądasz najwyżej położoną warstwę, gdzie najlżejsze gazy, wodór i hel, ulegają rozdzielaniu. Właśnie tam powstają gwiazdy. W wyniku turbulencji tworzą się obszary o większej gęstości. Kiedy ulegają implozji, powodują wyodrębnianie się gwiazd. - Gwiazdy, kule termojądrowego ognia, tworzyły w rozrzedzonej atmosferze gęste fale. Rozpoczęło się ich długie, powolne spadanie w Mgławicę. Rees kontynuował wykład. - Gwiazdy świecą mniej więcej tysiąc szycht, potem się wypalają i schłodzone, żelazne kule spadają w pobliże Rdzenia.

W każdym razie dotyczy to większości z nich. Jedno, dwa jądra zatrzymują się na stałej orbicie wokół Rdzenia. To one dają początek gwiazdnym kopalniom.

- A jeśli tor spadającej gwiazdy przecina orbitę Tratwy... - Nead zmarszczył brwi.

- Wtedy jesteśmy w opałach i korzystamy z drzew, żeby zmienić orbitę Tratwy. Na szczęście, gwiazda i Tratwa dążą do wspólnego punktu tak powoli, że jesteśmy w stanie zarejestrować tor ruchu gwiazdy.

- Skoro powstają nowe gwiazdy, to dlaczego ludzie mówią, że Mgławica umiera?

- Ponieważ jest ich dużo mniej niż kiedyś. Kiedy powstawała Mgławica, składała się prawie wyłącznie z wodoru. Gwiazdy przerobiły sporo wodoru w hel, węgiel i inne ciężkie pierwiastki. Oto, jak powstały złożone substancje, które podtrzymują tutaj życie. Z drugiej strony, to co my uważamy za życie, jest powolną, duszącą śmiercią Mgławicy. Dla niej tlen, węgiel i pozostałe pierwiastki to odpady. Ponieważ są one cięższe od wodoru, osiadają wokół Rdzenia. Wodoru ubywa coraz więcej. Obecnie pozostała już tylko cienka warstwa wokół Mgławicy.

- Co się ostatecznie wydarzy? - Nead obserwował rzadko rozsiane gwiazdy.

- Hm, obserwowaliśmy inne mgławice. - Rees wzruszył ramionami. - Kiedy ostatnie gwiazdy zgasną, pozbawione energii stworzenia żyjące w Mgławicy, wieloryby, niebiańskie wilki, drzewa i żyjątka stanowiące pokarm, to wszystko przestanie istnieć.

- Czy wieloryby naprawdę istnieją? Myślałem, że to tylko opowieści...

- Tutaj nigdy ich nie widzimy - Rees znowu wzruszył ramionami. - Mamy jednak mnóstwo relacji od podróżników, którzy zapuścili się w głąb Mgławicy.

- To znaczy, aż do kopalni na Pasie?

- Nie, jeszcze dalej. - Rees stłumił śmiech. - Mgławica to ogromna przestrzeń, chłopcze. Jest w niej miejsce dla wielu tajemnic. Być może znajdują się tam nawet zagubione ludzkie osiedla. Niewykluczone, że Kościeje rzeczywiście istnieją i wszystkie legendy o człekokształtnych, wielorybich śpiewakach na niebie... są prawdziwe. - Chłopak zadygotał. - Oczywiście - zastanawiał się głośno Rees - istnienie życia w Mgławicy nasuwa wiele pytań.

Jak możliwe jest jego istnienie? Z naszych archiwów wynika, że życie w rodzimym wszechświecie ewoluowało w ciągu tysięcy miliardów szycht. Mgławica z pewnością nie jest tak stara i będzie młodsza, nawet kiedy przestanie istnieć. W jaki więc sposób mogło powstać tutaj życie?

- Mówiłeś mi, co się stanie, kiedy zgasną gwiazdy...

- Tak. Ciemna atmosfera będzie systematycznie traciła ciepło, a potem - z racji mniejszego oporu wobec grawitacji Rdzenia - zupełnie się skurczy. W końcu Mgławica osiągnie wielkość kilkunastocentymetrowej warstwy wokół Rdzenia i powoli zacznie się zapadać... - Młody człowiek zbladł. - W porządku - szybko rzekł Rees. - Zajrzyjmy teraz do wewnątrz, za płaszczyznę Tratwy, którą od krawędzi Mgławicy dzieli tysiąc mil, a potem do samego środka.

Na monitorze pojawiło się dobrze znajome, czerwone niebo. Świeciły pojedyncze gwiazdy. Rees nacisnął klawisz i gwiazdy gwałtownie zniknęły. Wydawało się, że spadają, gdy obraz przeskoczył na Mgławicę. Gwiazdny obłok zaczął się przeredzać i ze środka wyłoniła się ciemna bryłka materii.

- To, co tutaj widzisz, jest warstwą szczątków orbitujących wokół Rdzenia - spokojnie wyjaśnił Rees. - W środku Mgławicy znajduje się czarna dziura. Jeśli nie wiesz, co to takiego, nie przejmuj się... Ta czarna dziura ma szerokość około jednej dwusetnej centymetra. Obiekt, który nazywamy Rdzeniem, stanowi gęstą masę materii, która otacza tę dziurę. Nie jesteśmy w stanie zajrzeć przez kamienną chmurę do samego Rdzenia, ale sądzimy, że jest to elipsoida o szerokości mniej więcej pięćdziesięciu mil. Gdzieś wewnątrz Rdzenia znajduje się czarna dziura okrążona tarczą, obszarem o szerokości około trzydziestu metrów, w którym następuje wychwytywanie materii i wciąganie jej do samego środka.

Na powierzchni Rdzenia grawitacja dziury nie przekracza kilkuset g. Na zewnętrznym skraju Mgławicy, a więc w miejscu, w którym się znajdujemy, grawitacja wynosi zaledwie ułamek g, ale pomimo że jest tak mała, utrzymuje całą Mgławicę.

Gdybyśmy mogli udać się do samego Rdzenia, przekonalibyśmy się, że grawitacja wzrasta do tysięcy, milionów g. Hollerbach ma własną teorię na temat tego, co dzieje się w pobliżu i wewnątrz Rdzenia, w królestwie, jak się wyraża, grawitacyjnej chemii.

- Nie rozumiem. - Nead zmarszczył czoło.

- Jasne, że nie rozumiesz - odparł ze śmiechem Rees. - Ale i tak ci o tym opowiem, żebyś wiedział jakie trzeba zadawać pytania. Widzisz, w codziennym kieracie wszyscy, nawet my, uczeni, zapominamy o najważniejszym, zdumiewającym fakcie, dotyczącym kosmosu.

Otóż, stała grawitacyjna jest miliard razy większa niż we wszechświecie, z którego wywodzi się człowiek. Dostrzegamy tylko efekty makroskopowe, na przykład ciało człowieka wytwarza całkiem silne pole grawitacyjne. Co jednak możemy powiedzieć o małych, subtelnym, mikroskopijnych siłach? W pierwotnym świecie człowieka - ciągnął Rees - grawitacja stanowiła jedyną znaczącą siłę w międzygwiazdnej skali. Jednak gdy wziąć pod uwagę krótkie odległości, w skali pojedynczego atomu, grawitacja była tak malutka, że wręcz nieodczuwalna. Jest całkowicie zdominowana nawet przez siłę elektromagnetyczną - mówił. - Właśnie dlatego nasze ciała są jak rozklekotane klatki elektromagnetyzmu.

Elektryczne przyciąganie w molekułach steruje procesami chemicznymi, które podtrzymują nasze życie.

Ale tutaj... - potarł w zamyśleniu nos. - Tutaj jest inaczej. W pewnych okolicznościach grawitacja może być w skali atomu równie znacząca jak inne siły, a nawet je zdominować.

Hollerbach rozprawia o nowym rodzaju atomu. Jego podstawowe cząstki byłyby masywne, może przypominałyby niewielkie czarne dziury, atom zaś wiązałby się za sprawą grawitacji w nowe, złożone struktury. Byłaby możliwa nowa odmiana chemii, chemia grawitacyjna, nowe królestwo natury, którego forma wykraczałaby nawet poza hipotezy Hollerbacha.

- Dlaczego więc nie odkryliśmy tej grawitacyjnej chemii? - dociekał Nead.

- Dobre pytanie. - Rees kiwnął głową na znak aprobaty. - Hollerbach liczy na zaistnienie odpowiednich warunków: właściwej temperatury i ciśnienia oraz silnych gradientów grawitacyjnych...

- W Rdzeniu - domyślił się Nead. - Rozumiem. Zatem może...

Obaj usłyszeli łoskot. Mostek nieznacznie się przechylił, jakby przeszła przez niego fala. Obraz na monitorze zniknął.

Rees odwrócił się i poczuł ostry zapach spalenizny i dymu.

Naukowcy w popłochu wymachiwali rękami, ale instrumenty wydawały się nie uszkodzone. Ktoś głośno krzyczał.

- Czy to jest normalne? - Twarz Neada wykrzywił strach. - Ten hałas dochodzi z biblioteki - mruknął Rees. Z pewnością nie jest normalny. - Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i kiedy znowu przemówił, w jego głosie nie wyczuwało się już paniki. - Nic się nie stało, Nead. Wydostań się stąd tak szybko, jak tylko potrafisz. Zaczekaj na zewnątrz, aż... - Ostatnie słowa zamarły mu w gardle.

- Aż co? - Nead nie spuszczał wzroku z Reesa.

- Aż po ciebie kogoś przyślę. A teraz ruszaj.

Chłopak niemal wypłynął do wyjścia i przepchnął się przez tłum uczonych.

Rees usiłował zignorować szerzącą się panikę. Zaczął przebierać palcami po klawiaturze teleskopu, żeby ustawić drogocenny instrument w pozycji wyjściowej.

Podziwiał sam siebie za zachowanie obojętności. Wiedział jednak, że po prostu reaguje na brutalną, przerażającą prawdę. Ludzi można zastąpić, teleskopu nie.

Kiedy odwrócił się od klawiatury, obserwatorium było już całkowicie puste.

Papiery i małe przyrządy leżały bezładnie na nierdzewnej podłodze albo unosiły się na poziomie równowagi. W powietrzu czuło się spaleniznę.

Lekkim krokiem przeszedł przez komorę i ruszył korytarzem. Dym gęstniał i szczypał go w oczy. Kiedy Rees zbliżał się do biblioteki, prześladowały go obrazy implozji w odlewni i w Teatrze Światła. Miał niezły mętlik w głowie i czuł się tak, jakby jego umysł był teleskopem skierowanym na ukryte zdarzenia przeszłości.

Wejście do biblioteki przypominało wspinaczkę do bardzo starego, zniszczonego otworu. Książki i dokumenty wyglądały jak poczerńiałe liście. Nadpalony papier przemókł w wyniku prób ocalenia go przez uczonych. Trzech ludzi wciąż jeszcze uderzało tłące się kartki wilgotnymi kocami. Jeden z mężczyzn odwrócił się. Po czarnych policzkach ciekły mu łzy.

Rees ze wzruszeniem rozpoznał Grye'a. Ostrożnie przejechał palcem po zastygłej skorupie uszkodzonych ksiąg. Ile stracono podczas tej zmiany, czy zaprzepaszczono mądrość, która mogłaby ich ocalić przed zabójczym dymem Mgławicy?

Coś trzasnęło pod jego stopami. Na podłodze leżały okruchy szkła. Rees wypatrzył odciętą, osmaloną szyjkę butelki od wina. Zastanowił się, ile szkody może wyrządzić tak prosty

wynalazek jak butelka wypełniona olejem oświetleniowym. Poczul się bezradny.

Dotknął ramienia Grye'a, odwrócił się i opuścił mostek.

Przy drzwiach nie było strażników. Na zewnątrz panował chaos. Rees niewyraźnie widział uciekających mężczyzn i płomienie na widnokręgu. W jaskrawym świetle gwiazd Tratwa wydawała się matowa, wręcz bezbarwna i jednostajna niczym piaszczysty teren.

Nadeszło więc to, czego Rees tak się obawiał. Płonna okazała się nadzieja, że ataki ograniczą się do kolejnego incydentu w laboratoriach. Cienka pajęczyna zaufania i akceptacji, która jednoczyła mieszkańców Tratwy, została zerwana...

Zauważył kilkaset metrów dalej grupę młodych ludzi. Otaczali grubego człowieka, w którym Rees rozpoznał kapitana Mitha. Zwalisty mężczyzna upadł pod gradem ciosów.

Usiłował zasłaniać głowę i krocze, lecz krwawił coraz mocniej. Wkrótce przestał stawiać opór.

Rees odwrócił głowę. Zobaczył teraz małą grupę uczonych, którzy siedzieli na pokładzie i tępo patrzyli przed siebie. Otaczali wianuszkami stos zwęglonych książek, być może zdołali uratować tobolek przed pożarem? Jednak po chwili Rees dostrzegł białą kość.

Miał ściśnięte gardło. Oddychał głęboko, przywołując całe swoje doświadczenie.

Wiedział, że teraz nie wolno mu spanikować.

Spojrzał na Hollerbacha. Stary naukowiec siedział nieco oddalony od reszty i wpatrywał się w resztki swoich okularów. Podniósł głowę na widok Reesa.

- Słucham? Och, to ty, chłopcze. Niezłe to wszystko, prawda? - Zmarszczki wokół jego oczu zastygły w komicznym grymasie.

- Co się dzieje, Hollerbach?

- Spójrz na nie. - Uczony bawił się okularami. - Służyły jakieś pół miliona szycht i były niezastąpione. Oczywiście, nigdy nie działały. - Powiódł dookoła nieprzytomnym wzrokiem. - Czyż to nie oczywiste, co się dzieje? - rzucił poddenerwowany.

Odzyskał trochę ze swojego dawnego wigoru. - Rewolucja, frustracja, głód i niedostatek. Ci ludzie walą na oślep, w co się da. Staliśmy się dogodnym celem. To wszystko jest tak cholernie głupie.

- Powiem ci, co jest głupie. - Nieoczekiwanie dla samego siebie Rees poczul gniew. - Ignorujecie resztę mieszkańców i ludzi na Pasie i każecie znosić głód. Właśnie to jest głupie...

- Hm, niewykluczone, że masz rację, chłopcze - Hollerbach wydawał się straszliwie

zmęczony - ale w tej sprawie nie mogę teraz nic zrobić, zresztą nigdy nie mogłem. Moja praca polega na utrzymywaniu Tratwy w idealnym stanie. Kto będzie się tym zajmował w przyszłości, hę?

- Szczur z kopalni. - Usłyszeli zadyszany, drżący z radości głos. Rees obrócił się i zobaczył zaczerwienioną twarz Govera z błyszczącymi oczami. Na kombinezonie miał ślady po oderwanych naszywkach, a na rękach krew aż po łokcie. Zza jego pleców nadchodziło kilkunastu młodych mężczyzn. Kiedy patrzyli na oficcerskie domy, miało się wrażenie, że ich twarze chudną z wycieńczenia.

- Powinienem być cię załatwić, kiedy nadarzyła mi się okazja. Czego chcesz, Gover? - Rees zacisnął pięści, ale szybko rozkurczył palce. Starał się zachowywać spokojnie.

- To ostatnia szansa, szczurze - syknął Gover. - Chodź z nami teraz albo przekaz tym starym pierdzielom, co mamy im do powiedzenia. Jedyna szansa.

Spojrzenia Govera i Hollerbacha przygniatały Reesa. Smród dymu, hałas, zakrwawione zwłoki zlewały się w jego świadomości i czuł się, jakby dźwigał na barkach Tratwę i wszystkich jej mieszkańców.

Gover czekał.

ROZDZIAŁ 7

Rotacja uwiązane drzewa działała na Pallisa kojąco. Siedział obok ciepłej obudowy maszyny i powoli przeżuwał kęsy racji żywnościowej. Z listowia wychyliła się czyjaś głowa.

Pallis ujrzał młodego człowieka, który miał brudne, rozczochrane włosy, a rzadką brodę zlepił mu pot. Przybysz rozejrzył się niepewnie. Pallis przemówił bez zdenerwowania:

- Rozumiem, że masz ważny powód, chłopcze, skoro zakłócasz spokój mojego drzewa. Co tutaj robisz? - Nieznajomy wyszedł z listowia. Pallis zauważył na kombinezonie chłopca ślady po niedawno usuniętych naszywkach. Szkoda, że z równym wigorem nie zdjęto i nie wyprano samego kombinezonu, pomyślał z goryczą.

- Wyrazy uszanowania, pilocie. Nazywam się Boon, jestem z Bractwa Infrastruktury.

Komitet polecił mi cię odnaleźć...

- Równie dobrze sam Kościej Joe mógłby ci dać kopniaka na rozpęd - spokojnie odparł Pallis. - Pytam cię jeszcze raz: co robisz na moim drzewie?

- Komitet chce cię widzieć - Boon przestał się uśmiechać. - Masz się udać na Platformę. Natychmiast.

- Chłopcze, nie chcę mieć nic wspólnego z waszym cholernym Komitetem. - Pallis odkroił kawałek mięsa.

- Ale musisz. Komitet to przecież rozkaz. - Boon zdeorientowany podrapał się pod pachą.

- W porządku, chłopcze, doręczyłeś wiadomość - warknął Pallis. - Teraz wynoś się z mojego drzewa.

- Mam im przekazać, że się zjawisz?

Zamiast odpowiedzi Pallis przejechał opuszką palca po ostrzu noża. Boon dał nurka w listowie.

Pallis wbił nóż w drewnianą obudowę, wytarł ręce suchym liściem i wspiął się na skraj drzewa. Wtulił twarz w pachnące listowie. Wirowanie drzewa sprawiało, że mógł spokojnie ogarnąć wzrokiem całą Tratwę.

Pod leśnym baldachimem pokład wydawał się ciemniejszy. Nad zgłiszczami domów wciąż unosiły się smużki dymu, a na wielkich, zarzuconych kablami drogach Pallis zauważył ciemne plamy. To było coś nowego; a więc tamci zajęli się rozbijaniem kulistych latarni.

Ciekawe, jakie uczucie będzie towarzyszyło zniszczeniu ostatniej. Jak człowiek, który zgasi jedyne źródło prastarego światła, będzie czuł się na starość, wiedząc, że to jego ręce dokonały tego czynu?

Kiedy doszło do wybuchu rewolucji, Pallis po prostu zaszył się we własnych drzewach. Dysponując zapasem wody i żywności, miał nadzieję, że pozostanie wśród ukochanych gałęzi z dala od bólu i gniewu, które wielką falą ogarniały Tratwę.

Rozważał nawet ucieczkę, samotny lot. Nie czuł się zobligowany do okazywania lojalności żadnej ze stron tego absurdałnego konfliktu.

Podobnie jak mieszkańcy Tratwy wraz z samozwańczym Komitetem oraz zagubione duszyczki na Pasię, był człowiekiem. Gdy to wszystko się skończy, ktoś znowu będzie musiał dostarczać im żywność i żelazo. Przyjął wyczekującą postawę i miał nadzieję, że rewolucja go nie dosięgnie...

Teraz to interludium dobiegało końca.

Możesz więc się ukryć przed ich cholerną rewolucją, Pallis, ale wygląda na to, że ona nie ma zamiaru ukrywać się przed tobą, westchnął.

Naturalnie, musiał pójść. Gdyby tego nie zrobił, przyszliby po niego z butelkami oleju oświetleniowego.

Pociągnął duży haust wody, zatknął nóż za pas i zgrabnie wysunął się z listowia.

Wyszedł na drogę i zaczął iść w kierunku Platformy. Nie dostrzegł żywej duszy.

Z drzeniem przypominał sobie gwar ludzi, którzy jeszcze niedawno się tutaj tłoczyli.

Teraz panowała niewzruszona cisza. Wszędzie czuło się zapach palonego drewna, który mieszał się z odorem sztucznego mięsa. Pallis zadarł głowę ku utworzonemu z drzew sklepieniu, pragnąc powąchać delikatną, leśną woń gałęzi.

Tak jak przewidywał, spora część latarni uległa zniszczeniu, a ich resztki zwisały na kablach, skazując ulicę na półmrok. Cienie gdzieś przesuwały się, dzięki czemu można było obejrzeć w przelocie ten nowy wspinały świat. Pallis zobaczył małe dziecko wylizujące resztki z dawno opróżnionego pojemnika. Ze sznura przymocowanego do kabli drzew zwisał jakiś człowiek. Pod nogami trupa utworzyła się kałuża krwi...

Pallisowi zrobiło się niedobrze. Szybko ruszył dalej.

Od strony Platformy maszerowała grupa młodych ludzi. Na naramiennikach ich kombinezonów widział wyraźnie ślady po oderwanych galonach. Oczy buntowników

promieniały radością. Pallis usunął im się z drogi, chociaż jego muskularne ciało musiało budzić szacunek.

W końcu wydostał się z płataniny kabli i z ulgą stanął na otwartej przestrzeni.

Pokonał pozorne zbocze, prowadzące do Krawędzi, i wszedł po niskich stopniach na Platformę. Nie był tutaj od dnia, w którym świętował swoją Tysięczną Szychtę. Przypomnił sobie błyszczące kostiumy, śmiech, picie, swoje niezdarne ruchy...

No cóż, teraz z pewnością nie będzie tutaj balu.

Na górze drogę blokowało dwóch mężczyzn. Dorównywali Pallisowi wzrostem, ale wydawali się nieco młodszy. Przyjęli wrogą postawę.

- Nazywam się Pallis - oświadczył. - Jestem leśnikiem. Miałem się zobaczyć z Komitetem. - Obserwowali go podejrzliwie. Pallis westchnął. - Jeśli wy dwaj, kościane łby, usuniecie się z drogi, będę mógł wykonać polecenie.

- Posłuchaj... - Niższy strażnik, barczysty, łysiejący mężczyzna, podszedł bliżej. Pallis zauważył u niego drewnianą pałkę. Uśmiechnął się i jednocześnie napiął mięśnie, żeby było je widać pod koszulą.

- Daj spokój, Seel - rzucił wyższy strażnik. - Spodziewają się jego wizyty.

- Pogadamy później, błaznie. - syknął Seel, patrząc spode łba.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Pallis i uśmiechnął się jeszcze bardziej wyzywająco.

Minał strażników i ruszył do głównej części Platformy, zastanawiając się nad swoimi poczynaniami. Jaki sens miało zrażenie do siebie tych dwóch? Czyżby uderzenie pięścią w kość było aż tak atrakcyjnym sposobem uwolnienia emocji? Niezła reakcja na niespokojne czasy, Pallis. Zbliżył się do centrum Platformy. Z trudem rozpoznał to miejsce.

Na pokładzie leżały porzrzucone kartony z żywnością; opróżniono najwyżej połowę z nich.

Widok psujących się artykułów przypomniawszy Pallisowi, że zaledwie ćwierć mili stąd krąży głodne dziecko. Ogarnął go gniew.

Na Platformie stało dużo stołów na kozłach. Znajdowały się na nich rozmaite trofea:

fotografie, mundury, złote nitki z naszywek i planetarium, które Pallis widział kiedyś w biurze Hollerbacha, książki, mapy, listy i sterty dokumentów. Było jasne, że istniejący na Tracie rząd rezydował właśnie tutaj. Pallis ironicznie się uśmiechnął.

Przeniesienie nadzoru z przeżartego korupcją centrum Tratwy do tak dogodnego punktu obserwacyjnego stanowiło, bez wątpienia, wielki, symboliczny gest... Co jednak stałoby się z tymi wszystkimi papierzyskami, gdyby spadł na nie deszcz?

Jak na razie wydawało się, że nikt nie przywiązuje wagi do praktycznych i ogólnych zasad funkcjonowania rządu. Jeśli nie liczyć grupy uległych, brudnych naukowców, którzy trzymali się razem na środku pokładu, nowy rząd rezydował przy ścianie wychodzącej na Mgławicę. Pallis zbliżył się do nich powoli. Nowi władcy Tratwy, przeważnie młodzi ludzie, śmiali się i podawali sobie butelki z alkoholem, gapiąc się na coś w pobliżu muru.

- Witaj, pilocie drzewa. - Głos był bezczelny i nieprzyjemnie znajomy. Pallis odwrócił się i ujrzał chudą twarz Govera, który opierał ręce na biodrach i śmiał się.

- Gover! No, no, cóż za niespodzianka. Powinienem być się ciebie spodziewać w tym miejscu. Ciekaw jestem, czy znasz takie powiedzenie... - Gover przestał się uśmiechać. - Zamieszaj gówno w beczce, co wypłynie wówczas na powierzchnię?

- Powinieneś uważać, Pallis. Sytuacja na Tratwie bardzo się zmieniła. - Gover zadrżał.

- Grozisz mi, Gover? - uprzejmie zagadnął Pallis. Młodzieniec przez długą chwilę wytrzymał spojrzenie. W końcu jednak opuścił powieki. Pallis wiedział, że odniósł zwycięstwo. Rozluźnił mięśnie. Satysfakcja szybko jednak go opuściła. Dwie groźby bijatyki w ciągu dwóch minut? Znakomicie!

- Przybycie tutaj zajęło ci dużo czasu - zauważył Gover.

- Nie będę rozmawiał z marionetką, jeśli nie dowiem się, kto nią steruje - Pallis wodził wzrokiem po pomieszczeniu.

- Zawiadom Deckera, że się zjawilem.

- Decker nie jest kierownikiem. Nie pracujemy w ten sposób. - Gover zaczerwienił się, rozczarowany.

- Jasne, że nie - przerwał znużonym głosem Pallis. - No, sprowadź go tutaj, dobrze? - Całą uwagę skupił na podekscytowanej grupce w pobliżu brzegu Platformy.

Gover odszedł z godnością.

Z miejsca, w którym stał Pallis, widać było ludzi, którzy tłoczyli się wokół wyrwy w szklanym murze Platformy. Brzeg pokładu owiewała chłodna bryza. Pomimo że Pallis był doświadczonym lotnikiem, odczuwał skurcze w żołądku na myśl o zbliżeniu się do tej nie kończącej się zapadni. Nad przepaścią przerzucono metalową belkę. Stał na niej młody

mężczyzna w podartym, zaplamionym mundurze, na którym jednak nadal widniały oficerskie galony. Wysoko uniesiona głowa młodzieńca była tak zakrwawiona, że Pallis nie mógł go rozpoznać. Tłuszcza wyśmiewała i lżyła oficera. Bity pięściami i pałkami, musiał krok po kroku przesuwać się po metalowej belce.

- Chciałeś się ze mną widzieć, pilocie drzewa?

- Decker. - Pallis odwrócił się. - Dawno się nie widzieliśmy. - Decker skinął głową. Z trudem mieścił się w kombinezonie, na którym wyszyto czarną nicią skomplikowany wzór.

Tęga, zacięta twarz poorana była bliznami.

- Dlaczego nie każesz wstrzymać tej krwawej jatki? - Pallis pokazał młodego oficera.

- Nie mam tu władzy. - Decker uśmiechnął się.

- Pieprzysz.

Decker odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Był rówieśnikiem Pallisa. Rywalizowali ze sobą już w dzieciństwie, aczkolwiek Pallis zawsze uważał, że Decker jest zdolniejszy. Jednak gdy dorośli, ich drogi się rozeszły. Decker nigdy nie potrafił zaakceptować dyscypliny, związanej z przy należnością do klasy leśników, i zszedł niżej, do Infrastruktury. Z czasem twarz Pallisa pokryła się bliznami charakterystycznymi dla pilota drzewa, podczas gdy twarz Deckera przypominała mapę wyrysowaną za pomocą pięści, buciorów i noży...

Decker zawsze dawał więcej, niż brał. Powoli osiągnął pozycję, która pozwalała mu sprawować nieoficjalną władzę. Jeżeli potrzebowałeś czegoś szybko, szedłeś do Deckera.

Stąd Pallis wiedział, że Decker na rewolcie skorzysta, pomimo to, że do niej nie podzegał.

- W porządku, Pallis - odezwał się Decker. - Dlaczego prosiłeś o spotkanie ze mną?

- Chcę wiedzieć, dlaczego ty i twoja banda krwiożerczych sługusów ściągnęła mnie z mojego drzewa.

- No cóż, oczywiście mogę występować tylko jako rzecznik Komitetu Tymczasowego.

- Decker potarł siwiejącą brodę.

- Oczywiście.

- Musimy wysłać na Pas kilka ekspedycji. Mógłbyś poprowadzić lot.

- Co zamierzacie wysłać?

- Na początek choćby tę zgrają. - Decker kiwnął głową w kierunku grupki uczonych. -

Siłę roboczą dla kopalni. Zatrzymamy tylko młodych i zdrowych.

- Cóż za szlachetność.
- A ty masz zabrać maszynę dostawczą.
- Dajecie Pasowi jedną z naszych maszyn? - Pallis nasrożył się.
- Jeśli przeczytasz historię, przekonasz się, że mają do niej prawo.
- Nie mów do mnie o historii, Decker. Jaki jest wasz plan?
- Powiedzmy, że wzrost powszechnej miłości do naszych braci na Pasie nie powinien teraz spotykać się z protestem roztropnego człowieka. - Decker zacisnął usta.

- Chcecie zadowolić tłum, ale jeśli Tratwa straci ekonomiczną przewagę nad Pasem, wy też przegracie.

- Kiedy przyjdzie pora, wyruszę w tę podróż. - Decker uśmiechnął się. - Na Pas leci się długo. Pallis, wiesz o tym lepiej niż wszyscy. Po drodze wiele może się zdarzyć.

- Świadomie zgodziłbyś się na utratę jednej z naszych maszyn? Na kości, Decker...

- Tego nie powiedziałem, stary przyjacielu. Miałem na myśli tylko to, że transport maszyny za pomocą drzewa, a właściwie flotylii drzew, stanowi wielkie wyzwanie techniczne dla naszych leśników.

Pallis skinął głową. Oczywiście, Decker ma rację. Należałoby użyć sześciu albo siedmiu drzew, żeby zawiesić między nimi maszynę. Potrzebowałby swoich najlepszych pilotów, aby utrzymać szyk przez całą drogę na Pas. Pośpiesznie przypominał sobie twarze i nazwiska odpowiednich ludzi...

Decker uśmiechał się szeroko. Pallis zmarszczył brwi, bardzo poirytowany. Tacy faceci jak Decker ograniczali się do zasygnalizowania problemu, a potem nie przejmowali się całą resztą. Decker odwrócił się i obserwował poczynania rewolucjonistów.

Młody oficer został zepchnięty za szklaną ścianę. Łzy na jego policzkach mieszały się z krwią. W końcu przestał kontrolować pęcherz i w jego kroczu pojawiła się mokra plama. Na ten widok tłum ryknął.

- Decker...

- Nie mogę go uratować - stanowczo oświadczył Decker. - Nie chce się pozbyć galonów.

- I słusznie.

- Kretyn i samobójca.

Z grupy zastraszonych uczonych odłączył młody, ciemnowłosy mężczyzna. Krzyknął: nie! i mówiąc pokiereszowanymi pięściami, rzucił się na tyły tłumu. Wkrótce naukowca

powalono gradem ciosów i kopniaków, a potem obszarpanego i zakrwawionego również popchnięto na belkę. Pallisowi udało się rozpoznać młodzieńca, pomimo brudnej i zarośniętej twarzy.

- Rees - wyszeptał.

Rees miał przed sobą rozwścieczonych ludzi, kręciło mu się w głowie od uderzeń.

Ponad tłumem widział małą grupę uczonych i oficerów. Kurczowo trzymali się razem, nie będąc w stanie im pomóc. Oficer przysunął się do Reesa.

- Powinienem ci podziękować, szczurze z kopalni - zawołał.

- Nie musisz, Doav. Jeszcze nie potrafię patrzeć obojętnie na człowieka umierającego w samotności. Nawet jeśli to jesteś ty.

Rees ostrożnie cofnął się krok, tłum ciągle wygrażał im pięściami i pałkami.

Czyżby jego długa, bogata w nowe doświadczenia podróż miała się skończyć w taki sposób?

Przypomniał sobie moment, kiedy rozmawiał z Goverem przed mostkiem. Usiadł wówczas razem z naukowcami, demonstrując, wobec kogo jest lojalny. Gover splunął na pokład i odwrócił się plecami.

- Ty cholerny, dumny gówniarzu - syknął wówczas Hollerbach. - Co ty wyrabiasz?

Najważniejsze jest przetrwanie. Jeśli nie weźmiemy się z powrotem do pracy, sytuacja nie ulegnie poprawie, nawet gdyby podczas każdej zmiany wybuchała nowa rewolucja.

Rees potrząsnął głową. Hollerbach myślał logicznie, ale z pewnością istniały sprawy ważniejsze od przetrwania. Może kiedy osiągnie wiek Hollerbacha, będzie miał inny punkt widzenia...

W miarę upływu czasu coraz bardziej dokuczał Reesowi brak jedzenia, wody, dachu nad głową i snu. Zmuszano go do wykonywania podstawowych prac konserwacyjnych za pomocą bardzo prymitywnych narzędzi. Znosił kolejne zniewagi w milczeniu i czekał, aż zniknie spowijająca Tratwę ciemność.

Jednak rewolucjoniści nie ponosili klęski. Część naukowców albo wszyscy zostali zmuszeni do udziału w jakiejś nowej sprawie. Dotychczas był gotów pogodzić się z losem, ale widok młodego, umierającego oficera wytrącił go z równowagi.

Doav wydawał się teraz spokojny i pogodzony z losem. Odwzajemnił spojrzenie Reesa kiwnięciem głowy. Rees wyciągnął rękę. Oficer kurczowo ją uściśnął.

Obaj patrzyli w twarze oprawców.

Kilku podjudzanych przez tłum młodzieńców weszło na belkę. Rees odpierał ciosy pałek ramieniem, ale i tak cofał się centymetr po centymetrze. Wreszcie poczuł pod bosymi stopami chłód powietrza.

Zobaczył, że ktoś przedziera się przez tłum.

Pallis szedł za Deckerem przez motłoch i z rozbawieniem obserwował, jakim szacunkiem ludzie darzą swojego przywódcę.

- A więc mamy teraz dwóch bohaterów, co? - zagadnął Decker. Tłum ryknął śmiechem. - Nie uważacie, że to marnotrawstwo? - zastanawiał się głośno Decker.

- Ty tam, nazywasz się Rees, tak? Mieliliśmy zamiar zatrzymać cię tutaj. Potrzebujemy silnych mięśni, mamy tu mnóstwo roboty. Twoja głupota sprawi jednak, że zabraknie nam rąk do pracy. Hej, ty, oficerze. - Decker skinął ręką na Doava. - Coś ci powiem. Zejdź i dołącz do reszty pozostałych tchórzy. - W tłumie rozległ się pomruk niezadowolenia. Decker odczekał chwilę i łagodnie powiedział: - Oczywiście, to tylko moja sugestia. Czyżby Komitet nie zgadzał się z propozycją?

Oczywiście, nie było o tym mowy. Pallis uśmiechnął się.

Doav niepewnie odwrócił się do Reesa. Rees kiwnął głową i lekko popchnął go w stronę Platformy. Oficer żwawo przeszedł po belce i zszedł na pokład. Przepchnął się przez gapiów i dotarł do naukowców, poszturchiwany przez tłum.

Rees został sam.

- Jeśli chodzi o szczura z kopalni... - Ludzie ryczeli, oczekując na spektakl, ale Decker uciszył ich gestem ręki. - Jeśli chodzi o niego, nie umiem wymyślić gorszego losu niż zrzucenie go z płyty. Odeślijmy go z powrotem na Pas! Przyda mu się to jego bohaterstwo, kiedy będzie musiał spojrzeć w oczy górnikom, od których uciekł... - Słowa zagłuszył krzyk aprobaty. Kilka par rąk sięgnęło po Reesa i ściągnęło go z belki.

- Decker, gdybym uważał, że to cokolwiek znaczy, podziękowałbym ci - mruknął Pallis.

- No cóż, pilocie, poprowadzisz drzewo zgodnie z prośbą Komitetu? - Decker zignorował słowa Pallisa.

- Jestem pilotem, Decker, a nie strażnikiem więziennym. - Pallis założył ramiona.

- Oczywiście, wybór należy do ciebie. - Decker uniósł brwi, blizny na jego policzkach zbiegły. - Jesteś przecież obywatelem Wolnej Tratwy. Jeśli jednak nie zabierzesz tej hałastry

uczonych, nie wiem, czy uda nam się zapewnić im wyżywienie. - Westchnął z udawaną powagą.
- Na Pasię przynajmniej mieliby jakąś szansę. Tutaj, sam widzisz, nadeszły ciężkie czasy. Może największą uprzejmością byłoby zrzucenie ich już teraz. - Spojrzał na Pallisa z pustką w oczach. -
Co ty na to, pilocie? Czy mam zapewnić naszym młodemu przyjacielom prawdziwą rozrywkę?

- Jesteś draniem, Decker. - Pallis dygotał.

Decker zaśmiał się cicho.

Nadszedł czas podróży na Pas. Pallis po raz ostatni obszedł drzewo, sprawdzając, czy moduły dostawcze są dobrze umocowane.

Dwóch ludzi z Komitetu bezceremonialnie przepchnęło się przez listowie, ciągnąc na linie tobołek. Jeden z nich, młody, wysoki i przedwcześnie posiwiaty, skinął Pallisowi głową.

- Dobrej zmiany, pilocie.

Obaj członkowie Komitetu oparli się stopami o gałęzie, splunęli w dłonie i zaczęli ciągnąć linę. Przeciagnęli przez listowie tobołek z brudnym materiałem.

Przerzucili go na bok, a następnie spuścili linę z powrotem.

Tobołek rozwinął się powoli. Pallis podszedł do pakunku. Zobaczył mężczyznę związanego od stóp do głów. Sądząc po czerwonych naszywkach na podartym kombinezonie, był to naukowiec. Próbował usiąść, kołysząc skrzepowanymi ramionami. Pallis złapał mężczyznę za kołnierz i podciągnął w górę. Naukowiec spojrzał na niego z wdzięcznością, choć trochę nieprzytomnie. Pallis rozpoznał Cipse'a, kiedyś głównego nawigatora.

Ludzie z Komitetu opierali się o pień drzewa; najwyraźniej czekali, aż lina zostanie przywiązana do następnego pasażera. Pallis podszedł do nich. Wziął łysego mężczyznę za ramię i zmusił mocnym ściśnięciem do odwrócenia się. Członek Komitetu niepewnie spojrzał na pilota.

- W czym problem?

- Nie obchodzi mnie, co dzieje się na dole - wycodził Pallis przez zaciśnięte zęby - lecz jeśli chodzi o moje drzewa, ja decyduję. I oświadczam wam, że ci ludzie wsiądą na moje drzewo zgodnością. - Wbił palec w ramię mężczyzny, aż usłyszał trzask chrząstki.

- W porządku, do cholery. Wykonujemy tylko swoją robotę. Nie chcemy żadnych kłopotów. - Członek Komitetu wyrwał się z uścisku.

- Nawigatorze, witamy na pokładzie - powiedział Pallis oficjalnym tonem do Cipse'a. -
Będę zaszczycony, jeśli skorzysta pan z mojej żywności.

Cipse zamknął oczy, zmęczonym ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Drzewa powoli zapuściły się w wnętrzości Mgławicy. Wkrótce pojawił się przed nimi Pas. Rees patrzył na system zniszczonych skrzyń i rur, które obracały się wokół rudej plamki, będącej jądrem gwiazdy. Tu i ówdzie, między kabinami pełzali ludzie, z daleka przypominający owady. Obłok żółtawego dymu, wydalanego przez dwie odlewnie, wisiał nad Pasem niczym gigantyczna plama.

Rees wpatrywał się w miski paleniskowe. Przeżywał koszmar. Powrót na Pas to parodia wyprawy na Tratwę, którą z taką nadzieją w sercu podejmował wiele szycht temu.

Podczas przerw przeznaczonych na odpoczynek unikał naukowców. Tworzyli zamknięty krąg wokół Grye'a i Cipse'a. Prawie nie rozmawiał z nimi, ograniczał się do wykonywania poleceń.

Rees z goryczą przypomniał sobie, że byli to ludzie obdarzeni inteligencją i wyobraźnią. Pomyślał, że perspektywy, jakie przed sobą mieli, nie zachęcają do korzystania z tych walorów. Nie potępiał uczonych, że odwracają się od świata.

Jedyną przyjemność sprawiało mu teraz przesiadywanie całymi godzinami przy powłoce drzewa, skąd obserwował, formującą się kilkaset metrów nad jego głową, eskadrę.

Sześć drzew obracało się w rogach niewidzialnego heksagonu. Drzewa znajdowały się w tej samej płaszczyźnie i tak blisko siebie, że ocierały się liśćmi. Piloci sterowali nimi jednak tak wprawnie, że podczas długiego opadania nie została złamana nawet jedna gałązka.

Poniżej drzew, w sieci przymocowanej grubymi sznurami, wisiała maszyna dostawcza, przypominająca kształtem skrzynię. Rees zauważył, że jej podłoża nadal trzymają się resztki płyt z pokładu Tratwy.

Lot drzew podnosił Reesa na duchu. Ludzie potrafili stworzyć takie piękno, dokonywali wspaniałych wyczynów...

Na Pasię było już widać szereg domów i fabryk. Rees widział niemal znajome, podobne do guziczków twarzy, które patrzyły na przybywającą flotyllę.

- Tak to się więc kończy, młody górniku - burknął Pallis i zbliżył się do powłoki. -
Przepraszam.

- Pallis, nie masz za co przepraszać. - Rees spojrział na niego zaskoczony. Pilot stanął przodem do coraz bliższego Pasa.

- Wyświadczyłbym ci przysługę, gdybym cię zrzucił, kiedy jechałeś na gapę. Tam na dole dadzą ci wycisk, chłopcze.

- Inni będą mieli gorzej. - Wskazał na uczonych i wzruszył ramionami. - Pamiętaj, że to ja dokonałem wyboru. Mogłem przyłączyć się do rewolucjonistów i zostać na Tratwie.

- Nie pojmuję, dlaczego tego nie zrobiłeś. - Pallis podrapał się po brodzie. - Sam nie żywię entuzjazmu dla starego systemu, a wasz lud był przecież tak gnębiony, że musiałeś pałać żądzą zemsty.

- Oczywiście, że tak, ale nie pojechałem na Tratwę po to, żeby rzucać bomby paliwowe, pilocie. Chciałem się dowiedzieć, co złego dzieje się ze światem. - Uśmiechnął się.

- Skromny byłem, co?

- Miałeś rację, że próbowałeś, chłopcze. - Pallis podniósł głowę. - Problemy, które zauważyłeś, wcale nie zniknęły.

- Rzeczywiście. - Rees zerknął na pokryte czerwoną luną niebo.

- Nie trać nadziei - powiedział stanowczo Pallis. - Stary Hollerbach nadal pracuje.

- Hollerbach? - Rees wybuchnął śmiechem. - Rewolucjoniści go nie zmienią. Wciąż potrzebują kogoś, kto będzie utrzymywał wszystko w porządku, kto będzie doradzał im, jak remontować maszyny dostawcze, a może spróbuje przemieścić Tratwę, by nie spadła na nią gwiazda. Poza tym sądzę, że nawet Decker trochę się go boi...

Teraz obaj zanieśli się śmiechem. Siedzieli przy powłoce dłuży czas, aby obserwować zbliżający się Pas.

- Pallis, zrób coś dla mnie.

- Co?

- Powiedz Jaen, że o nią pytałem.

- Dobrze, chłopcze. - Pilot położył ciężką dłoń na ramieniu Reesa. - Na razie nic jej nie grozi. Hollerbach załatwił jej miejsce w ekipie asystentów. Zrobię wszystko, co się da, żeby nie utraciła swojej pozycji.

- Dzięki. Ja...

- Powiem jej, że o nią pytałeś.

Z powłoki drzewa opadła lina i otarła się o dachy domów na Pasie. Rees szedł pierwszy. Jakiś górnik z poparzoną twarzą obserwował go z ciekawością. Rotacja Pasa odpychała Reesa od drzewa. Zdołał jednak dosięgnąć zwisającego sznura i pomógł innym zejść na dach.

Niebawem cała grupa naukowców szła wokół Pasa w ślad za zwisającą liną niczym stadko gęsi. Tuż za nimi biegły dzieci z szeroko otwartymi oczami, kontrastującymi z

wychudzonymi twarzyczkami.

Rees zobaczył Sheen. Jego dawna przełożona okręciła stopę sznurem i wyglądała ze swojej kabiny. Na widok niezdarnie posuwającej się procesji uczonych roześmiała się.

Rees odłączył się od kolegów. Podeszedł do Sheen. Włożył nogi do pętli sznura i wyprostował się, patrząc kobiecie w twarz.

- No, no - rzuciła miękko. - Myśleliśmy, że nie żyjesz.

- Zmieniłaś się, Sheen. - Patrzył na nią i czuł, że jej rozgrzane, smukłe ciało wciąż budzi w nim niepokój, mimo że kobieta miała wymizerowaną twarz i silnie podkrążone oczy.

- Podobnie jak Pas, Reesie - prychnęła. - Nastaly dla nas ciężkie czasy. - Głos Sheen był zabarwiony rozpaczą.

- Jeśli masz tyle rozumu, ile sądziłem, pozwolisz mi udzielić wam pomocy - Zmrużył oczy. - Opowiem ci, czego się dowiedziałem.

- Chłopcze, to nie jest odpowiednia pora na przekazywanie wiedzy. - Pokręciła głową.

- Najważniejsze jest przetrwanie. - Uważnie przyjrzała się postaci Reesa. - I wierz mi, że dla ciebie i twoich sflaczałych kolegów będzie to bardzo trudne.

Niedorzeczna procesja powłóczących nogami ludzi nadal posuwała się za liną drzewa i pokonała już prawie całą orbitę Pasa.

Rees zamknął oczy. Żeby ten bałagan już się skończył, gdyby tylko mógł już wrócić do pracy...

- Rees! - zawołał cienkim głosem Cipse. - Musisz nam pomóc, człowieku. Powiedz tym wszystkim ludziom, kim jesteśmy...

Rees otrząsnął się z przygnębienia i wspiął się na dach.

ROZDZIAŁ 8

Mechanizm wyciągowy przesunął krzesło w kierunku jądra gwiazdy. Rees zamknął oczy, rozluźnił mięśnie i usiłował o niczym nie myśleć.

Przetrwac następną szychtę. Tylko to się liczyło, kolejna szychta...

O ile dla Grye'a, Cipse'a i reszty uczonych wypędzenie na Pas równało się zejściu do czeluści piekielnych, o tyle Rees miał wrażenie, że ktoś celowo otwiera jego stare rany.

Każdy szczegół Pasa, obskurne kabiny, deszcz szumiący nad powierzchnią jądra, natrętnie dokuczał mu, zupełnie jak gdyby nie spędził tysięcy szycht na Tratwie, jak gdyby nigdy nie opuszczał górników.

Zmienił się jednak. Kiedyś ożywiała go nadzieja. Teraz nie pozostało jej w nim ani trochę.

Krzesło mocno się przechyliło. W dole kołysała się zardzewiała kopuła i Rees już wyczuwał coraz silniejsze oddziaływanie gwiazdnej grawitacji.

Pomyślał, że Pas również się zmienił, i to na gorsze. Górnicy wydawali się bardziej brutalni i nieokrzesani, a ich ojczyzna znajdowała się w opłakanym stanie. Rees dowiedział się, że towary z Tratwy dostarczano coraz rzadziej. Brak regularnych dostaw tworzył błędne koło. Rosnąca liczba zachorowań i niedożywienie oraz coraz większy współczynnik umieralności sprawiały, że górnicy nie spełniali norm wydobycia żelaza i przez to kupowali jeszcze mniejszą ilość żywności.

W tej sytuacji coś musiało się zawalić, ale co? Starzy znajomi Reesa, nawet Sheen, nie mieli ochoty z nim rozmawiać, jakby pragnęli ukryć wstydliwą tajemnicę. Czyżby górnicy szykowali coś nowego, czyżby szukali innej, mrocznej drogi, aby wydostać się z żywnościowej pułapki? Jeśli tak, jaka miała być ich metoda?

Kółka krzesła uderzyły w powierzchnię gwiazdy. Rees poczuł ciśnienie pięciu g i zaparło mu dech w piersiach.

Z trudem odblokował linę i krzesło potoczyło się w kierunku najbliższego wejścia do kopalni. Z ciemnego otworu zagrzemiał głos:

- Znowu się spóźniłeś, ty niezdarny gamoniu.

- Wcale się nie spóźniłem, Roch, i dobrze o tym wiesz - spokojnie odparł Rees.

Zatrzymał krzesło przy rampie, prowadzącej w głąb kopalni.

Z mrocznej czeluści wyłoniło się krzesło Rocha, który pomimo braku żywności, był nadal zwalistym mężczyzną. Długa broda sięgała mu aż do piersi i lepła się od potu.

Barczysty górnik miał białe obwódki wokół oczu, a gdy otwierał usta, widać było resztki zębów, podobne do osmalonych kości.

- Nie odszczekuj się, człowieku z Tratwy - rzucił Roch. Ślina kapała mu aż na brzuch.

- Zawsze mogę kazać ci pracować na trzy zmiany. Co ty na to? Rees westchnął.

Znał Rocha od dawna. W barze „U Kwatermistrza” zawsze się go unikało, nawet jeśli akurat nie był pijany. Rees podejrzewał, że ten na wpół szalony rozrabiaka przeżył tyle lat jedynie dzięki sile swoich mięśni. Któż lepiej by się nadawał do pilnowania naukowców? - No?

Nie masz nic do powiedzenia? - Wciąż patrzył na Reesa. Rees trzymał język za zębami, ale tamten i tak wpadł w większą wściekłość. - Co jest, ty gnoju z Tratwy? Przeraza cię odrobina roboty, tak?

Ja ci pokażę, na czym polega praca. - Roch ścisnął krzesło w taki sposób, jakby jego palce były sznurkami. Zdecydowanymi ruchami odepchnął się od płyt wspierających i wylądował na zardzewiałej powierzchni.

- Och, na kości. Roch, już mnie przekonałeś - zaprotestował Rees. - Zabijesz się.

- Na pewno nie, ty gnoju z Tratwy. - Roch napiął bicepsy tak mocno, że przez spoconą skórę było widać wszystkie mięśnie. Powoli podniósł się z krzesła, kolana i łydki dygotały mu z wysiłku. Wreszcie, chwiejąc się nieznacznie, stanął i uniosł ramiona dla zachowania równowagi. Grawitacja o wartości pięciu g oddziaływała na jego brzuch tak silnie, że przypominał worek rtęci zawieszony na pasku. Rees wzdygnął się na myśl, jak bardzo ów pasek wrzyna się w ciało Rocha. Na siniejącej twarzy Rocha pojawił się jednak uśmiech.

- No, co powiesz, człowieku z Tratwy? - Górnik wysunął język. Powoli, z rozwagą podniósł lewą stopę kilkanaście centymetrów nad grunt i nagłym ruchem wypchnął ją do przodu. To samo uczynił prawą nogą i niby gigantyczne, groteskowe dziecko spacerował po powierzchni gwiazdy.

Rees obserwował go, nie potrafiąc wydusić z siebie ani słowa. Roch poczuł się usatysfakcjonowany. Chwycił krzesło i usiadł na nim. Wyczyn najwyraźniej sprawił go w dobry nastrój. Spojrzał na Reesa wyzywająco.

- No chodź, gnoju z Tratwy, trzeba się zabrać do roboty.

- Obrócił swoje krzesło i zaprowadził Reesa do wnętrza gwiazdy.

Większość prac uczeni wykonywali w środku gwiazdnej kopalni. Za jakieś urojone wykroczenie Roch już dawno temu kazał pracować im na dwie zmiany. Mieli prawo do godziny odpoczynku między zmianami, nawet Roch im jej nie odmawiał, i właśnie podczas takiej przerwy Rees natknął się na Cipse'a.

Siedzieli przez chwilę pogrążeni w milczeniu. Znajdowali się w jednej z większych komór porowatego jądra. Lampy umieszczone na jej dachu przypominały uwięzione gwiazdy, ich światło omiatało zwały obrobionego metalu i zarysy kretów.

Nawigator wyglądał na swoim wózku jak góra tłuszczu. Drobne rysy i krótkie, słabe kończyny wydawały się zaledwie dodatkami do jego rozgniecionego cielska. Rees pomógł mu unieść do ust naczynie z wodą. Napój ciekł po brodzie i resztkach kombinezonu nawigatora, krople kapały na żelazną podłogę. Cipse uśmiechnął się niezadarnie.

- Przepraszam - wycharczał.

- Nie przejmuj się. - Rees pokręcił głową.

- Wiesz - odezwał się Cipse po dłuższej chwili - warunki fizyczne na dole są fatalne, ale najtrudniejsza do zniesienia jest sama nuda.

- Właściwie nigdy nie było tu zbyt wiele roboty oprócz nadzorowania kretów - potwierdził Rees. - Przeważnie podejmują decyzję samodzielnie i tylko czasem potrzebna jest interwencja człowieka. Szczerze mówiąc, do pilnowania całego jądra wystarczyłby jeden albo dwóch doświadczonych górników. Jest nas tutaj za dużo. Przydzielając nam robotę na dole, Roch po prostu chce nam trochę dokuczyć.

- Nie tak znowu trochę - zaprzeczył Cipse. Oddychał ciężko, robił częste pauzy między słowami. - Niepokoi mnie... stan zdrowia części ludzi. Podejrzewam...

podejrzewam, że bylibyśmy bardziej przydatni w innej roli.

- Oczywiście, ale spróbuj o tym powiedzieć Rochowi. - Rees skrzywił się.

- Wiesz, Rees, nie chciałbym, żeby moje słowa zabrzmiały obraźliwie, ale przecież masz z nimi znacznie więcej... wspólnego niż cała nasza reszta. - Zakaszłał i kurczowo zacisnął ręce na klatce piersiowej. - Ostatecznie jesteś jednym z nich. Czy nie możesz...

wytłumaczyć im?

- Cipse, pamiętaj, że ja stąd uciekłem - zaśmiał się Rees. - Nienawidzą mnie bardziej niż was. Jestem jednak pewien, że sytuacja się poprawi. Górnicy nie są barbarzyńcami. Są tylko wściekli. Musimy być cierpliwi. - Cipse milczał. Jego oddech stał się płytszy. Rees przypatrywał

się nawigatorowi w nikłym świetle. Okrągła twarz Cipse'a była blada i mokra od potu. - Mówisz, że niepokoi cię stan zdrowia innych, nawigatorze, ale co się dzieje z tobą?

- Nie mogę powiedzieć, żebym się czuł wspaniale - wysapał i zaczął masować klatkę piersiową. - Naturalnie, już sam fakt, że przebywamy w tak silnym polu grawitacyjnym, straszliwe nadwiera serca. Zdaje się, że istoty ludzkie nie są przystosowane do życia w takich warunkach.

- Jak się czujesz? Boli cię jakiś narząd?

- Nie zawracaj głowy, chłopcze - odburknął Cipse, pokazując odrobinę dawnej drażliwości. - Nic mi nie jest. Przecież wiesz, że jestem tu najstarszy rangą.

Naukowcy...

polegają na mnie... - nie dokończył zdania, gdyż zaniósł się kaszlem.

- Przepraszam - powiedział troskliwie Rees. - Oczywiście, ty możesz najlepiej to ocenić, ale skoro twój stan zdrowia jest tak istotny dla naszego morale, pozwól, że ci pomogę przynajmniej podczas tej szychty. Po prostu zostań tutaj; myślę, że zdołam wykonać robotę za nas dwóch. Potrafię zająć uwagę Rocha. Obawiam się, że za nic w świecie nie wypuści cię z gwiazdy przed końcem szychty, ale może jeśli będziesz cicho siedział, uda ci się nawet przespać.

- Tak. Chyba dobrze byłoby się przespać. - Cipse rozważył propozycję. Zamknął oczy.

- Być może tak będzie najlepiej. Dziękuję, Rees.

- Nie, nie wiem, co mu dolega - powiedział Rees. - To ty jesteś po biotreningu, Grye.

Kiedy przyszła pora, żeby wyjść na powierzchnię, ledwo się obudził. Chyba jego serce nie wytrzymało grawitacji na dole, ale co ja mogę wiedzieć? - Cipse leżał luźno przywiązany do siennika.

- Nie mam pojęcia. Naprawdę nie mam pojęcia - powtarzał Grye, krążąc przy nawigatorze, i wciąż bezradnie rozkładał ręce.

Uczeni niespokojnie kręcili się. Mała kabina, do której wszyscy zostali przydzieleni, przypominała klatkę wypełnioną strachem i poczuciem niemocy.

- Pomyślcie trochę - powiedział Rees, wyprowadzony z równowagi. - Co by zrobił Hollerbach w takiej sytuacji?

- Ośmielę się zauważyć, że Hollerbacha tutaj nie ma. - Grye groźnie spojrzał na Reesa.

- Przypominam też, że na Tratwie mieliśmy dostęp do dystrybutorów z najlepszymi lekarami oraz rejestrów medycznych Statku. Tutaj nie mamy niczego, nawet pełnych racji

żywnościowych...

- Niczego oprócz nas samych! - warknął Rees. Naukowcy spojrzeli na niego z wyrzutem.-
Przepraszam - westchnął Rees. - Posłuchaj, Grye, nie jestem w stanie nic zaproponować. Przez wszystkie te lata pracy w archiwach musieliście się czegoś nauczyć. Po prostu zróbcie to, co uznacie za najlepsze.

Grye nachmurzył się i przez dłuższą chwilę obserwował leżącego nawigatora, a potem połuźnił mu ubranie.

Rees wypełnił już swoje obowiązki i zaczynała go męczyć klaustrofobia, toteż szybko opuścił kabinę.

Poszedł na kraniec Pasa. Spotkał kilku ludzi. Zbliżała się połowa szychty, zatem ludność Pasa przeważnie pracowała albo przebywała w swoich kabinach. Rees głęboko oddychał i ze smutkiem patrzył na dobrze znajome elementy małej kolonii:

zniszczone kabiny, ściany uszkodzone przez pokolenia przechodniów, otwarte wyloty dysz na dachach.

Wiatr przyniósł ze sobą lekką woń drzewa. Rees zadarł głowę. Na tle nieba zobaczył ciasno sformowaną flotyllę drzew, które sprowadziły go tutaj z Tratwy. Między nimi nadal tkwiła maszyna dostawcza. Elegancja drzew, delikatny zapach listowia, postacie poruszające się po konarach, wyglądało to jak powietrzny spektakl. Ten piękny widok boleśnie uświadomił Reesowi, ile wspaniałych rzeczy utracił, powróciwszy tutaj.

Obrót Pasa sprawił, że formacja drzew zniknęła za linią horyzontu. Rees odwrócił się.

Udał się do baru „U Kwatermistrza”. Zapachniał zwietrzały alkohol. Rees pod wpływem impulsu wszedł do ponurego wnętrza lokalu. Może kilka haustów czegoś mocniejszego poprawi mu nastrój, może odpręży się i wreszcie zazna tak potrzebnego snu.

Barman, Jame, akurat płukał okrągłe czasze w brudnej wodzie.

- Już ci mówiłem, że tutaj nie obsługuje się gówna z Tratwy - warknął.

Rees uśmiechnął się, nie chcąc okazać gniewu. Rozejrzył się po barze. Jedyнным klientem był niski człowiek z okazałą blizną po oparzeniu, pokrywającą całe przedramię.

- Wygląda na to, że nie obsługuje się tutaj nikogo - odciął się Rees.

- Nic nie wiesz? - Jame chrząknął. - Podczas tej szychty wreszcie mają rozładować maszynę dostawczą. Poszli tam wszyscy zdadni do roboty. Widzisz, pracują, nie tak jak ty, niedołężny gnoju z Tratwy...

- Daj spokój, Jame. - Rees tracił panowanie nad sobą. - Przecież wiesz, że się tutaj urodziłem.

- I zdecydowałeś się opuścić to miejsce. Człowiekiem z Tratwy jest się już do końca życia.

- Jame, Mgławica to mały świat - tłumaczył Rees. - Przynajmniej tyle się dowiedziałem dzięki podróży. Na jej obszarze wszyscy jesteśmy ludźmi, zarówno na Pasię, jak i na Tratwie...

Jednak Jame odwrócił się do Reesa plecami, na znak, że nie chce go słuchać.

Poirytowany Rees wyszedł z baru. Od przybycia naukowców na Pas upłynęło około dwudziestu szycht, a górnicy zdołali jedynie opracować plan rozładunku maszyny dostawczej. Jemu zaś, Reesowi, który znał warunki Pasa i miał doświadczenie w pilotowaniu drzew, nawet nie powiedziano, co górnicy robią...

Oparł stopy o ścianę baru i wyciągnął się na całą długość, żeby spojrzeć na formację drzew. Przypatrzył się im uważniej i zauważył, że wielu ludzi niezdarnie czepia się gałęzi.

Wokół sieci otaczającej maszynę dostawczą roilo się od mężczyzn. Obwiązywali urządzenie linami, które potem spuszczały w dół na Pas.

Wreszcie z maszyny spadła ostatnia lina. W powietrzu rozległy się ciche okrzyki.

Rees obserwował pilotów wielkich drzew, nad którymi unosiły się teraz obłoki dymu.

Wirujące drzewa zwolniły tempo obrotów i zaczęły powoli sunąć w stronę Pasa.

Manewr był umiejętnie skoordynowany - maszyna dostawcza prawie w ogóle się nie przechylała.

Rees pomyślał, że najtrudniejsze będzie samo przeniesienie maszyny na Pas.

Zapewne drzewa spróbują się dopasować do obrotów Pasa, żeby dało się wciągnąć zwisające liny, dopóki maszyna nie zostanie umieszczona w szeregu innych budowli. Prawdopodobnie w ten sposób została zbudowana przeważająca część Pasa, chociaż odbywało się to wiele pokoleń wcześniej.

Jedno z drzew zaczęło opadać zbyt szybko. Maszyna zakołysała się. Robotnicy krzyknęli i mocno przywarli do siatek. Piloci nawoływali się nawzajem i wymachiwali rękami. Dym nad wyłamującym się z sztyku drzewem gęstniał, a flotyła pozostałych drzew zwolniła.

Reesa ogarnęła furia. Do diabła, powinienem być tam w górze! Pomimo skąpych racji żywnościowych i potwornej harówki wciąż czuł się mocny i pełen energii.

Sieć rozerwała się z trzaskiem.

Rozgniewany Rees dopiero po chwili zrozumiał, co się stało. Skupił całą uwagę na małym punkcie na niebie.

Piloci podejmowali desperackie wysiłki, ale z sieci zostały tylko strzępy.

Flotyła drzew gwałtownie zadygotała i zniknęła w obłoku dymu. Ludzie kurczowo się skręcali, bezwładnie unoszeni prądem powietrznym. Uwolniona maszyna dostawcza zawisła w powietrzu, jakby niepewna, co ma robić dalej. Rees zauważył, że jakiś człowiek wciąż przywiera do jej boku.

Urządzenie opadało, zataczając łuk. Powoli zbliżało się do Pasa.

Rees mocno przywarł do lin. Dokąd zmierza ta cholerna maszyna? Oddziaływały na nią pola grawitacyjne jądra gwiazdy i Rdzenia Mgławicy. Na razie silniejsze okazywało się pole grawitacyjne Rdzenia, ale jak szybko maszyna może opaść w pobliże gwiazdy, by znaleźć się pod jej wpływem?

Maszyna dostawcza mogła przebić się przez strukturę Pasa jak pięść przez mokry papier.

Należało się liczyć z ogromną ilością ofiar śmiertelnych. Utraciwszy integrację, Pas uległby rozerwaniu, miotany siłą własnego obrotu. Pierścień kabin, bezwładnie zwisających rur, kawałków lin i cierpiących męczarnie ludzi poszedłby w rozsypkę, a pozostali przy życiu samotnie tkwiliby w powietrzu, czekając, aż wciągnie ich Rdzeń...

Wyobraźnia podsuwała Reesowi kolejne możliwości. Gdyby maszyna nie trafiła w Pas, tylko leciała dalej i uderzyła w jądro gwiazdy? Przypomniał sobie, jak wielkie kratery zostawiły po sobie krople deszczu na dole studni grawitacyjnej w warunkach pięciu g. Jaki byłby efekt upadku ważącej wiele ton maszyny dostawczej? Zapewne Pas i jego mieszkańcy zostaliby pokryci ogromną warstwą stopionego żelaza. Być może doszłoby nawet do naruszenia struktury gwiazdy.

Po Reesie przesunął się cień spadającej maszyny. Zadarł głowę i patrzył na nią jak urzeczony. Wyraźnie było widać wyloty dystrybutora i klawiaturę. Reesowi przypomniały się bardziej spokojne czasy, kiedy stało się w kolejce po towary na Krawędzi Tratwy.

Po chwili ujrzał człowieka, który wciąż przywierał do zniszczonego boku maszyny. Mężczyzna był chudy i ciemnowłosy; sprawiał wrażenie spokojnego. Przez moment patrzył Reesowi prosto w oczy, a potem zniknął, uniesiony rotacją maszyny. Wydawało się, że maszyna jest blisko, na wyciągnięcie ręki. Zaczęła sunąć bokiem. Przeleciała kilkanaście metrów od Pasa. Kiedy zbliżyła się do jądra gwiazdy, gwałtownie zakrzywiła trajektorię, a potem została

gwałtownie odrzucona.

Człowiek, który przywierał do boku urządzenia, wydawał się mały jak pyłek.

Maszyna opadła łukiem w kierunku Rdzenia i skurczyła się do rozmiarów plamki, która znikła w nieskończoności.

Sześć rozproszonych drzew skupiło się w jednym miejscu. Przy akompaniamencie okrzyków rzucono liny robotnikom.

Utrata maszyny sprawiła Reesowi niemal fizyczny ból. Kolejna część skromnego dziedzictwa człowieka została zmarnowana na skutek głupoty i błędów. Każda taka zmniejszała szansę na przetrwanie kilku następnych generacji.

Przypomniał sobie, co Pallis opowiedział mu o kalkulacjach Deckera. Przyszły lider rewolucji ponuro napomknął, że nie obawia się utraty gospodarczego prymatu nad Pasem, pomimo że zamierza mu podarować maszynę dostawczą. Czyżby działał z premedytacją? Czy pozwolono ludziom zginąć i pozbyto się niezastąpionego urządzenia tylko po to, aby uzyskać krótkotrwałą przewagę polityczną?

Rees miał wrażenie, że jest zawieszony nad próżnią niczym nieszczęśnicy zagubieni podczas katastrofy; jednak otchłanią nie było dla niego powietrze, tylko nikczemność ludzkiej natury.

Na początku następnej szychty Cipse osłabł tak bardzo, że Rees uzgodnił z Grye'em i resztą, iż powinno się go zostawić na Pasie. Kiedy Rees wyszedł na powierzchnię jądra gwiazdy, zrelacjonował Rochowi sytuację. Starał się mówić rzeczowo, pokornym, wręcz przepraszającym tonem. Roch zmarszczył krzaczaste brwi i groźnie na niego spojrzał, ale milczał. Rees wrócił do czeluści gwiazdy.

W połowie szychty Rees udał się na powierzchnię, żeby odpocząć. Natychmiast ujrzał Cipse'a. Nawigator był owinięty brudnym kocem i próbował dosięgnąć płyty kontrolnej krzesła.

Rees podszedł do Cipse'a. Wyciągnął rękę i bardzo delikatnie położył rękę na ramieniu naukowca.

- Cipse, co się dzieje, do cholery? Niech to diabli, jesteś chory. Miałeś zostać na Pasie.

- Obawiam się, mój młody przyjacielu, że nie miałem wielkiego wyboru. - Cipse zwrócił oczy na Reesa.

Uśmiechnął się. Z jego twarzy zupełnie odpłynęła krew.

- Roch...

- Tak. - Cipse przymknął oczy. Wciąż manipulował urządzeniami sterowniczymi na krześle.

- Masz coś do powiedzenia, ty gnoju z Tratwy? - Rees obrócił krzesło. Zobaczył przed sobą fałszywą, roześmianą gębę Rocha. Usiłował znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, znaleźć odpowiednią dźwignię, która mogłaby wywrzeć wpływ na tego zwalistego człowieka i uratować Cipse'a, ale racjonalizm ustąpił miejsca fali gniewu.

- Roch, ty łajdaku - syknął. - Mordujesz nas, a jednak nie jesteś aż tak winny, jak ludzie tam na górze, którzy pozwalają ci to robić.

- Nie jesteś zadowolony, gnoju z Tratwy? - Roch szyderczo się wykrzywił, udając zdziwienie. - Wiesz, coś ci powiem. - Dźwignął się na nogi. Z posiniałą twarzą i zaciśniętymi pięściami uśmiechnął się do Reesa. - Dlaczego nic nie robisz? No, dalej. Złaz z tego krzesła i zmierz się ze mną. Jeśli uda ci się mnie pokonać, będziesz mógł zabrać swojego przyjaciela na górę.

- Och, na kości... - Rees zamknął oczy.

- Nie słuchaj go, Rees.

- Obawiam się, że jest za późno, Cipse - szepnął. Chwycił poręczę krzesła i na próbę naprężył plecy. - Po tym, co w swojej głupocie powiedziałem, on nie wypuści mnie z tej gwiazdy żywego. W ten sposób przynajmniej ty masz szansę...

Podniósł lewą stopę nad platformą. Miał wrażenie, że ktoś przymocował do niej żelazną klatkę. Potem przyszła kolej na prawą stopę...

Nie tracił czasu na eksperymenty. Stanowczym, rozsadzającym krew w żyłach dźwignięciem wysunął się z krzesła.

Poczuł ból w mięśniach ud, łydek i pleców. Przez moment przeraził się, że przewróci się do przodu i wyrznie twarzą w żelazną powierzchnię. Jednak udało mu się zachować równowagę. Oddychał płytko i czuł, jak serce kołaczy w klatce. Miał wrażenie, iż dźwiga na plecach potężny, niewidzialny ciężar.

Uniósł głowę i spojrzał na Rocha, pomimo opuchniętej twarzy silił się na uśmiech.

- Kolejna próba samopoświęcenia, Rees? - łagodnie zagadnął Cipse. - Szczęśliwej drogi, przyjacielu.

Roch uśmiechał się swobodnie, jakby pięć gie sprawiało mu nie więcej kłopotu niż ciężki ubiór. Podniósł masywną nogę, poruszył nią w powietrzu, a następnie postawił stopę na

zardzewiałej powierzchni. Zrobił kilka kroków i znalazł się metr od Reesa, tak blisko, że ten ostatni czuł jego nieświeży oddech. Ciężko dysząc z wysiłku, Roch zamachnął się potężną pięścią.

Rees próbował unieść ramiona nad głowę, ale stawiały opór, jakby przywiązano je grubymi sznurami. Zamknął oczy. Nie miał pojęcia, dlaczego dręczą go białe gwiazdy na skraju Mgławicy, w każdym razie przestał się bać.

Po jego twarzy przeniknął cień.

Otworzył oczy. Ujrzał czerwone niebo i w tym momencie jego czaszkę przeszył straszliwy ból.

Mimo wszystko żył, a wynosząca pięć g grawitacja gwiazdy ustąpiła. Plecami leżał na czymś zimnym. Wyciągnął ręce i natrafił na ziarnistą powierzchnię metalowej płyty, która co pewien czas drżała. Rees miał ściśnięty żołądek i dusił się. Czuł w gardle kwaśny smak, a język przypominał mu wyschnięte drewno. Zastanawiał się, jak długo leżał nieprzytomny.

Ostrożnie oparł się na łokciu. Bok płyty mierzył około dziesięciu metrów.

Zarzucono nań prymitywną sieć, do której Rees był przywiązany za pomocą opasującej go w talii linki.

Na środku płyty ustawiono stos grubo pociętego żelaza. Na płycie znajdował się jeszcze barman, który przeżuwał kawałek starego mięsa i obojętnie patrzył na górnik.

- Wreszcie się obudziłeś - rzucił. - Myślałem, że Roch rozwalil ci łeb. Byłeś nieprzytomny wiele godzin.

Rees długo patrzył na barmana. Gdy płyta ponownie zadygotała, usiadł, i upewniwszy się, że grawitacja jest niewielka i zmienna, rozejrzał się dookoła.

Pas znajdował się mniej więcej pół mili dalej i opasywał jądro gwiazdy niby toporna bransoletka, ozdabiająca rączkę dziecka. Rees leciał więc. Na metalowej płycie?

Zakręciło mu się w głowie i wsadził palce w oczka sieci.

Zaczął powoli przesuwać się na krawędź płyty. Zajrzał pod spód i zobaczył, że w rogach płyty są zamontowane wyloty czterech silników, przy czym małe skrzynie napędowe z pewnością pochodziły z dachów Pasa. Od czasu do czasu Jame pociągał linki kontrolne, a wówczas rury wypuszczały parę, płytę zaś gwałtownie odrzucało do przodu.

Kiedy więc był nieprzytomny, górnicy wynaleźli latające maszyny. Rees zastanawiał się, dlaczego nagle zaczęli ich potrzebować.

Wyprostował się i usiadł twarzą do Jame'a, który sączył wodę z kulistej czary.

Wydawało się, że barman zupełnie zapomniał o młodzieńcu, ale w końcu na jego szerokiej, zarośniętej twarzy pojawiło się współczucie i podał Reesowi naczynie. Rees chętnie zwilżył wyschnięte gardło, a następnie zwrócił Jame'owi czarę.

- No, Jame, teraz powiedz mi, co się dzieje. Co się stało z Cipse'em?

- Z kim?

- Z nawigatorem, naukowcem. Tym, który był chory.

- Jeden z nich zmarł na dole. - Jame sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Słyszałem, że na zator serca. Gruby, stary mężczyzna. Czy właśnie jego masz na myśli?

- Tak, Jame - westchnął Rees. - To właśnie o niego mi chodzi. - Jame wyciągnął zza paska butelkę, otworzył ją i pociągnął duży łyk. - Jame, dlaczego nie umarłem?

- Powinieneś być. Roch myślał, że cię zabił i dlatego nie zadał kolejnych ciosów.

Kazał cię podnieść i przywlec do tego cholernego baru „U Kwatermistrza”, wyobrażasz sobie? Zacząłeś pojękiwać, wiercić się. Roch miał szczerą chęć załatwić cię, ale powiedziałem mu: Nie w moim barze, nie waż się... No, a potem zjawiała się Sheen.

- Sheen? - Dla Reesa zaświtał promyk nadziei.

- Wiedziała, że mam odlecieć na tym promie i pewnie dlatego wpadła na pomysł, żeby zabrać cię z Pasa. - Jame spojrzał na Reesa. - Sheen to porządna kobieta. Może sądziła, że w ten sposób zdoła cię uratować, ale Roch kwitł ze szczęścia, wysyłając cię tutaj.

Właśnie na tym mu zależało: żebyś miał wolniejszą, bardziej bolesną śmierć.

- Co? Dokąd mnie zabierasz? - pytał gorączkowo Rees. Jednak barman umilkł i odtąd interesowała go tylko butelka.

Pod kontrolą Jame'a mały statek ciągle opadał. Powietrze stało się gęstsze i cieplejsze; trudniej się nim oddychało, jak gdyby pasażerowie znaleźli się w pokoju, gdzie zamknięto wszystkie okna. Mgławica ciemniała. Osłabione gwiazdy świeciły na tle ponurego nieba.

Rees spędzał długie godziny na krawędzi płyty, obserwując rozciągającą się w dole otchłań. Wyobrażał sobie, że w ciemności, w samym środku Mgławicy, zobaczy drogę do Rdzenia, zupełnie jak gdyby był w obserwatorium. Zaczynał już tracić rachubę czasu.

Musiało jednak upłynąć kilka szycht, gdy Jame nagle odezwał się do niego:

- Nie wolno ci nas osądzać.

- Co? - zagadnął Rees, kierując wzrok na towarzysza.

- Wszyscy musimy przetrwać. - Jame trzymał opróżnioną do połowy butelkę. Leżał w niezgrabnej pozie na płycie, oczy miał zamglone od alkoholu. - Zgadza się?

Dlatego kiedy skończyły się dostawy z Tratwy, mogliśmy zdobywać żywność tylko w jednym miejscu... - Uderzył butelką o płytę, a potem przygwoździł Reesa spojrzeniem. - Powiem ci, że sprzeciwiałem się. Twierdziłem, że lepiej będzie, jeśli umrzemy zamiast handlować z tymi ludźmi. Grupa jednak podjęła decyzję i ja ją akceptuję. - Pogroził Reesowi palcem. - To był wybór nas wszystkich, więc muszę przyjąć część odpowiedzialności, jaką mnie obarczono. - Rees patrzył na barmana w osłupieniu. Jame wydawał się teraz nieco trzeźwiejszy.

- Nawet nie wiesz, o czym mówię, prawda?

- Jame, nie mam zielonego pojęcia. Nas, wygnańców, nie poinformowano dosłownie o niczym.

- No cóż, niebawem dowiesz się wszystkiego. - Jame roześmiał się cicho i podrapał w głowę. Potem zerknął na niebo. Szukał kilku najjaśniejszych gwiazd, pragnąc określić położenie płyty. - Jesteśmy już prawie na miejscu. Popatrz, Rees. Pod nami, gdzieś po mojej prawej stronie...

Rees przekreślił się na brzuch i wysunął głowę za płytę. Na początku nie dostrzegł niczego w miejscu, które wskazał mu barman, lecz po chwili, mrużąc oczy, wypatrzył małą, ciemną plamkę.

Godziny wlokły się niemiłosiernie długo. Jame ostrożnie regulował siłę ciągu silników. Plamka urosła do rozmiarów piłki. Miała barwę zaschniętej krwi. Rees dostrzegł postacie ludzi, stojących lub pełzających po piłce, jakby ktoś ich tam przylepił. Oceniał, że kula musi sobie liczyć około trzydziestu metrów średnicy.

- Masz. Teraz posłuchaj, chłopcze. - Jame przysunął się do Reesa. Nieco roztargniony podał mu butelkę. - Jeśli chcesz tu przeżyć więcej niż tylko pół szychty, musisz pamiętać, że ci ludzie są takimi samymi istotami jak ty czyja...

Zbliżali się do powierzchni. Pełno ludzi, dorosłych i dzieci, chodziło nago lub w obdartych tunikach. Wszyscy byli niscy, przysadziści i dobrze umięśnieni. Jakiś mężczyzna obserwował przybycie małego statku.

Powierzchnia tego małego świata składała się z warstw czegoś, co przypominało zeschnięte sukno. W jednym miejscu warstwy były rozerwane i odsłaniały konstrukcję bryły.

Rees zauważył kości. Zadygotał i chwycił butelkę Jame'a.

Tubylec spojrział Reesowi w oczy i uniósł ramiona w geście powitania. Był to Kościej.

ROZDZIAŁ 9

Jame wylądował łagodnie na spękanej powierzchni. W milczeniu przystąpił do wyjmowania z sieci sztab żelaza.

Rees rozejrzał się dookoła. Niewielki horyzont przesłaniały warstwy włochatego, brązowego materiału, który drgał. Przez dziury w powierzchni materiału prześwitywała biel kości.

Rees poczuł, że jego pęcherz nie wytrzyma. Zamknął oczy i ścisnął nogi. Mówił sobie: Uspokój się, Rees, przecież groziły ci już w życiu większe niebezpieczeństwa.

Kościeje byli mitem z jego dzieciństwa, byli więc potworami, straszącymi krnąbrne dzieci w porze snu. We wszechświecie, który mieścił spokojne, zautomatyzowane wnętrza mostka, chyba nie mogło być miejsca na coś równie odrażającego. - Witaj - odezwał się ktoś wysokim, suchym głosem. - Widzę, że masz dla nas jeszcze jednego gościa, Jame.

Mężczyzna, którego Rees widział z góry, odbierał teraz od Jame'a naręczę żelaznych sztabek. U jego stóp piętrzyły się zwykle paczki z żywnością. Jame szybko przeniósł je na płytę i przymocował do sieci.

Kościej był przysadzisty. Jego głowa przypominała pomarszczoną, pozbawioną włosów kulę. Klatkę piersiową miał masywną. Ubrany był w prymitywnie skrojoną szatę z błyszczącego materiału. Kiedy się uśmiechnął, Rees zauważył, że w szerokiej jamie ustnej w ogóle nie ma zębów.

- Co jest, chłopcze? - zagadnął Kościej. - Nie podasz staremu Quidowi ręki?

Rees mocniej zacisnął palce na oczkach siatki. Jame stanął nad nim, trzymając paczkę żelaza.

- No, dalej, chłopcze. Zabieraj to i złaż z płyty. Przecież wiesz, że nie masz wyboru, a jeśli nie zdołasz ukryć strachu, twoja sytuacja pogorszy się.

Rees czuł w gardle narastający jęk. Miał wrażenie, że wszystkie budzące odrazę domysły na temat Kościejów powracają do niego, by odebrać mu odwagę. Zacisnął zęby. Do diabła, przecież jest uczonym drugiej klasy. Przypomniał sobie spokojne, zmęczone spojrzenie Hollerbacha. Pomyślał, że jakoś to wszystko przeżyje. Nie było innego wyjścia.

Wstał, żeby zwyciężyła rozsądniejsza część jego umysłu. Czuł się ocieężały i niemrawy. Grawitacja wynosiła chyba jakieś półtora g. Ile zatem mogła ważyć ta mała planeta? Trzydzieści

ton?

Wziął żelazo i bez wahania zszedł z płyty. Jego nogi zapadły się po kostki w miękkiej, podobnej do szorstkiego materiału powierzchni, która była pokryta drapiącymi włoskami i, o Boże, ciepła jak skóra ogromnego zwierzęcia... albo skóra człowieka.

Rees z przerażeniem poczuł, że nie kontroluje pęcherza. Po nogach pociekła mu gorąca ciecz.

Quid otworzył bezzębne usta i ryknął śmiechem.

- Nie ma się czego wstydzić, chłopcze - powiedział Jame, bezpieczny na swojej płycie. - Pamiętaj o tym.

Transakcja dobiegła końca i Jame pochylił się nad urządzeniem sterowniczym.

Talerz wypuścił kłęb pary i uniósł się, zostawiając na miękkim podłożu cztery wgłębienia. Po kilku sekundach lotu skurczył się do rozmiarów niedużej zabawki.

Rees spojrział w dół. Miał pod nogami kałużę własnego moczu, który wsiąkał w podłoże.

- Teraz jesteś Kościejem, młodzieńcze! - Quid zbliżył się do niego. - Witaj w odblasku Mgławicy. - Pokazał kałużę u stóp Reesa. - A tym się nie przejmuj. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i oblizał wargi. - Będziesz z niej zadowolony, kiedy zachce ci się pić.

- Co mam teraz robić? - Rees drżał, ale starał się nie spuszczać wzroku z Kościeja.

Przychodziły mu do głowy okropne myśli.

- Hm, to zależy od ciebie. - Quid znowu się zaśmiał - Możesz tu stać i czekać, aż ktoś cię stąd zabierze, ale to nigdy nie nastąpi, albo idź ze mną. - Mrugnął do Reesa i, trzymając żelazo pod pachą, ruszył po miękkiej powierzchni.

Przez chwilę Rees stał w miejscu. Myślał z bólem o całkowitym zerwaniu więzi ze światem, który znajdował się daleko stąd. Nie miał jednak wyboru. Groteskowa postać Kościeja stała się dla niego jedynym punktem odniesienia.

Poprawił ładunek żelaza i zaczął ostrożnie kroczyć po ciepłej, nierównej ziemi.

Przeszli mniej więcej połowę obwodu planety. Mijali prymitywne chaty, które tworzyły chaotycznie osiedla. Przeważnie były to zwykłe, z trudem chroniące przed deszczem namioty, aczkolwiek zdarzały się też solidniejsze budynki z żelaznymi elementami w konstrukcji - Nasz górnik jest zdumiony? - Quid śmiał się. - Robimy postępy, co? Widzisz, kiedyś od nas stroniono. Tratwa, górnicy, dosłownie wszyscy. Byli zbyt dumni, żeby zadawać się z Kościejami, zwłaszcza że, według nich, popełniliśmy „zbrodnię”, żyjąc nadal...

Ale teraz gwiazdy zaczynają wygasać. I co ty na to, górniku? Nagle wszyscy muszą walczyć o przetrwanie i uczą się to robić jak my przez wiele tysięcy szycht. - Quid przysunął się do Reesa i znowu mrugnął. - Widzisz, wszystko sprowadza się do handlu. Za odrobinę żelaza i kilka innych luksusów napełniamy puste torebki żywnością dla górników. Dopóki dostają ładnie zapakowaną torebkę, nie zastanawiają się nad jej zawartością. Czy nie mam racji? - Znowu wybuchnął śmiechem, opryskując twarz Reesa śliną.

Rees wzdrygnął się. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Z namiotów wychyliły się dzieci, żeby popatrzeć na Reesa. Miały zaspane twarzyczki i przysadziste jak dorośli sylwetki.

Dorośli prawie nie zauważyli jego przejścia. Siedzieli ciasno skupieni w namiotach i śpiewali cichą, nie dającą się zapomnieć piosenkę. Rees nie rozumiał jej słów, lecz urzekła go sugestywna melodia.

- Strasznie mi przykro, jeśli sprawiamy wrażenie nietowarzyskich - odezwał się Quid.

- Widzisz, w przestrzeni wokół Rdzenia żyje wieloryb. Wkrótce przywołamy go śpiewem. - Quid powiódł dookoła rozmarzonym wzrokiem i oblizał wargi.

Kiedy Rees mijał jedną z bardziej zaniedbanych chat, wpadł po kostki w obrzydliwe, cuchnące odpadki. Krzyknął, cofnął się i zaczął wycierać stopy. Quid ryknął śmiechem.

- Nie martw się. Przyzwyczaisz się - powiedział ktoś z głębi chaty.

Rees nerwowo zerknął w kierunku chaty. Poczul strach. Wiedział, że zna ten głos.

Zapominając o brudnej powierzchni, podszedł bliżej i zajrzał do ciemnego wnętrza. Siedział tam niski, jasnowłosy, chudy mężczyzna ubrany w resztki tuniki. Jego twarz porastała zmierzwiona broda.

- Gord, to ty?

- Witaj, Rees. - Dawny główny inżynier Pasa ponuro skinął głową. - Nie mogę powiedzieć, że bym się ciebie spodziewał. Myślałem, że odleciałeś na Tratwę. - Rees rozejrzał się dookoła. Wydało mu się, że Quid chętnie na niego zaczeka, toteż przykucnął i krótko zrelacjonował Gordowi swoje przeżycia. Dawny inżynier ze współczuciem kiwał głową. Miał przekrwione oczy, otoczone ciemnymi obwódkami.

- Ale co ty tutaj robisz? - dociekał Rees.

- O jedną implozję odlewni za dużo. - Gord wzruszył ramionami. - O jedną śmierć za dużo. Postanowili zwalić całą winę na mnie i zesłali mnie tutaj. Na tej planecie jest całkiem dużo ludzi z Pasa, a raczej sporo ich tutaj sprowadzono. Od czasu twojej ucieczki sytuacja się

pogorszyła. Kilka tysięcy szycht temu wygnanie kogokolwiek tutaj byłoby nie do pomyślenia.

Prawie nie uznawaliśmy istnienia tego miejsca. Dopóki nie zaczęliśmy handlować z tymi cholernymi Kościejami, sądziłem, że są wytworem fantazji. - Wziął do ręki czarę z jakimś płynem, przytknął ją do ust i opróżnił mimo obrzydzenia. - Rees obserwował go i poczuł, że bardzo chce mu się pić. Gord opuścił czarę i otarł usta. - Muszę ci jednak powiedzieć, że w jakimś stopniu byłem zadowolony, gdy uznali mnie za winnego. Miałem serdecznie dość tego wszystkiego: śmierci, smrodu spalenizny, prób odbudowy murów, które ciągle się zawałyły. - Przymknął zaczerwienione oczy. - Rees, ci z nas, którzy zostali tu zesłani, zasłużyli sobie na taki los. Nadeszła pora sądu.

- Nigdy w to nie uwierzę - mruknął Rees.

- Lepiej uwierz. - Gord wybuchnął suchym, upiornym śmiechem. - Masz. - Wyciągnął rękę z czarą. - Jesteś spragniony? - Rees tęsknie spojrzał na naczynie i poczuł chłodną wodę na języku. Jednak gdy zastanowił się, skąd może ta ciecz pochodzić, poczuł obrzydzenie i odepchnął czarę. Gord utkwiał wzrok w Reesie i pociągnął następny haust. - Pozwól, że ci coś poradzę - odezwał się łagodnie. - Ci tutaj nie są mordercami. Nie zrobią ci krzywdy, ale nie masz wyboru: albo zaakceptujesz ich zwyczaje, będziesz jadł to, co oni jedzą i pił ich napoje, albo skończysz w piecach. Tak się przedstawia sytuacja. Wiesz, pod pewnymi względami ma to sens. Nic się nie marnuje - dorzucił, po czym wybuchnął śmiechem i umilkł.

- Quid wspomniał coś o śpiewaniu wielorybom. - Niesamowita, pełna dysonansów pieśń dobiegała do wnętrza chaty. - Czy to możliwe... - Rees zmienił temat.

- Te legendy są prawdziwe... i bardzo spektakularne. - Gord kiwnął głową. - Może ty zrozumiesz cały układ lepiej niż ja. Naprawdę funkcjonuje sensownie. Oni potrzebują dostaw żywności, prawda? Czegoś, co sprawi, że tutejszy świat nie pożre się sam razem ze skórą i kośćmi, dlatego że stworzenia Mgławicy wcale nie są takie pożywne i tutaj można złapać tylko kilka ciekawych insektów. Podejrzewam, że to właśnie dlatego nie pozwolono pierwszym Kościejom wrócić na Tratwę.

- Chodź, młodzieńcze - zawołał Quid, wsadzając pod pachę ładunek żelaza.

Rees popatrzył najpierw na Quida, a potem na Gordę. Odczuwał silną pokusę, by zostać z Gordem, który łączył go z przeszłością. Gord spuścił głowę.

- Lepiej idź - wymamrotał.

Jeśli Rees chciał zachować choćby odrobinę nadziei, że opuści tę planetę, mógł zrobić

tylko jedno. Bez słowa ścisnął Gorda za ramię. Inżynier nie podniósł głowy. Rees wstał i wyszedł z chaty.

Dom Quida był przestronny. Wspierał się na żelaznych tyczkach. Zamiast okien zrobiono otwory i zaciągnięto je cieniątką skórą, która przepuszczała mdle, brązowe światło.

Quid pozwolił Reesowi zostać. Uczony ostrożnie ulokował się w ciemnym kącie i oparł plecy o ścianę. Quid prawie się do niego nie odzywał. Po posiłku, na który składało się sztuczne mięso nieokreślonego pochodzenia, Kościej rzucił się na podłogę i zapadł w zdrowy sen.

Rees przez kilka godzin nie mógł zmrużyć oczu. Pełen grozy lament wielorybich śpiewaków spowijał go niczym dźwiękowy gobelin. Rees zamknął się w sobie, pragnąc uciec od dziwnego otoczenia. W końcu jednak poczuł zmęczenie i położył się na podłodze. Oparł twarz na zgiętym ramieniu. Powierzchnia okazała się tak ciepła, że nie potrzebował koca i natychmiast zasnął.

Ignorując Reesa, Quid przychodził i wychodził, żeby załatwiać jakieś tajemnicze sprawy. Mieszkał sam, ale sądząc po wizytach, które składał w namiotach sąsiadów, dokąd zanosił pakunki z żelazem i skąd wracał, poprawiając ubranie i ocierając usta, żelazo pozwalało mu zmniejszać samotność.

Z początku Rees myślał, że Quid jest kimś w rodzaju przywódcy, ale wkrótce stało się dla niego oczywiste, że na tej planecie nie obowiązuje sformalizowana hierarchia. Niektórzy Kościeje pełnili określone funkcje, na przykład Quid kontaktował się z przybyszami z kopalni. Jednak wydawało się, że ohydna planeta jest samowystarczalna i potrzeba zorganizowania dostaw żywności właściwie tu nie istnieje. Jedyne wydarzeniem skłaniającym tutejszą społeczność do współpracy były chyba tylko polowania na wieloryby.

Rees nie ruszał się ze swojego kącika przez dwie szychty. Jednak pragnienie zaczęło mu straszliwie dokuczać, toteż ochryplym głosem poprosił Quida o coś do picia.

Kościej zaśmiał się, ale zamiast sięgnąć po któreś ze swoich naczyń, dał Reesowi znak i opuścił chatę. Rees dźwignął się na zeszywniałych nogach i poszedł w ślad za nim.

Pokonali ćwierć obwodu planety i dotarli do miejsca, w którym skórzasta powierzchnia załamywała się. Rees ujrzał szeroką na metr dziurę o nieregularnych brzegach.

Wyglądała jak wyschnięta rana. Na krawędzi sterczały odłupane kawałki kości.

Quid przykucnął nad dziurą.

- Chcesz się napić, górniku? - zagadnął szyderczym tonem. Jego usta przypominały

wygiętą do dołu ciemną szramę. - No dobrze, stary Quid pokaże ci, jak można się napić i najeść do woli. Jest tylko jeden haczyk, możesz pić i jeść to, co my. Inaczej umrzesz z głodu, chłoptasiu, a Quid na pewno nie będzie płakał, kiedy przestanie oglądać w swojej chacie twoją szyderczą gębę. Jasne? - Przełożył nogi przez krawędź dziury i znalazł się we wnętrzu planety.

Rees bał się, ale chciał zapomnieć o piekącym z pragnienia gardle. Zbliżył się do dziury i zajrzał do środka. W otworze było pełno kości. Reesowi buchnął w nozdrza smród zgniłego mięsa.

Naukowiec zatkał usta, żeby nie czuć odoru, a potem usiadł na postrzępionej krawędzi i poszukał oparcia dla nóg. Stał ostrożnie, wstrzymując oddech, i zaczął iść przez wyłożony kośćmi korytarz.

Trasa przypominała wspinaczkę wewnątrz potężnego, prastarego trupa. Światło, które sączyło się przez grube warstwy skóry, było brązowe i migotało, tak że w ciemności najjaśniej lśniły oczy Quida.

Ze wszystkich stron otaczały Reesa kości. Rozejrzał się dookoła, wciąż nie mogąc normalnie oddychać. Stał na skorupie z kości. Plecami opierał się o stertę czaszek i rozwartych, bezzębnych szczęk, a ręką chwycił słup, utworzony ze zrosniętych stosów pacierzowych. Światło gwiazd, ukośnie wpadające przez wejście, pozwoliło Reesowi ujrzeć ogromną ilość czaszek, rozszczepionych kości goleniowych i strzałkowych oraz żeber, które wyglądały jak zgaszone latarnie, niedaleko siebie zobaczył kości dziecięcej rączki. Kości miały odcień wyblakłego brązu i żółci. Przeważnie nie zostało na nich nic, choć gdzieniegdzie zdarzało się dostrzec kawałki skóry albo pojedyncze włosy.

Planeta stanowiła ni mniej ni więcej tylko klatkę z kości, na których rozpięto ludzką skórę.

Rees chciał krzyknąć, ale udało mu się opanować i tylko ciężko westchnął.

Oddychał cuchnącym powietrzem. Było gorące, wilgotne, zalatywało psującym się mięsem.

- No, chodź, górniku - Quid uśmiechnął się do Reesa, obnażając błyszczące dziąsła. - Mamy jeszcze przed sobą kawałek drogi. - Ruszył przed siebie.

Rees udał się za nim.

W miarę jak schodzili coraz niżej, grawitacja malała, podobnie jak ilość kości ludzkich. Po pewnym czasie Rees znalazł się w stanie nieważkości. Odłamki kości, szczepki, kości palców

uderzały go po twarzy. Miał wrażenie, że przechodzi przez opar zgnilizny.

Światło osłabło na skutek grubszej warstwy kości, ale Rees szybko przywykł do ciemności i coraz lepiej dostrzegał szczegóły potwornego otoczenia. Upał i smród mięsa stały się nieznosne. Rees był zlany potem, jego tunika przypominała w dotyku rozmokły łachman.

Oddychał płytko i z wysiłkiem. Wydawało mu się, że stęchłe powietrze nie zawiera ani trochę tlenu.

Starał się nie zapomnieć, że promień tego kolistego światła nie przekracza piętnastu metrów, lecz jednocześnie miał wrażenie, że odbywa najdłuższą podróż w swoim życiu.

Wreszcie dotarli do środka kościanego świata. Rees zmrużył oczy, żeby dostrzec w mroku Quida. Kościej czekał na niego z opartymi na biodrach rękami. Stał na jakiejś ciemnej kupie.

- Witaj - powiedział ironicznie i wybuchnął śmiechem. Przebiegał palcami po leżących wokół kościach, najwyraźniej czegoś szukał.

Rees przeszedł przez ostatnią warstwę zeber i doszedł do miejsca, gdzie stał Quid. Ze zdziwieniem zauważył, że ma pod nogami metal, zniszczony i pokryty smarem, niemniej jednak metal. Uczony zachowywał ostrożność. Czuł dość silne przyciąganie grawitacji.

Najprawdopodobniej jej źródłem był przedmiot, który pogrzebano w samym sercu odrażającego siedliska Kościejów.

Przyklęknął i zaczął sprawdzać powierzchnię palcami. Z powodu ciemności nie potrafił określić barwy podłoża, chociaż wiedział, że nie ma do czynienia z żelazem. Czy mógł to być metal z kadłuba Statku, taki sam jak na pokładzie Tratwy w rejonie dzielnic oficerskich? Zamknął oczy i badał powierzchnię, usiłując przypomnieć sobie, jaki był w dotyku tamten pokład. Rozemocjonowany stwierdził, że przedmiot pochodzi ze Statku.

Przepychając się przez kości, obszedł przedmiot dookoła. Wytwór okazał się sześcianem o boku wynoszącym jakieś trzy metry. Rees trącił nogą metalowe wybrzuszenie.

Przekonał się, że jest to pozostałość czegoś w rodzaju statecznika. Przypominała mu kikuty, które zauważył kiedyś na kretach w kopalni i na autobusach Tratwy. Czyżby ta skrzynia była dawniej zaopatrzona w silniki i unosiła się w powietrzu?

Pogrążony w domysłach, zapomniał o pragnieniu, obrzydzeniu, strachu... Wyobraził sobie oryginalny Statek: musiał być wielki, ciemny i unieruchomiony, otwierał się niby rozsiewający skoczki kwiat, a z jego wnętrza wynurzały się mniejsze statki. Rees miał przed oczami mostek

wraz z jego błyszczącą, śliską powierzchnią. Autobusy-krety zapewne służyły do przewozu członków Załogi albo do lądowania i jazdy na trudnym podłożu. Nowy typ kabiny może pomieścić tuzin ludzi. Naukowiec domyślał się, że członkowie Załogi wyruszyli tym pojazdem na poszukiwanie żywności albo drogi powrotu do Pierścienia Boldera.

Maszyna musiała jednak ulec jakiemś wypadkowi i nie mogła wrócić do macierzystego Statku. Załozde wyczerpały się zapasy, dlatego musiała szukać innych metod przetrwania.

Kiedy w końcu członkom Załogi udało się wrócić lub odnalazła ich ekipa ratunkowa, zostali uznani za nieczystych, gdyż skalali się jedzeniem mięsa stworzeń Mgławicy i własnych towarzyszy.

Porzucano ich na pastwę losu.

Udało im się wyprowadzić zniszczony statek na stabilną orbitę wokół Rdzenia.

Niektórzy przeżyli. Zdążyli odchowić dzieci i przeżyć tysiące szycht, zanim zamknęły się im oczy, a ich dzieci z przerażeniem odkryły, że nie są w stanie pozbyć się zwłok.

Przy grawitacji wynoszącej miliard g osiągnięcie prędkości potrzebnej do ucieczki statku było po prostu niemożliwe. Przemijały kolejne pokolenia, aż w końcu cały wrak pokrył się warstwą kości.

Quid znalazł to, czego szukał. Pociągnął Reesa za rękaw, zmuszając go do przejścia na drugą stronę statku. Sam uklęknął i spojrzał w dół. Rees również wyrzwał za krawędź statku. W ścianie na dole znajdowała się szczelina; w skąpym świetle Rees nie potrafił rozpoznać tego, co widzi. W końcu jednak przekonał się, co jest w środku.

Statek był wypełniony cylindrycznymi pojemnikami z jakąś lśniąca, czerwoną substancją. Niektóre z nich połączono kolankami, inne zaś przymocowano do ścian za pomocą sznurów. Część naczyń spaliła się na szaroczarny kolor. W powietrzu unosił się smród zgnilizny i zepsutego mięsa.

Rees patrzył przerażony, aż dojrzał w jednym z pojemników czaszkę.

Z mroku wynurzyła się przeraźliwie pomarszczona twarz Quida.

- Widzisz, górniku, my nie jesteśmy zwierzętami - powiedział. - To są piece.

Tutaj podgrzewamy mięso, żeby zabić to, co niezdrowe. Zazwyczaj temperatura jest dostatecznie wysoka, co sprzyja rozkładowi mięsa, ale czasami musimy dodawać opału do ognisk pod ścianami. - Rees patrzył na zmasakrowane, odarte ze skóry ciała nieszczęśników w różnym wieku i rozmaitego wzrostu. W pojemnikach znajdowały się kończyny, tułowia, głowy i

palce... Rees odwrócił głowę. Quid uśmiechał się od ucha do ucha. Młodzieniec zamknął oczy i walczył z żółcią, która paliła mu gardło. - Nic się nie marnuje - mówił z zadowoleniem Quid. - Suchą skórę przyszywamy do podłoża i w ten sposób chodzimy po ciele naszych przodków.

Rees odnosił wrażenie, że cały ten groteskowy świat pulsuje wokół niego, a las kości zbliża się i cofa jak potężna fala. Oddychał głęboko, pilnując, żeby powietrze regularnie przepływało mu przez nos.

- Powiedziałeś, że na dole będę mógł się napić - rzucił, siląc się na spokój. - Gdzie to jest?

Quid zaprowadził Reesa do kolejnego szkieletu. Był to stos pacierzowy, prawie nie uszkodzony i stanowiący część większej struktury, która zdawała się dosięgać powierzchni.

Quid dotknął kręgosłupa i na jego palcu pojawiła się lśniąca wilgoć. Rees wyteżył wzrok i odkrył, że po kostnym kanale powoli spływa ciecz. Quid przycisnął twarz do szkieletu i wyciągnął długi język, żeby zlizać ciekłą substancję.

- Wypływ z podłoża - tłumaczył. - Gdy już rozwodni go deszcz i przefiltrują wszystkie warstwy na górze, nadaje się do picia. Jest prawie smaczny - dorzucił i roześmiał się, a potem groteskowo zamasztył gestem zachęcił Reesa, by ten poszedł w jego ślady.

Rees spojrział na nieprzyjemnie wyglądającą ciecz. Czuł, że kolejny raz waży się jego los. Usiłował spokojnie myśleć. Być może Kościej ma rację, być może prymitywny mechanizm filtracyjny usuwa większość najbardziej szkodliwych substancji...

Kościej wydawał się całkiem zdrowy.

Rees westchnął. Jeśli pragnął pożyć dłużej niż kilka szycht, doprawdy nie miał wyboru.

Zrobił krok naprzód i wyciągnął język tak zdecydowanie, że prawie dotknął nim kości szkieletu. Ciecz była obrzydliwa, prawie niemożliwa do przełknięcia, lecz mimo to Rees wypił ją i czekał na następny łyk.

Quid roześmiał się i zacisnął kanciastą łapę na szyi uczonego. Rees przywarł twarzą do cienkiej kościstej kolumny. Krawędzie szkieletu rozdrapywały ciało mężczyzny, a cuchnący płyn zalewał mu włosy i oczy.

Rees wydał okrzyk obrzydzenia, a potem rzucił się z pięściami na spocone cielsko Kościeja. Quid zasapał i upadł na stertę kości, które popękały. Otarłszy twarz, Rees skoczył do wykładanego kośćmi przejścia i zaczął się pisać w kierunku światła, miażdżąc zebra i szkieletowe palce. Wreszcie dotarł pod powierzchnię, lecz z przerażeniem uświadomił sobie, że zabłądził. Wykonana ze skóry powierzchnia rozciągała się nad nim jak ogromny sufit, nieprzerwany i

pozbawiony światła. Rees stłumił wycie. Uderzył rękami w miękki materiał i rozdarł jego warstwę.

Zaczerpnął powietrza Mgławicy.

Wygramolił się z otworu i zupełnie wyczerpany położył się, aby obserwować czerwone światło gwiazd.

Rees odszukał Gorda. Były inżynier wpuścił go bez słowa. Rees rzucił się na ziemię i zapadł w głęboki sen.

Został u Gorda przez kilka następnych szycht. Właściwie nic nie mówił. Zmuszał się do picia, a nawet towarzyszył Gordowi podczas wyprawy do wnętrza planety, gdzie napełnili naczynia, lecz nie był w stanie jeść. Gord obserwował go ponuro.

- Nie myśl o tym - powiedział. Włożył kawałek mięsa do ust, przeżuł i połknął. - Widzisz? To tylko mięso. Albo będziesz je jadł, albo umrzesz.

Rees położył na dłoni kawałek mięsa i wyobraził sobie, że podnosi go do ust, gryzie i połyka.

Nie był w stanie tego zrobić. Cisnął swoją porcję w kąt chaty i odwrócił się.

Usłyszał powolne kroki Gorda. Inżynier przeszedł przez pokój, żeby podnieść wyrzucony ochłap.

W taki sposób mijały kolejne szychty, aż wreszcie Rees poczuł, że traci siły.

Kiedy dotykał swojego ciała, czuł, jak bardzo wystają mu żebra, i miał wrażenie, iż jego głowa puchnie. Rozsadzała ją, niczym pulsująca krew, śpiew Kościejów.

Gord położył Reesowi rękę na ramieniu. Naukowiec usiadł. Męczyły go zawroty głowy.

- O co chodzi?

- O wieloryba - wyjaśnił Gord z nutką podniecenia w głosie. - Szykują się do polowania. Musisz przyjść i popatrzeć, Rees. Nawet w tych okolicznościach jest to niesamowity widok.

Rees ostrożnie wstał i wyszedł za Gordem z chaty. Powiódł dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Mieszkańcy planety jak zwykle tworzyli małe grupki w chatach i nucili rytmiczną pieśń. Dzieci wydawały się urzeczone: grzecznie siedziały w pobliżu dorosłych, śpiewając i kołysząc się najlepiej, jak tylko potrafiły.

Gord powoli obchodził teren. Rees kroczył w ślad za nim, często się potykając.

Teraz śpiewała chyba cała kolonia, a skórzasta powierzchnia pulsowała jak bęben.

- Co oni robią?

- Nawołują wieloryba. Ich pieśń, nie wiadomo dlaczego, przyciąga to stworzenie.

- Nie widzę żadnego wieloryba - odparł poirytowany i zamroczony Rees.

- Zaczekaj chwilę, to zobaczysz - odpowiedział cierpliwie Gord. Przykucnął na podłożu.

Rees usiadł obok Gord'a i przymknął oczy. Śpiew Kościejów powoli przenikał przez niego, aż w końcu zaczął się rytmicznie kołysać i poczuł w sobie spokojną akceptację, a nawet zadowolenie. Czy właśnie taki stan miała wywołać u wieloryba ta niesamowita muzyka?

- Gord, jak myślisz, skąd się wzięło słowo „wieloryb”?

- To ty powinieneś wiedzieć. - Inżynier wzruszył ramionami. - Przecież byłeś uczonym. Niewykluczone, że kiedyś na Ziemi żyło ogromne stworzenie o takiej właśnie nazwie.

- Ciekaw jestem, jak wyglądał ziemski wieloryb. - Rees podrapał zarośniętą brodę.

- Być może właśnie tak - odparł Gord, wskazując ręką na niebo.

Nad linią widnokregu pojawił się wieloryb. Przypominał wielkie, półprzezroczyste słońce. Kuliste cielsko zwierzęcia mogło mieć jakieś pięćdziesiąt metrów szerokości, w porównaniu z nim świat Kościejów wydawał się bardzo mały. Pod czystą skórą znajdowały się narządy. Były podobne do dużych maszyn. Z przodu wieloryba znajdowały się trzy kule, których średnice odpowiadały przeciętnemu wzrostowi człowieka. Sposób, w jaki się obracały i skupiały jakby swoją uwagę na planecie i pobliskich gwiazdach, nieodparcie kojarzył się Reesowi z pracą oczu. W tylnej części cielska wieloryba znajdowały się trzy potężne ogony; te półkoliste płyty dorównywały wielkością kadłubowi i delikatnie się obracały, a z resztą wieloryba łączył je przewód zbitej cielistej masy.

Gigantyczne zwierzę sunęło w powietrzu niespełna dwadzieścia metrów nad głową Reesa, omiatając jego roześmianą twarz chłodnym wiatrem.

- To jest fantastyczne! - zawołał Rees.

Gord lekko się uśmiechnął. Nie przestając śpiewać, Kościeje wynurzyli się z chat.

Nieśli ze sobą włócznie z kości i metalu. Wpatrywali się w wieloryba.

- Czasami tylko obwiązują te stwory linami. - Gord przysunął się do Reesa.

Mówił, przekrzykując pieśń. - Zaprzęgnięte wieloryby odciągają planetkę od Mgławicy. W ten sposób Kościeje regulują orbitę. Gdyby tego nie robili, już dawno wpadliby do Rdzenia. Ale teraz chyba zależy im na mięsie.

- Jak można zabić stworzenie tych rozmiarów? - Rees był zaintrygowany - To wcale nie jest trudne - zauważył Gord. - Wystarczy tylko przebić skórę.

Wtedy traci równowagę, pojmujesz? Po prostu skręca się w kierunku studni grawitacyjnej planetki.

Sztuka polega na szybkim przecięciu tego draństwa, żeby jego cielsko nie przygniotło wszystkich.

W powietrze wzbily się pierwsze włócznie. Pieśń zagłuszyły zwycięskie okrzyki.

Najwyraźniej wieloryb był zdenerwowany, gdyż zaczął szybciej poruszać ogonami.

Dzidy łatwo przechodziły przez półprzezroczyste cielsko albo zatrzymywały się w chrząstkach.

Wreszcie, przy akompaniamencie głośnych wrzasków, mieszkańcom planetki udało się trafić w jakiś narząd. Wieloryb przechylił się, jego skóra zaczęła się marszczyć.

Potężne zwierzę przeleciało gwałtownie kilka metrów nad Reesem.

- I co na to powiesz, górniku? - zagadnął Quid. Stał obok Reesa z włócznią w ręku i uśmiechał się od ucha do ucha.

- To jest dopiero życie, co? Lepsze to niż babranie się we wnętrznościach jakiejś martwej gwiazdy... - Powietrze przesywały kolejne włócznie. Z coraz większą precyzją omijały pole grawitacyjne planety i wieloryba, a potem trafiały w czułe miejsca zwierzęcia.

- Quid, jak udaje im się osiągnąć taką dokładność?

- To łatwe. Wyobraź sobie, że planeta jest bryłą znajdującą się pod tobą.

Wieloryb niech będzie drugą małą bryłą, sunącą gdzieś tutaj - pokazywał - blisko środka.

Stamtąd pochodzi wszelkie przyciąganie, prawda? Teraz wyobraź sobie, którądy ma przelecieć twoja włócznia - i rzucasz nią!

Rees podrapał się w głowę. Zastanawiał się, ile z tego destylatu orbitalnej mechaniki zrozumiałby Hollerbach. Jedno było pewne - uwięzieni na małej planecie Kościeje musieli się nauczyć precyzyjnego rzucania dzidami.

Wieloryba zasypiano takim gradem włóczni, że jego los wydawał się przesadzony.

Prawie ocierał się brzuchem o dachy kolonii. Mężczyźni i kobiety wyjęli duże maczety i wkrótce miała nastąpić rzeź. Wygłodzony, senny z wyczerpania Rees zastanawiał się, czy krew wieloryba pachnie inaczej niż krew człowieka.

Nagle, niemal bezwiednie, zaczął biec. Bez trudu dostał się na dach jednej z solidniej wyglądających chat. Czy mógłby się poruszać tak lekko, gdyby nie stracił tyle na wadze?

Spojrzał w górę na pomarszczony, półprzezroczysty baldachim. Wciąż nie mógł

dosięgnąć wielorybiego cielska, lecz po chwili zbliżyła się ku niemu, jak opadająca kurtyna, fałda ciała o szerokości metra. Rees skoczył i uczeplił się jej obiema rękami. Przesuwał palcami po suchym mięsie. Gorączkowo szukał pewnego oparcia i przez ułamek sekundy bał się, że spadnie. Jednak po chwili, zanurzony ręce po łokcie w miękkim cielsku, zahaczył palcami o coś twardego i udało mu się podciągnąć. Rozhuścił nogi i oparł je na wielorybim mięsie. W ten sposób, głową do dołu, przeleciał nad kolonią Kościejów.

Jego szarpanina podziałała na zwierzę jak elektryczny wstrząs. Poderwało się i poruszyło tak gwałtownie, że Rees w każdej chwili mógł stracić swe oparcie.

Ogony wieloryba młóciły powietrze ze zdwojoną energią.

Uciekinier usłyszał rozwścieczone głosy. Czyjaś włócznia przeleciała ze świstem koło jego ucha i ugrzęzła w miękkim ciele wieloryba. Quid i reszta Kościejów wygrażali mu pięściami. Po bladej twarzy Gorda ciekły łzy.

Wieloryb nadal się wznosił. Niebawem kolonia skurczyła się do rozmiarów brązowej piłeczki, zagubionej gdzieś na niebie. Głosy Kościejów zagłuszył wiatr. Ciepła skóra wieloryba pulsowała w stałym rytmie. Rees był sam.

ROZDZIAŁ 10

Zostawiwszy prześladowców za sobą, wielka bestia ostrożnie pruła powietrze.

Ogonami obracała powoli, ale energicznie. Potężne cielsko dygotało z powodu licznych ran.

Przez półprzezroczystą skórę wieloryba było widać, że potrójne oczy odwracają się do tyłu, jakby zwierzę oglądało własne wnętrze.

Po pewnym czasie, ze świstem przypominającym powiew wiatru, ogony zaczęły wirować szybciej. Wieloryb gwałtownym szarpnięciem ruszył naprzód i niebawem uwolnił się spod wpływu studni grawitacyjnej planety Kościejów. Rees nie miał już wrażenia, że leci do góry nogami. Teraz wydawało mu się, że został przyciśnięty do miękkiej ściany.

Rees ciekawie przyglądał się skórze wieloryba. Wciąż wbijał palce w chrzestną otoczkę poniżej kilkunastocentymetrowej warstwy mięsa wieloryba. Różowawe ciało zwierzęcia nie posiadało naskórka i jego gęstość była niewiele większa od grubej piany. Rees nie dostrzegł śladów krwi, aczkolwiek jego kończyny pokrywała jakaś lepka substancja.

Przypomniał sobie, że Kościeje chcieli upolować zwierzę, by zdobyć pokarm, i pod wpływem impulsu przysunął twarz do cielska wieloryba i odgryzł kęs mięsa. Pokryty meszkiem kawałek ciała wieloryba rozplynał mu się w ustach i skurczył do rozmiarów tabletki. Miał wyraźny, nieco gorzkawy smak. Rees z łatwością przeżuł go i połknął. Pokarm podzielał kojąco na wysuszone gardło.

Poczuł, że umiera z głodu. Ukrył twarz w cielsku zwierzęcia i zaczął odgryzać kolejne kawałki. Po kilku minutach wyjadł ponad ćwierć metra kwadratowego mięsa, odsłaniając tkankę chrzestną. Nareszcie miał pełny żołądek. Mógł być spokojny, wieloryb będzie zaspokajał jego potrzeby przez długi czas.

Rozejrzał się dookoła. Otaczały go chmury i gwiazdy, ogromny, sterylny korowód, nie mający ścian ani podłogi. Rees był całkowicie zagubiony na czerwonym niebie i nie miał nadziei, że kiedykolwiek ujrzy ludzką twarz. Ta perspektywa nie przerażała uciekiniera, raczej pogrążyła go w zadumie. Przynajmniej udało mu się uniknąć poniżającego życia wśród Kościejów. Skoro czekała go śmierć, wolał umrzeć, przyglądając się nowym, zadziwiającym zjawiskom.

Przesunął się nieco, żeby cielsko wieloryba go nie uwierało. Utrzymywanie pozycji prawie wcale nie wymagało wysiłku, a miarowe ruchy ogonów działały na Reesa

nadspodziewanie kojąco. Pomyślał, że upłynie sporo czasu, zanim w końcu straci siły i spadnie.

Jednak zaczęły go boleć ramiona. Ostrożnie zmienił położenie palców najpierw jednej, a potem drugiej ręki, lecz wkrótce ból rozprzestrzenił się na plecy i barki. Czyżby tak szybko się zmęczył? Przecież w warunkach nieważkości przytrzymywanie się wieloryba wymagało minimalnego wysiłku. Rees spojrział przez ramię.

Cały świat wirował. Gwiazdy i obłoki zataczały szerokie kręgi wokół wieloryba.

Rees zrozumiał, że znowu wisi uciepiony dołu wieloryba i w każdej chwili może spaść.

Niewiele brakowało, żeby stracił oparcie. Zamknął oczy i mocniej wbił palce w tkankę chrzestną. Oczywiście, powinien był przewidzieć sytuację. Wieloryb charakteryzował się symetrią obrotową, jego obroty były czymś zupełnie naturalnym. Musiał wywoływać przeciwwagę dla ruchu ogonów, a obracanie się zapewniało mu stabilny lot.

Wszystko układało się w logiczną całość.

Wiatr smagał Reesa po twarzy, rozwiewając mu włosy. W miarę wzrastania prędkości obrotu palce mężczyzny coraz bardziej się męczyły. Wiedział, że jeśli nie przestanie analizować swojego cholernego położenia i nie zdecyduje się na coś konkretnego, to w ciągu kilku minut spadnie.

Po chwili jego stopy utraciły niepewne oparcie. Odpadł od zwierzęcia i trzymał się go tylko rękami. Tkanka chrzestna wyginała się w palcach Reesa niczym plastik.

Ilekróć zmieniał położenie tułowia, jego ramiona przeszywał ból. Czuł, że siła odśrodkowa stale wzrasta; najpierw wynosiła jeden g, następnie jeden i pół, a potem dwa...

Być może należało się przesunąć w stronę jednego ze stacjonarnych „biegunów”, na przykład do spojenia łączącego ogony wieloryba z korpusem. Rees zerknął w bok, w kierunku tylnej części ciała zwierzęcia. Przedzielona ścianami, rurkowata warstwa chrzestna przypominała mu niewyraźną plamę. Odniosł wrażenie, iż dzieli go od niej ogromna odległość. Musiał więc kurczowo trzymać się swojego miejsca.

Tempo rotacji wciąż się zwiększało. Rees widział w dole smugi gwiazd i zaczynało mu się kręcić w głowie. Wyobrażał sobie, że gdzieś w pobliżu jego stóp zbiera się krew nękająca mózg. Miał zupełnie zdrętwiałe ramiona. Poczul, że palce lewej, słabszej ręki, powoli się obsuwają.

Z okrzykiem przerażenia próbował odzyskać w ręce siły i kurczowo zacisnął palce.

W tym momencie warstwa chrzestna pękła.

Rees miał wrażenie, jakby skóra rozdarła się wzdłuż szwu. Z wnętrza wieloryba wydostał się gorący, cuchnący gaz. Rees zatchnął się, czuł, że łzawią mu oczy.

Przerwana warstwa chrzestna utworzyła fałdę pod brzuchem wieloryba. Rees nadal do niej przywierał, ale kołysanie sprawiało mu coraz większy ból.

Wkrótce skóra wieloryba zafalowała. Po brzuchu przetoczyła się fala o wysokości około jednej trzeciej metra. System nerwowy zwierzęcia reagował powoli, lecz z pewnością zarejestrował ból z powodu powstania tak rozległej przepukliny. Fala dotarła do miejsca pęknięcia. Zwisająca fałda tkanki chrzestnej kilkakrotnie uniosła się w górę i opadła.

Rees miał wrażenie, że coś wrywa mu ramiona z tułowia i wbija igły w przeguby rąk.

Znowu rozluźnił uchwyt. Pęknięcie w górnej warstwie tkanki chrzestnej wyglądało jak wąskie drzwi.

Reesowi drżały mięśnie, ale zdołał się podciągnąć, tak że jego podbródek znalazł się na wysokości dłoni. Puścił się lewą ręką i niewiele brakowało, żeby spadł. Na szczęście, wciąż zaciskał prawą rękę na warstwie chrzestnej. Po chwili chwycił lewą ręką brzeg rany, potem oderwał prawą dłoń. I chociaż słabsza, zdrętwiała lewa ręka ześlizgnęła się po natłuszczonej tkance, to jednak w końcu udało mu się złapać krawędź otworu obiema rękami.

Rees odpoczywał przez kilka sekund. Palce obsuwały się, a mięśnie rozsadzał ból.

Teraz zmusił do wysiłku kręgosłup. Podciągnął stopy na wysokość głowy i włożył je do szczeliny. Następnie bez trudu wślizgnął się do cielska wieloryba. Wreszcie mógł rozprostować palce. Resztkami sił odsunął się od otworu.

Leżał na wznak z rozpostartymi rękami i nogami. Pod sobą miał ścianę żołądka zwierzęcia. Oddychał z trudem. Półprzeźroczysta skóra utrudniała mu obserwację wirujących w dole gwiazd. Daleko nad jego głową jak potężne maszyny w jakimś szerokim, słabo oświetlonym korytarzu znajdowały się narządy wieloryba.

Rees rzeził. Miał wrażenie, że jego ramiona i dłonie płoną. Po chwili ogarnęła go ciemność i nie czuł już bólu.

Obudził się dręczony potwornym pragnieniem.

Zerknął na przepastne wnętrze wieloryba. Światło wydawało się słabsze. Być może zwierzę, z sobie tylko znanych powodów, zagłębiało się w Mgławicę.

Powietrze było gorące i wilgotne, a ponadto zalatywało czymś w rodzaju potu, i pomimo że Rees odczuwał lekki ból w piersiach, nie miał kłopotów z oddychaniem.

Ostrożnie oparł się na łokciach. Musiał mocno naderwać ścięgna ramion. Paznokcie obu rąk miał w oplakany stanie, ale kości palców nie ucierpiały ani trochę.

Powoli dźwignął się na nogi.

Wokół wieloryba nadal krążyły gwiazdy, ale kiedy Rees odwracał oczy, nie czuł już zawrotów głowy. Czuł się jakby stał na terenie ustabilizowanej studni grawitacyjnej, gdzie siła ciężenia nie przekracza dwóch g. Spojrzał w dół i zobaczył, że jego bosa stopy zapadły się kilkanaście centymetrów w sprężystą warstwę chrzestną. Na próbę wykonał parę kroków, okazało się, że może chodzić bez trudu, chociaż na śliskim podłożu łatwo było się przewrócić.

Konał z pragnienia. Czuł, że suchość dosłownie zamyka mu gardło.

Podszedł do otworu, który zrobił w warstwie chrzestnej. Rana tworzyła teraz szczelinę o szerokości pasa Reesa. Nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny, lecz domyślał się, że musiała upłynąć co najmniej jedna szychta, żeby rozdarcie mogło się zagoić w tak dużym stopniu. Kiedy uklęknął, ciało wieloryba wydało mu się ciepłym, wilgotnym dywanem.

Przysunął twarz do rany i z ulgą wdychał świeże powietrze. Zobaczył zwisającą fałdę warstwy chrzestnej, dzięki której znalazł się w bezpiecznym miejscu: rozdarta skóra pokryła się cienkimi zmarszczkami. Pomyślał, że być może fałda ostatecznie zostanie odizolowana od korpusu zwierzęcia, ulegnie atrofii i odpadnie.

Z powodu wspinaczki Reesa tkanka wokół rany została pozbawiona mięsa i tylko gdzieś tam było widać pojedyncze pasma mięsa, podobne do resztek listowia na starym drzewie. Rees położył się na ciepłej powierzchni, złapał fałdę lewą ręką, a potem wsunął do rany głowę i prawe ramię. Następnie otoczył ramieniem zewnętrzną część brzucha wieloryba i wciągnął tyle cielska, ile mógł. Wiatr wokół wirującego zwierzęcia cały czas owiewał mu twarz i barki.

Po pewnym czasie odsunął się od rany ze skromną zdobyczą. Natychmiast wepchnął sobie do ust potężny kęs mięsa. Lepki sok wieloryba zaspokoił pragnienie.

Przycupnął na rozgrzanym ciele i przez kilka minut jadł, odkładając na później myśli o niewesołej przyszłości. Żeby przynajmniej częściowo zaspokoić głód, zjadł połowę wyrwanego mięsa.

Resztę wepchnął do kieszeni brudnego kombinezonu.

Po chwili odkrył istnienie jeszcze jednego problemu. Bolał go wypełniony pęcherz.

Odczuwał dziwną niechęć na myśl, że miałby się załatwić w ciele innego stworzenia.

Taki czyn wydawał mu się wstrętnym nadużyciem. Jednak ucisk w podbrzuszu nie pozostawił mu wyboru. Opuścił spódnie i kucnął nad największym odcinkiem szczeliny w ścianie wielorybiego żołądka.

Wyobraził sobie, że jego odchody mogłyby kiedyś dotrzeć do Pasa albo Tratwy w postaci brązowożółtego obłoku. Czy któryś z jego znajomych spojrzalby z przerażeniem w górę, skąd bierze się ów cuchnący deszcz, i pomyślałby o nim? Oczywiście, była to raczej nieprawdopodobna wizja.

Roześmiał się głośno. Miękka ściana stłumiła hałas. Przychodziły mu do głowy różne osoby, które mogłyby odebrać jego „wiadomość”. Gover, Roch, Quid. Może należałoby wziąć kogoś na cel?

Załatwiwszy potrzebę, znowu poczuł ciekawość i zaczął się przyglądać wnętrzu wieloryba. Czuł się, jakby przebywał w wielkim, oszklonym statku. Od frontowej strony, wzdłuż osi korpusu ciągnęła się szeroka rura, zwężająca się przy drugim końcu. W głównej części przełyku, niczym grube, blade robaki, rozwidlały się jelita, a wokół osiowej rury zwisały worki, (każdy mógłby pomieścić czterech ludzi) wypełnione ciemną, nieruchomą masą. Narządy znajdowały się przeważnie w głównym kanale, a inne organy, potężne i nieznanne Reesowi, były przymocowane do wewnętrznej warstwy skóry.

Dalej Rees dostrzegł połączenie z częścią ogonową oraz wielkie, półkoliste ogony, które z niewzruszoną mocą mlóciły powietrze. Ich ruch i wirujące cienie rzucane dzięki światłu gwiazd na półprzezroczystą skórę wprowadzały pewne urozmaicenie, lecz jeśli nie zważało się na stłumione buczenie, w ogromnej przestrzeni panowała cisza i spokój. Rees naczytał się kiedyś o wielkich katedrach na Ziemi. Przypomniawszy sobie, jak spoglądał na stare obrazy i zastanawiał się, co można poczuć, stojąc wewnątrz pradawnych, wielkich, pogrążonych w martwej ciszy budowli.

Może towarzyszyłoby mu takie samo uczucie jak teraz?

Ostrożnie stąpając po śliskiej, sprężystej powierzchni, zaczął iść ku przedniej części wieloryba.

Zbliżył się do jakiegoś narządu, który łączył się z żołądkiem. Była to nieprzezroczysta, spłaszczona kula, dwukrotnie większa niż on sam. Poczuł, że jest przez nią lekko przyciągany. Nacisnął dłonią lepkie, bryłowate cielsko; pod powierzchnią kipiała gorąca, płynna substancja. Może miał do czynienia z czymś w rodzaju wątroby albo nerki?

Przykucnął i zauważył, że narząd jest połączony ze ścianą żołądka sztywnym, pomarszczonym i przezroczystym pierścieniem, przez który zaobserwował ciecz, przetaczaną do gęstej warstwy chrzestnej i z powrotem.

Z narządu wystawała dzida Kościeja, jej czubek ugrzązł w miękkim cielsku na długość ramienia. Rees chwycił drzewce i ostrożnie wyciągnął włócznię. Była wilgotna i lepka. Oparł ją o wnętrze wieloryba i podjął wędrówkę.

Gdy wspinał się w kierunku osi rotacji, podłoże raptownie podniosło się ku górze. W pewnym momencie stromizna zrobiła się niemal pionowa i musiał wbić palce w warstwę chrzestną. W miarę jak zbliżał się ku osi, malała siła dośrodkowa, ale zaczynał się chwiać pod wpływem efektu Coriolisa.

Zatrzymał się, żeby złapać oddech, i obejrzał pokonaną przez siebie stromiznę.

Narządy przytwierdzone do pozornej podłogi oraz ściany komory skojarzyły mu się z silnikami o skomplikowanej zasadzie działania. Nad głową Reesa znajdował się przełyk, oblepiony tuż za oczami wieloryba, jak zdołał zauważyć, ogromną, gąbczastą masą.

Czyżby włókna łączące oczy z gąbczastą tkanką były nerwami optycznymi?

Być może poskręcana bryła stanowiła mózg zwierzęcia. Jeśli tak, stosunek jego masy do reszty ciała wypadł nie gorzej niż u człowieka.

Czy wieloryb był inteligentny? Takie przypuszczenie wydawało się absurdalne, lecz Rees przypomniał sobie pieśń Kościejów. Wieloryb musiał posiadać skomplikowany ośrodek zmysłów, aby zareagować na tego rodzaju przynętę.

Rees znalazł się tuż pod częścią łączącą przełyk z przodem. Potrójne oczy wieloryba wisały nad nim jak ogromne lampy, spokojnie penetrując kosmos. Miał wrażenie, iż przywarł do wewnętrznej części potężnej maski.

Po chwili przednia część zwierzęcia zafalowała i omal nie stracił równowagi.

Mocniej chwycił się warstwy chrzestnej i spojrzał w górę. Środek uległ rozszczepieniu, utworzył wylot, prowadzący wprost do wielkiej gardzieli.

Rees wyjrzał przez szczelinę. Z nieostrego obrazu wyłoniło się stado upiornie białych, płaskich jak talerze stworzeń, które wirowały w powietrzu przed wielorybem. Owe stworzenia miały metr szerokości, a niektóre, zapewne młode, były o wiele mniejsze. Ich krawędzie zawijały się ku górze, na pewno ze względów aerodynamicznych, a górną powierzchnię dysków przecinały fioletowe żyłki.

Na widok wieloryba płaskie stworzenia rozpierzchły się w popłochu. Troje wielorybich oczu z precyzją dokonywało pomiarów triangulacyjnych. Po chwili żywe krążki zderzyły się z wielkim, płaskim przodem wieloryba. Warstwa chrzestna dudniła jak bęben.

Rees odruchowo się cofnął. Skazane na pożarcie talerzowe istoty słabo się obracały, w końcu jednak wpadały do środka i znikwały w nieprzezroczystym przełyku, o czym świadczyło ciągle wybrzuszenie się wielkiej rury. Rees wyobrażał sobie, jak te wciąż żywe organizmy muszą się miotać między ściankami przełyku, skoro dotychczas swobodnie oddychały powietrzem. Po kilku minutach pierwsze wybrzuszenie dotarło do początkowego odcinka półprzezroczystych wnętrzności. Zniszczone talerze pojawiły się w jelitach, gdzie panowała względna cisza.

Niektóre jeszcze słabo się obracały. Ich wędrówka dobiegała końca w zbiornikach z gazami i płynami trawiennymi, gdzie ulegały rozpuszczeniu.

Wieloryb torował sobie drogę wśród ławicy talerzy przez mniej więcej trzydzieści minut. Potem Rees kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Kiedy się odwrócił i wyteżył wzrok, zobaczył, że po niebie przelatuje ze świstem coś czerwonego. Wkrótce dostrzegł mnóstwo plamek. Przypominały pociski, w szaleńczym pędzie lądowały na talerzach, a gdy podrywały się do lotu, zostawiały za sobą krew i resztki mięsa.

Jedna z plamek zaatakowała twarz Reesa. Krzyknął i natychmiast się cofnął.

Niewiele brakowało, żeby stracił punkt oparcia, zachował jednak równowagę i przyjrzał się agresywnemu zwierzęciu.

Zatrzymało się zaledwie kilka metrów dalej. Czerwony, pozbawiony kończyn tułów miał około dwóch metrów długości i okrągłe wole z przodu, szersze od zasięgu ramion Reesa.

Wokół otworu gębowego znajdowały się paciorkowate oczy, a długie zęby agresora wyglądały jak czubki igieł skierowane do środka. Po chwili stworzenie zamknęło usta, napinając cielsko na szczątkowej strukturze kostnej. Białe, błyszczące zęby głośno zazgrzytały.

Rees wyobraził sobie, że ten niebiański wilk, gapiąc się na niego, oblizuje wargi.

Wkrótce jednak wieloryb przygwoździł zwierzę groźnym spojrzeniem i po chwili wilk dołączył do swoich towarzyszy, żeby zadowolić się łatwiejszą zdobyczą w postaci mięsa podobnych do talerzy istot.

Wieloryb zaspokoił głód i opuściwszy ławicę talerzy, wzbił się w czyste powietrze.

Rees obejrzał się za siebie i zobaczył, że niebiańskie wilki wciąż uczują.

Niebiańskie wilki występowały w bajkach dla dzieci; nigdy dotąd Rees nie natknął się na

te stworzenia. Podobnie jak inne, niezliczone gatunki flory i fauny Mgławicy, talerze i wilki bez wątpienia unikały siedzib ludzkich. Kto wie, może jest pierwszym człowiekiem, który je zobaczył? Czy gwiazdny obłok zginie, zanim ludziom uda się zbadać wszystkie cuda, jakie miał do zaoferowania osobiwy wszechświat?

Rees poczuł ogromne przygnębienie i przycisnął twarz do wewnętrznej ściany wieloryba. Zwierzę zapuszczało się w sam środek Mgławicy. Robiło się coraz ciemniej.

Rees obudził się. Śniło mu się, że spada.

Nadal był przytulony do wieloryba i ścisnął fałdy warstwy chrzestnej. Ostrożnie rozprostował palce i zaczął masować zeszywniałe stawy.

Co go obudziło? Badawczo lustrował przepaściste wnętrze wieloryba. Cielsko zwierzęcia wciąż omiały smugi gwiazdnej poświaty, które przypominały światło latarek, ale... bez wątpienia działo się to wolniej. Czyżby wieloryb odpoczywał?

Rees odwrócił się, by wyjrzeć na zewnątrz, i ogarnęło go zdumienie. Z odległości kilkunastu metrów spoglądało na niego troje oczu drugiego wieloryba. Zwierzę przyciskało przednią część do Jego” wieloryba. Pyski obu potężnych zwierząt poruszały się w taki sposób, jakby prowadziły ze sobą rozmowę.

Po chwili drugi wieloryb oderwał się i machając ogonami, zniknął w oddali.

Reesowi zaparło dech w piersiach. Za odlatującym zwierzęciem pojawiło się następne, a potem jeszcze dwa kolejne. Cała przestrzeń nad Reesem i w dole zapełniła się stadem wielorybów, które sunęły przez Mgławicę. Ta szkółka musiała zajmować wiele kilometrów sześciennych przestrzeni. Najbardziej oddalone wieloryby przypominały małe latarenki, iluminowane światłem gwiazd. Jak ogromna, bladuróżowa rzeka zwierzęta szybowaly w kierunku Rdzenia.

Za plecami Reesa dał się słyszeć zgrzyt, jak gdyby pracowała tam wielka maszyna.

Mężczyzna obrócił się i zobaczył, że spojenie łączące korpus z częścią ogonową zwierzęcia zaczyna się obracać; ogromne kości i mięśnie ciągnęły masę wirującego cielska.

Wkrótce wieloryb zatoczył szeroki łuk, pomagając sobie ruchami ogonów. Po raz kolejny zwiększeniu uległo tempo rotacji, przez co szkółka wielorybów wyglądała jak kalejdoskop trzepoczących ogonów. W końcu zwierzę zajęło miejsce w szyku wędrowników.

Przez wiele godzin ławica sunęła w narastającej ciemności. Gwiazdy w tych otchłaniach wydawały się starsze i przyćmione. Rees zauważył, że odległości między nimi maleją, w miarę

jak stado zbliża się do Rdzenia. Dwie gwiazdy prawie stykały się ze sobą.

Charakteryzowały się słabym żarem i wirowały wokół siebie w długim piruecie.

Potem wieloryby minęły ogromną gwiazdę o średnicy wielu mil. Wydawało się, że procesy fuzji już dobiegły na niej końca, ale jej żelazna powierzchnia, skondensowana dzięki grawitacji, wciąż jaśniała słabym żarem. Ciągłe coś się na niej działo: co kilka minut jakaś część obszaru zapadała się, zostawiając za sobą kilkumetrowy krater i pył stopionych cząsteczek, które unosiły się może metr w górę. Wokół tego giganta krążyły mniejsze gwiazdy. Rees przypomniał sobie planetarium Hollerbacha: teraz miał przed oczami inny model Układu Słonecznego, składający się nie z metalowych kulek, lecz z prawdziwych gwiazd.

Szkółka wielorybów dotarła do kolejnego skupiska gwiazd, które łączyła grawitacja.

Tym razem nie było widać centralnie położonego olbrzyma. Rees ujrzał tylko kilkanaście małych gwiazd, z których część jeszcze świeciła. Wirowały, wykonując skomplikowany, chaotyczny taniec. W pewnej chwili wydawało się, że dojdzie do nieuchronnego zderzenia dwóch gwiazd, lecz przeleciały obok siebie w odległości zaledwie kilku metrów, zrobiły obrót i popędziły w innych kierunkach. W ruchach tej gwiazdnej rodziny nie dało się zauważyć żadnego porządku ani powtarzalnych zjawisk, ale Rees, który w swoim czasie badał zagadnienie chaotycznych aspektów trzech ciał, nie dziwił się.

Ciemność stale się pogłębiała, co pozwoliło Reesowi wyciągnąć wniosek, iż znajdują się bardzo blisko Rdzenia. Przypomniał sobie podróż po Mgławicy, którą odbył za pośrednictwem teleskopu wraz z młodym naukowcem trzeciej klasy - jak mu było na imię?

Nead? Wtedy nie mógł marzyć, że uda się w tę podróż osobiście i to w tak nieprawdopodobnych okolicznościach.

Przez chwilę myślał o Hollerbachu. Co dałby starzec, żeby móc zobaczyć te cuda?

Reesa ogarnęło błogie zadowolenie, wywołane wspomnieniami.

Podobnie jak podczas wędrówki za pomocą teleskopu, mgły środkowej części gwiazdowego obłoku opadły niczym zasłona i Rees zaczął dostrzegać pierścień odpadków wokół Rdzenia. Przez wyrwy w skorupie prześwitywał różowy blask.

Powoli Rees zaczynał sobie uświadamiać, że patrzy na swoją własną śmierć. Co będzie decydującym czynnikiem? Intensywne promieniowanie emitowane przez czarną dziurę? A może efekty pływowe grawitacji Rdzenia doprowadzą do rozczłonkowania jego ciała? Albo, gdy bardziej miękka struktura wieloryba ulegnie zniszczeniu, on sam bezradnie zawiśnie w powietrzu

i upiecze się żywcem lub udusi z braku tlenu?

Jednak wciąż nie opuszczało go zadowolenie. Słyszał teraz powolną, kojącą muzykę.

Rozluźnił mięśnie i wygodnie usadowił się we wnętrzu wieloryba. Jeśli rzeczywiście czekała go śmierć, przynajmniej mógł sobie powiedzieć, że odbył ciekawą podróż.

Może jednak śmierć nie oznaczała całkowitego końca? Przypomniał sobie proste wierzenia religijne na Pasię. Może dusza istnieje dłużej niż ciało? Może będzie kontynuował podróż w innym wymiarze? Oczami wyobraźni widział szereg uwolnionych od powłoki cielesnej dusz, które przemierzały kosmos, powoli machając ogonami...

Ogonami? Co u licha?

Rees potrząsnął głową, pragnął uwolnić się od dziwacznych obrazów i dźwięków. Do diabła, znał siebie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie oczekiwałby śmierci ze wzniostym uśmiechem i wizją życia pozagrobowego. W normalnych warunkach z pewnością próbowałby walczyć, znaleźć wyjście...

Czyżby to nie były jego własne myśli? Kto więc mu je narzuca?

Zadygotał. Odwrócił się i spojrzał na fałdy mózgowe wokół przełyku wieloryba.

Czyżby zwierzę miało zdolności telepatyczne? Czyżby ten wielki, znajdujący się zaledwie parę metrów dalej wzgórek mógł przekazywać obrazy ludzkiemu umysłowi?

Rees przypomniał sobie, jak bardzo przyciągał wieloryby śpiew kościejowych myśliwych. Być może ów śpiew stanowił coś w rodzaju telepatycznej przynęty.

Nagle zrozumiał, że monotonna muzyka w jego głowie charakteryzuje się takim samym zniewalającym rytmem i obsesyjnie powracającą melodią jak pieśń Kościejów.

Musiała napływać z zewnątrz. Nie mógł jednak ustalić, czy docierała do jego uszu, czy też za pomocą telepatii. Być może Kościejom przypadkowo udało się znaleźć sposób na przekonanie wielorybów, iż lecą one nie na spotkanie powolnej śmierci z rąk małych, złośliwych istot ludzkich, lecz w stronę...

W stronę czego? Czyżby wieloryby nie wiedziały, że podążają w kierunku Rdzenia?

I dlaczego fakt udawania się tam napełniał je takim szczęściem?

Istniał tylko jeden sposób uzyskania odpowiedzi. Rees zadrżał na myśl, że jego umysł miałby podlegać jeszcze większej ingerencji. Jednak mocno zacisnął ręce wokół tkanki chrzestnej, przymknął oczy i usiłował się skupić na dziwacznych obrazach.

Wieloryby znowu wzbily się w powietrze. Próbował obserwować je w taki sposób, jakby

miął przed sobą fotografię. Czy te istoty naprawdę były wielorybami? Tak, lecz ich rozmiary wydatnie się zmniejszyły, wieloryby przypominały teraz pociski w kształcie ołówków, niemal bez przeszkód sunące... no właśnie, dokąd? Rees zakrył oczy wierzchem dłoni, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. No cóż, bez względu na to, dokąd się udawały, „jego” wieloryb był wyraźnie zachwycony tą podróżą.

Skoro nie mógł dostrzec miejsca docelowego, zastanowił się, gdzie znajduje się punkt wyjścia. Spuścił głowę. Miał wrażenie, że obraz w jego umyśle ulega spłaszczeniu, jak gdyby przeszukiwał niebo teleskopem.

W końcu udało mu się zobaczyć, skąd wylatują wieloryby. Tym miejscem okazał się Rdzeń.

Rees otworzył zmęczone oczy. Zatem zwierzęta wcale nie pędziły ku własnej śmierci.

W jakiś sposób zamierzały wykorzystać Rdzeń dla uzyskania ogromnych prędkości, które pozwoliłyby im wylecieć...

Nagle Rees zrozumiał, że wielorybom chodzi o opuszczenie samej Mgławicy. One wiedziały, że Mgławica umiera, i używając nieprawdopodobnej metody, emigrowały:

porzucały ginące resztki gwiazdnego obłoku i pokonywały przestrzeń kosmiczną, aby znaleźć nowy dom. Prawdopodobnie czyniły to już setki razy. Być może żyją w innych mgławicach od setek tysięcy szycht...

Palily go policzki. Obudziła się w nim wielka nadzieja. Człowiek z pewnością mógłby naśladować zachowanie wielorybów.

Rdzeń znajdował się już bardzo blisko. Przez warstwę gruzu przedostawały się smugi diabelskiego światła. Powietrze wydychane przez wieloryby przypominało ogromne, wilgotne pióropusze. Ciała stworzeń kurczyły się jak powoli przekłuwane baloniki.

Wieloryb Reesa zwolnił obroty. Wkrótce miał się znaleźć w ciemniejszej gardzieli studni grawitacyjnej Rdzenia, a Reesa czekała pewna śmierć. Jego nadzieja prysła równie szybko, jak się zrodziła, a wraz z nią wszelkie oznaki złudnego zadowolenia.

Zostało mu kilka minut życia, a przecież w jego przeklętej głowie kryła się tajemnica przetrwania ludzkości.

Wydał okrzyk rozpaczony i konwulsyjnie uczepił się tkanki chrzestnej.

Wieloryb zadygotał.

Rees z niedowierzaniem spojrzął na swoje ręce. Dotychczas zwierzę nie przejawiało

żadnej reakcji na obecność człowieka. Zapewne Rees zachowywałby się tak samo, gdyby do jego organizmu wtargnęły jakieś pasożytnicze drobnoustroje. Lecz jeśli Rees nie denerwował wieloryba swoimi ruchami, to może ogromny, powolny mózg zwierzęcia reagował na jego rozpacz?

I być może istniało jakieś wyjście z sytuacji.

Rees zamknął oczy i przypominał sobie rozmaite twarze. Hollerbach, Jaen, Sheen, Pallis. Nie odpędzał od siebie udreki, wiążącej się z ich bliską śmiercią, wzbudzał w sobie pragnienie, by wrócić i ocalić swoich ludzi, aż w końcu osiągnął maksimum bólu psychicznego. Zaczął ciągnąć pysk wieloryba, jakby mógł w ten sposób zawrócić gigantyczne stworzenie z drogi prowadzącej ku Rdzeniowi.

Reesa ogarnął straszliwy smutek. Błagał los, by wieloryb podążył za stadem i znalazł się w bezpiecznym miejscu. Czuł się całkowicie pogrążony w rozpacz. Skupiał uwagę na jednym tylko obrazie: na zdumionej twarzy uczonego trzeciej klasy, Neada, gdy młodzieniec podziwiał na monitorze teleskopu piękno krawędzi Mgławicy. Wieloryb znowu zadrżał, tym razem bardziej gwałtownie.

ROZDZIAŁ 11

Atak górniczego statku na Tratwę trwał dopiero trzydzieści minut, lecz w powietrzu wokół platformy już było słychać jęki rannych.

Pallis przeczołgał się przez listowie drzewa i gorączkowo regulował misy paleniskowe. Upewnił się, że wytwarzany przezeń obłok dymu tworzy równomierną, grubą warstwę. Drzewo leciało w górę pewnie. Pomimo grozy sytuacji Pallis był zadowolony ze swojej sprawności.

Podniósł głowę. Dwanaście drzew jego flotylli tworzyło liściasty, zakrzywiony szyk, który odpowiadał kształtem łukowi wiszącej sto metrów wyżej Tratwy. Według mapy spodniej części Tratwy właśnie znajdowały się pod Platformą. Drzewo pilota wzbijało się tak pewnie, jakby ktoś przymocował do niego żelazne pręty. Pallis spodziewał się, że przeleci nad horyzontem Tratwy za kilka minut.

Zauważył, że chude twarze pilotów, którzy podtrzymywali ogień na sąsiednich drzewach, są zatroskane.

- Nie możemy trochę przyspieszyć? - zagadnął Nead. Był spięty i zaniepokojony.

- Pilnuj swojej roboty, chłopcze.

- Chyba ich słyszysz? - Młody człowiek zdołał powstrzymać łzy i machnął pięścią w stronę Platformy, skąd dobiegał hałas bitwy.

- Oczywiście, że ich słyszę - odparł Pallis, usiłując nie okazywać rozdrażnienia. - Ale jeśli nierozważnie wyrwiemy się do przodu, to nas pozabijają. Zgadza się? Z drugiej strony, jeśli zachowamy szyk i będziemy się trzymać planu, mamy szansę załatwienia tych dupków.

Przemyśl sprawę, Nead, przecież jesteś uczonym, nie?

- Tylko uczonym trzeciej klasy. - Nead otarł dłonią twarz.

- Niemniej jednak uczono cię rozsądnie myśleć. Uspokój się więc, człowieku, mamy tu mnóstwo roboty i liczę, że mi pomożesz. Odnoszę wrażenie, że trzeba uzupełnić misy przy pniu.

Nead wrócił do pracy. Pallis przyglądał mu się przez kilka minut. Nead miał podkrążone oczy i był tak wychudzony, że sterczały mu łopatki i łokcie. Jego kombinezon łatano tak często, że prawie nie przypominał ubrania, a co dopiero munduru.

Liczył sobie zaledwie siedemnaście tysięcy szycht. Na kości, pomyślał Pallis, cóż robimy naszym młodym ludziom!

Gdyby chociaż potrafił uwierzyć w swoje własne, dodające animuszu gadki, może

poczułby się lepiej.

Eskadra drzew wydostała się z cienia Tratwy. W świetle gwiazd liście zapłonęły złocistobrazowym blaskiem. Pallis czuł, jak soki drzewa obficie ściekają przez gałęzie.

Rotacja drzewa wzrastała jak u pełnego energii skoczka, zdawało się skakać ku gwieździe, która świeciła na niebie nad Tratwą.

Krawędź znajdowała się teraz zaledwie kilka metrów dalej. Pallis poczuł, jak w gardle narasta mu krzyk, pierwotny i groźny. Uniósł zaciśniętą pięść. Pozostali piloci również wyciągnęli ramiona w milczącym pozdrowieniu.

Po chwili drzewny korowód wzbił się nad Platformą.

Oczom Pallisa ukazała się panorama krwi i płomieni. Ludzie biegali we wszystkie strony. Na pokładzie paliły się całe domy. Tam, gdzie dachy zostały oderwane na skutek wybuchu, Pallis widział płonące sterty papierów. Ogniska zaczęły dymić, kiedy z konarów drzew pociekła na nie struga soków.

Kilkanaście metrów nad Platformą pojawiły się trzy maszyny górnicze, żelazne płyty zaopatrzone w dysze, z których buchnęła para. Pallis zobaczył, że ludzie z Tratwy wiją się w męczarniach, a ich ciała pokrywają się bąblami. Każda maszyna miała załogę złożoną z dwóch lub trzech górników. Napastnicy leżeli brzuchami na płytach i zrzucali butelki, z których, niby odrażające bukiety, wykwiwały pióropusze ognia.

Ten atak okazał się najgroźniejszy. Poprzednio górnicy celowali głównie w tereny, na których znajdowały się maszyny dostawcze, i przeważnie udawało się odeprzeć ataki, a liczba ofiar po obu stronach nie była zbyt duża. Jednakże tym razem dokonali zamachu na centrum dowodzenia Tratwą.

Tratwa nie potrafiła dobrze zorganizować obrony. Kiedy górnicy zaatakowali, nawet flotylla Pallisa niczego się nie spodziewała. Gdyby nie bystre oko pilota, być może Tratwa nie wykonałaby żadnego przeciwuderzenia. Jednak w końcu mieszkańcy Platformy rzucili się do walki. W kierunku maszyn agresora poleciały dzidy i noże, co zmusiło górników do schowania się za płytami. Pallis zauważył, że jedna z włóczni trafiła górnika w ramię.

Mężczyzna spojrzął na zakrwawioną strzałę sterczącą mu z barku, chwycił ją zdrową ręką i wrzasnął..

Pozbawiona sternika maszyna przechyliła się.

Pozostali członkowie załogi krzyknęli i próbowali dosięgnąć urządzeń sterujących, lecz

po kilku sekundach płyta opadła i od pokładu dzielił ją najwyżej metr.

Mieszkańcy Tratwy nie zważali na parę i przedarli się do maszyny. Sto rąk uczepliło się jej krawędzi.

Silniki zgasły. Obrońcy wywlekli wrzeszczących górników i zasypali ich gradem ciosów.

Flotylla drzew znajdowała się teraz kilkanaście metrów nad Tratwą i po raz pierwszy została zauważona przez walczących. Chaotycznie rozmieszczone szeregi obrońców entuzjastycznie krzyknęły, górnicy zaś odwrócili głowy i stanęli jak wy? wryci.

Pallis poczuł dumę na myśl, jaką grozę musi budzić w prostym ludzie Pasa widok tak wielu drzew.

- Już prawie pora - mruknął do Neada. - Jesteś gotowy? - Nead stał obok pnia drzewa.

Miał w ręku butelkę z paliwem. Przypalił knot prymitywną zapałką i zmierzył pocisk nienawistnym wzrokiem.

- O tak, jestem gotowy - powiedział.

- W porządku, chłopcze - odparł Pallis z werwą. Patrzył na bitwę. Ogarnął go wielki wstyd. - Zaraz będę odliczał. Pamiętaj: jeśli nie możesz trafić górnika, skracaj ogień, nie jesteśmy tu po to, żeby bombardować naszych ludzi. - Drzewa przeleciały nad polem bitwy.

Pallis spostrzegł, że na widok cienia walczący zadzierają głowy niczym osmalone kwiaty skoczków. Najbliższa płyta znajdowała się w odległości zaledwie kilku metrów. - Trzy...

dwa...

- Pallis! - Mężczyzna gwałtownie się odwrócił. Jeden z pilotów stanął, balansując na pniu swojego drzewa, i przyłożył ręce do ust, a następnie wskazał nieregularne zarysy kolejnych statków wroga na niebie.

- Cholera. - Pallis zobaczył, że górnicy śmieją się złośliwie, a w ich rękach lśnią szklane przedmioty. Najwyraźniej zamierzali się wzbić ponad jego drzewa.

- Co robimy, Pallis?

- Nie doceniliśmy ich. Zaskoczyli nas, schwytali w pułapkę. Do diabła. Chodź, młody człowieku, nie stój tak. Musimy polecieć w górę, zanim oni nas uprzedzą. Ty zajmiesz się misami w pobliżu krawędzi, a ja pójdę do pnia. - Nead patrzył na intruzów w taki sposób, jakby nie mógł się pogodzić z myślą, że musi oderwać wzrok od przebiegającej według prostych reguł bitwy na dole.

- No, ruszaj! - warknął Pallis, uderzając go w ramię.

Nead usłuchał pilota.

Pod drzewami rozprzestrzenił się obłok dymu, zasłaniając pole bitwy. Wielka flotylla coraz bardziej oddalała się od pokładu, lecz statki górników były mniejsze, szybsze i o wiele zwrotniejsze, toteż bez trudu zajęły pozycję nad drzewami.

Pallis poczuł, że opadają mu ręce. Wyobraził sobie, że któryś z pocisków trafia w wyschnięte konary jego drzewa. Listowie spaliłoby się jak stary papier. Drzewo uległoby dezintegracji, a jego płonące konary zaścieliłyby cały pokład. Hm, przecież jeszcze żył.

- Rozproszyc się! - wrzasnął do swoich pilotów. - Nie mogą wziąć nas wszystkich.

Formacja ociężała się rozdzieliła. Dwa górnicze statki oderwały się od siebie i zaczęły lecieć w kierunku wybranego drzewa...

Jednym z celów okazało się drzewo Pallisa.

Kiedy płyta zniżyła lot, górnik i pilot spojrzeli sobie w oczy. Nead stanął u boku Pallisa, ten zaś wyciągnął rękę, znalazł jego ramię i mocno ścisnął...

Po chwili drzewem wstrząsnął powiew chłodnego wiatru, a po twarzy Pallisa nieoczekiwanie przemknął cień. Zobaczył na tle wiszącej nad Tratwą gwiazdy potężną sylwetkę.

- Wieloryb... - wyrzekł i ze zdumienia zaniemówił. Ogromne zwierzę dzieliło od pokładu Tratwy najwyżej sto metrów. Pallis nigdy nie słyszał, żeby wieloryb podlatywał tak blisko.

Kiedy górnicy atakujący Pallisa zobaczyli tuż nad sobą gigantyczny, półprzeźroczysty sufit, krzyknęli w panice i rzucili się do urządzeń sterowniczych. Płyta zachwiała się, wykonała obrót i błyskawicznie odleciała.

Oszołomiony Pallis odwrócił się i zerknął na Platformę. Małe, walczące ze sobą postacie ludzi znalazły się w cieniu wieloryba. Zareagowały rzuceniem broni i ucieczką.

Ostatnia maszyna górników wystrzeliła w powietrze i zniknęła za krawędzią Tratwy.

Wkrótce Platforma opustoszała, zostali na niej tylko ranni i zabici. Na kilkunastu gruzowiskach bezładnie trzepotały ogniki.

- Już po wszystkim, prawda? - wyszlochał Nead.

- Masz na myśli inwazję? Tak, chłopcze, już się skończyła. Przynajmniej na razie...

Dzięki temu cudowi. - Pallis zadarł głowę i spojrzął na wieloryba. Wyobrażał sobie, jakie zamieszanie wśród ludzi z ulic i fabryk Tratwy musiał wywołać widok takiego monstrum na niebie. - Ale górnicy wrócą tutaj albo - dodał ponuro - to my będziemy zmuszeni wyjść im na spotkanie... - Głos zamarł mu w gardle.

Do brzucha wieloryba przywierał człowiek i machał do niego ręką.

Kiedy górnicy ponownie zaatakowali, Gover dołączył do ludzi, którzy tłoczyli się na schodach łączących Platformę z Tratwą. Musiał użyć pięści i łokci, żeby uniknąć lecących butelek i ognia. Skrył się pod Platformą. Jednakże atak skończył się równie nieoczekiwanie, jak się rozpoczął. Gover wypełził ze swojej kryjówki i ostrożnie wszedł po schodach na górę.

Bojaźliwie oglądał płonące domy i spalone ciała. Ujrzał Deckera. Zwalisty mężczyzna szedł między ruinami. Od czasu do czasu pochylał się nad jakimś rannym albo kopał zniszczoną książkę. Jego zachowanie świadczyło o frustracji i gniewie.

Wydawało się, że był zbyt zajęty, aby zauważyć nieobecność Govera podczas bitwy.

Gover z ulgą podbiegł do Deckera. Zależało mu, żeby dowódca go zobaczył, toteż chrząścił butami po rozbitym szkle.

Po zaśmieconym pokładzie przemknął cień. Gover przestraszył się i spojrzał w górę.

Wieloryb! I to zaledwie sto metrów nad Tratwą. Szybował jak wielki, półprzeźroczysty balon. Do diabła, co się tutaj dzieje? W bystrym umyśle Govera roilo się od spekulacji. Słyszał kiedyś opowieści o tym, że można urządzać polowania na wieloryby.

Może dałoby się podesłać Deckerowi tych głupawych pilotów drzew. Już wyobrażał sobie z rozkoszą, że będzie stał na krawędzi drzewa i rzucał bomby zapalające w stronę wielkiego, łpiącego oka...

- Zejdź z drogi, do cholery. - Ktoś uderzył go w ramię.

Gover zobaczył dwóch mężczyzn. Ciągnęli jakąś kobietę. Miała poparzoną twarz, a z jedyne go, ocalałego oka ciekły łzy. Rozdrażniony Gover zamierzał ostro potraktować mężczyzn, nie byli nawet członkami Komitetu, lecz ich napięte twarze sprawiły, że ustąpił im z drogi.

Ponownie zadarł głowę do góry i zauważył, że do wieloryba zbliża się drzewo. Na skórze zwierzęcia dojrzał ciemną plamę o nieregularnym kształcie. Zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem gwiazdy.

Na kości, to człowiek. Gover zdumiał się tak bardzo, że na chwilę przestał myśleć o sobie. Jak, u licha, człowiek mógł się znaleźć na wielorybie?

Bestia powoli się zbliżała. Gover widział tajemniczego jeźdźca z dużej odległości, lecz doznał niemiłego wrażenia, iż skądś go zna.

Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale chciał uzyskać klarowniejszy obraz. Sycząc przez zęby, ominął zabitych i rannych i ruszył na poszukiwanie Deckera.

Namówiwszy zwierzę do porzucenia szkółki, Rees przez wiele godzin żałował, że nie dane mu było umrzeć.

Wieloryb w jednostajnym tempie wynurzał się z głębin Mgławicy, lecz cały czas wił się w konwulsjach, smutny z powodu opuszczenia swoich towarzyszy. Jego nastrój udzielił się Reesowi. Mężczyzna odczuwał ogromny ból i udrękę. Nie jadł ani nie spał.

Leżąc pod ścianą żołądka, prawie nie mógł się ruszyć i miał kłopoty nawet z oddychaniem.

Czasami, gdy odzyskiwał przytomność, czuł, jak wije się na ciepłej, śluzowatej ścianie żołądka wieloryba.

Niczym płomienie zapalek na wietrze, w jego pamięci nadal jednak tkwiły obrazy Hollerbacha, Pallisa i innych. Skupiał myśli na Tratwie i nieustannie nucił pieśń wieloryba.

Mijały kolejne szychty, a Rees wciąż leżał, obawiając się snu. W pewnym momencie nagle poczuł, że coś się zmienia. Zwierzę zaczęło poruszać się bardziej chaotycznie. Wieloryb wyraźnie zakrzywił trajektorię lotu. Rees przewrócił się na brzuch i spojrzał przez ciemne chrząstki.

Z początku nie dotarło do niego, co widzi. Duży, rdzawobrazowy krążek, przy którym nawet wieloryb wydawał się mały, rzadki las drzew powoli wirujący nad nie oświetlonymi, metalowymi arteriami...

Ależ to Tratwa.

Czując nagły przypływ sił, Rees wbił palce w gęstą, włóknistą materię i rozdarł tkanę chrzestną.

Drzewo spokojnie wlatywało ku wielorybowi.

- No dalej, chłopcze - warczał Pallis. - Człowiek, który tam jest, uratował nam życie, a teraz my uratujemy jego.

- Chyba nie myślisz, że celowo sprowadził tu tego wieloryba? - Nead z niechęcią doglądał mis paleniskowych.

- Masz jakieś inne wytłumaczenie? - Pallis wzruszył ramionami. - Ile razy widziałeś, żeby wieloryb znalazł się tak blisko Tratwy? To się nie zdarzyło nigdy. A jak często widzisz człowieka lecącego na wielorybie? Dwa nieprawdopodobne wydarzenia podczas jednej szychty? Nead, przyjęcie nawet najprostszej hipotezy sugeruje, że musi tu istnieć jakieś powiązanie. - Nead spojrzał na pilota z zaciekawieniem. - Widzisz - dorzucił Pallis - nawet uczeni trzeciej

klasy nie mają monopolu na wiedzę, a teraz zabieraj się do tych cholernych mis!

Drzewo wzbilo się ponad wypuszczaną przez siebie warstwę dymu. Wkrótce monstrualna sylwetka wieloryba wypełniła całe niebo. Zwierzę przypominało ruchomy sufit i bez przerwy unosiło swego pasażera jak na karuzeli.

W miarę jak drzewo przybliżało się do celu, prędkość jego rotacji gwałtownie malała pomimo wysiłków Neada. W końcu zupełnie się zatrzymało w odległości dwudziestu metrów od brzucha zwierzęcia. Gigantyczna bestia łypnęła trojgiem oczu w kierunku soczystego listowia.

- Nic nie mogę zrobić! - zawołał Nead. - Ten cholerny dym jest tak gęsty, że można by było po nim chodzić, ale drzewo ani drgnie.

- Nead, drzewo żywi do wieloryba mniej więcej takie samo uczucie, jakie talerz mięsa do ciebie. Z pewnością stara się jak może, po prostu trzymaj się kursu. - Pallis złożył dłonie i krzyknął w powietrze: - Hej, ty na wielorybie!

W odpowiedzi mężczyzna słabo pomachał ręką.

- Posłuchaj, nie jesteśmy w stanie podlecieć bliżej. Będziesz musiał skoczyć.

Rozumiesz? - Nastąpiła długa przerwa, a potem „pasażer” jeszcze raz zamachał. - Spróbuję ci pomóc! - zawołał Pallis. - Obroty wieloryba powinny ci pomóc przedostać się na drugą stronę. Wystarczy, że puścisz się w odpowiednim momencie.

Mężczyzna zatopił twarz w cielsku wieloryba, jakby ogarnęło go zupełne wyczerpanie.

- Nead, ten facet nie wygląda na zbyt zdrowego - mruknął Pallis. - Jeśli spadnie, kto wie, czy uda mu się czegoś uchwycić. Przez chwilę nie zajmuj się misami paleniskowymi.

Stań w gotowości, żeby pobiec tam, gdzie on spadnie.

- Nead skinął głową i wyprostował się, zaczepiając palcami nóg o listowie.

- Hej, ty tam na górze... zrobimy to podczas następnego obrotu, dobrze?

Nieznajomy jeszcze raz pomachał ręką.

Pallis wyobraził sobie moment, w którym mężczyzna oderwie się od wieloryba:

opuści wirujące cielsko tangencjonalnie i polecą w kierunku drzewa w mniej lub bardziej prostej linii. Nie powinno być żadnych problemów, chyba żeby wielorybowi w ostatniej chwili przyszło do głowy odlecieć!

- Teraz! Puść się! - Mężczyzna uniósł głowę i bardzo powoli zgiął nogi.

- Za wolno! - wrzasnął Pallis. - Trzymaj się, bo... - Mężczyzna zaczął wierzgać, leciał po trasie, która z pewnością nie była styczna do obrotu wieloryba. - ... bo na nas nie trafisz -

dokończył szeptem Pallis.

- Na kości, Pallis, to będzie bardzo blisko.

- Zamknij się i uważaj.

Sekundy niemilosiernie się dłużyły. Wydawało się, że mężczyzna jest bezwładny, jego kończyny zwisały jak kawałki sznura. Dzięki temu, że poleciał w powietrze, obrót wieloryba rzucił go na prawo od Pallisa, lecz nerwowe wierzganie zniosło go zanadto w lewo. Dwie przeciwstawne siły oddalały go od Pallisa. Nagle mężczyzna gwałtownie zamachał rękami i nogami, a potem całym ciężarem runął Pallisowi na pierś i przewrócił go w listowie.

Wieloryb zadrżał i z ulgą wzbił się w górę.

Nead ściągnął mężczyznę z Pallisa i położył go na plecach. Pod gęstym, brudnym zarostem przybysza było widać wydatne kości policzkowe. Miał zamknięte oczy, a jego wychudzone ciało opinały resztki kombinezonu.

- Chyba znam tego faceta. - Nead podrapał się w głowę.

- Rees. - Pallis potarł obolałe piersi i wybuchnął śmiechem. - Do kroćset, powinienem był się domyślić, że to ty.

Rees spojrział na niego spod półprzymkniętych powiek.

- Witaj, pilocie drzewa - przemówił głosem suchym jak piasek. - Ależ miałem podróż.

- Tego jestem pewien. - Pallis poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Zakłopotał się. - Omal nie chybiłeś, ty przeklęty idioto. Manewr byłby całkiem łatwy, gdyby nie zacheiało ci się robić po drodze salt.

- Miałem do ciebie całkowite zaufanie, przyjacielu. - Rees próbował usiąść. - Pallis, posłuchaj - dodał.

- Co takiego? - zagadnął Pallis, marszcząc brwi.

- Trochę trudno mi to wytłumaczyć. - Rees wykrzywił poranione usta w uśmiechu. - Musisz mnie zabrać do Hollerbacha. Chyba wiem, jak ocalić świat...

- Co wiesz?

- On jeszcze żyje, prawda? - Zaniepokoił się Rees.

- Kto, Hollerbach? - Pallis roześmiał się. - Zdaje się, że nie mogą się pozbyć tego starego tak samo, jak nie mogą się pozbyć ciebie. A teraz połóż się, to zabiorę cię do domu.

Rees westchnął i ułożył się pośród liści.

Kiedy drzewo zbliżało się do doku, Rees był już w lepszej kondycji. Wypił wodę Pallisa i skubnął trochę mięsa.

- Mięso wieloryba utrzymywało mnie przy życiu, ale na krótką metę, chyba nabawiłem się awitaminozy i jadłem zbyt mało białka.

- Tylko pozbadź się swoich niedoborów białkowych, zanim ruszysz na moje listowie.

- Pallis przezornie popatrzył na resztki jedzenia.

Z pomocą Pallisa Rees ześlizgnął się po linie drzewa na pokład. Na dole Pallis powiedział:

- Chodź do mojej kabiny i odpocznij, zanim...

- Nie ma czasu - odparł Rees. - Muszę się dostać do Hollerbacha. Jest tyle roboty... musimy wystartować, zanim staniemy się zbyt słabi, żeby coś zdziałać. - Niepokojnie zerknął na płataninę kabli. - Ciemno tutaj - powiedział powoli.

- Dobrze określenie - zauważył ze smutkiem Pallis. - Posłuchaj, Rees, sprawy nie mają się lepiej. Decker wszystkim rządzi i chociaż nie jest ani głupcem, ani potworem, to jednak cały czas postępuje nierozważnie. Być może jest już za późno.

- Pilocie, zabierz mnie do Hollerbacha - powiedział Rees cicho i spojrzał mu w oczy z ogromną determinacją.

Pallis był zdumiony. Postawa Reesa bardzo wpłynęła na niego. Pomimo fizycznej słabości Rees się zmienił, nabrał pewności siebie, wręcz budził szacunek. Z drugiej strony, byłoby dziwne, gdyby niesamowite przeżycia nie odcisnęły na nim żadnego piętna.

- Nie chcemy kłopotów, pilocie! - Głos dochodził z ciemnej płataniny kabli.

- Kto tam? - Pallis podszedł do kabli i oparł ręce na biodrach.

Po chwili ujrzał dwóch mężczyzn, którzy wydawali się wielcy jak maszyny dostawcze. Mieli na sobie podarte tuniki, które stanowiły uniform funkcjonariuszy Komitetu.

- Seel i Plath - jęknął Pallis. - Rees, pamiętasz tych dwóch kłownów? Posłuszne pionki Deckera... Czego chcecie, kościane łby?

- Posłuchaj, Pallis, przyszliśmy po górnik, nie po ciebie. Wiem, że kiedyś już się biliśmy na pięści... - Seel, niski, barczysty i łysy mężczyzna, zrobił krok do przodu i szturchnął Pallisa w klatkę piersiową.

- O, tak - zauważył spokojnie Pallis. Uniósł ramiona i napiął mięśnie. - Coś ci zaproponuję, może dokończymy tę bójkę, co?

Seel zrobił krok do przodu. Rees włączył się do rozmowy.

- Daj spokój, pilocie - powiedział ze smutkiem. - I tak muszę przeciwstawić się głupocie.

Załatwmy tę sprawę ostatecznie.

Plath niezbyt łagodnie wziął Reesa za ramię i obaj zaczęli iść przez płataninę kabli.

Rees stawiał kroki lekko, ale chwiejnie.

- Na miłość boską, ten biedny chłopak dopiero co jechał na wielorybie. - Pallis gniewnie potrząsnął głową. - Nie możecie zostawić go w spokoju? Czy nie dość się nacierpiał?

W odpowiedzi Seel rzucił mu przeciągłe, tęskne spojrzenie i mała grupa odeszła.

Pallis wydał jęk rozczarowania.

- Skończ robotę tutaj - ofuknął Neada.

- Dokąd idziesz? - Nead oderwał się od pracy przy kotwicy kablowej.

- Oczywiście za nimi, a dokąd indziej? - odparł Pallis i ruszył w drogę.

W pobliżu Platformy Rees czuł się tak, jakby miał watę w kolanach. Pomyślał z ironią, że jest przez swoich oprawców nie tyle krępowany, ile podtrzymywany.

Kiedy wspięli się po płytkich schodach na pokład Platformy, wymruczał: „Dziękuję”. Po chwili ociężale uniósł głowę i ujrzał pole walki.

- Witaj w siedzibie rządu, Rees - ponuro oznajmił Pallis.

Rees usłyszał, że coś pęka pod jego butami. Schylił się i podniósł rozbitą, częściowo nadpaloną i stopioną butelkę.

- Znowu bomby zapalające? Co się tutaj stało, pilocie? Kolejna rewolta?

- To górnicy, Reesie. - Pallis potrząsnął głową. - Prowadzimy tę bezsensowną wojnę od czasu, gdy straciliśmy maszynę dostawczą, którą wysłaliśmy na Pas. To głupia, krwawa historia... Przykro mi, że musisz to oglądać, chłopcze.

- Hm. Co my tu mamy? - Czyjś pękaty brzuch zakołysał się tak blisko Reesa, że wyczuł silne pole grawitacyjne przybysza i doznał wrażenia, iż staje się słaby i pusty w środku. Spojrzał na szeroką, poznaczoną bliznami twarz.

- Decker...

- To ty szedłeś po belce, prawda? - Wydawało się, że Decker jest zaintrygowany, jakby głowił się nad dziecinną zagadką. - A może jesteś jednym z tych, których zesłałem do kopalni?

Rees nie odpowiadał. Obserwował przywódcę Tratwy. Decker miał głębokie zmarszczki na twarzy i zapadnięte, niespokojne oczy.

- Zmieniłeś się - zauważył Rees.

- Chłopcze, wszyscy się zmieniliśmy, do cholery. - Oczy Deckera przypominały teraz szparki.

- Szczur z kopalni. Wydawało mi się, że cię rozpoznaję, kiedy trzymałeś się wieloryba. - Słowa brzmiały jak syk. Z chudej twarzy Govera wprost biła nienawiść.

- Gover, nigdy bym nie pomyślał, że jeszcze kiedyś cię zobaczę. - Rees nagle poczuł ogromne znużenie. Spojrzał Goverowi w oczy, usiłując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni go widział. Doszedł do wniosku, że było to podczas rewolty, kiedy w milczeniu przyłączył się do grupy uczonych na zewnątrz mostka. Wtedy pogardzał Goverem, ten zaś wyczuwał nastawienie Reesa i mienił się ze złości na twarzy.

- To wygnaniec. - Gover przysunął się do Deckera, zaciskając i rozkurczając małe pięści.

- Widziałem, jak leciał na wielorybie i kazałem go do ciebie przyprowadzić. Zrzuciłeś go z Tratwy, a on wrócił. Na dodatek jest górnikiem...

- A więc? - zagadnął Decker.

- Każ temu draniowi przejść po belce.

Zniszczona twarz Deckera zdradzała przeżywane emocje. Nagle Rees uświadomił sobie, że ten człowiek jest zmęczony, zmęczony nieoczekiwaną złożonością swojej roli, zmęczony krwią, ciągłymi niedoborami żywności, cierpieniem... Był zmęczony i zapewne miał ochotę na kilka minut rozrywki.

- Najchętniej więc byś go zrzucił? - Gover skinął głową, nie odrywając oczu od Reesa.

- Szkoda, że nie byłeś taki odważny, kiedy na niebie znaleźli się górnicy - mruknął Decker.

Gover wzdrygnął się.

- Dobrze, Gover. - Na wargach Deckera błąkał się okrutny uśmiech. - Zgadzam się z tobą, ale mam jeden warunek.

- Jaki?

- Żadnej belki. Wystarczy już tego tchórzliwego zabijania. Nie, pozwólmy mu umrzeć tak, jak przystoi mężczyźnie. W walce wręcz.

Gover wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Decker cofnął się krok, żeby zostawić Reesowi i Goverowi więcej miejsca. Wokół wpatrzonych w siebie przeciwników zebrał się mały tłum, umazane krwią twarze były spragnione rozrywki.

- Znowu krwawe zabawy, Decker?

- Zamknij się, Pallis.

Rees kątem oka zauważył, że dwaj gwardziści, Plam i Seel, mocno trzymają pilota za ramiona. Potem spojrział na wykrzywioną ze strachu twarz Govera.

- Decker, przebyłem daleką drogę - rzucił. - Mam ci coś do powiedzenia... coś, o czym ci się nawet nie śniło.

- Naprawdę? - Decker uniósł brwi. - Z zainteresowaniem wysłucham tej historii...

później. Najpierw będziecie walczyć.

Gover przykucnął, rozcapierzając palce.

Rees uznał, że nie ma wyboru. Podniósł ręce i próbował szybko obmyślić strategię walki. Kiedyś potrafił wykręcić Goverowi rękę. Teraz jednak, gdy miał za sobą wiele szycht w krainie Kościejów i podróż na wielorybie, nie ufał swojej sile.

Gover wyczuł wątpliwości Reesa. Nie bał się już, przyjął odpowiednią pozycję i stał się bardziej agresywny.

- No chodź, szcurze z kopalni - powiedział i zbliżył się do Reesa.

Rees był wściekły. Nie miał czasu na bijatyki. Zmuszał swój umysł do intensywnej pracy. Czyżby dotychczasowa podróż niczego go nie nauczyła? Jak uporałby się z tą sytuacją Kościej? Rees przypomniał sobie harpuny na wieloryby, które przesywały powietrze z zabójczą dokładnością...

- Uważaj, Gover - odezwał się ktoś z tłumu. - On ma broń.

- Co, to ma być broń? - Rees uświadomił sobie, że wciąż trzyma w ręku stłuczoną butelkę, i przyszedł mu do głowy pewien pomysł. - W porządku, Gover, walka wręcz. Tylko ty i ja. - Rees zamknął oczy. Przyciąganie Tratwy i Platformy sprawiało, że odczuwał nudności. Z całej siły cisnął kawałek szkła w taki sposób, żeby zatoczył lekki łuk. Przemknął przez rozgwieżdżone niebo jak iskra.

Gover obnażył zęby, były równe i brązowe.

Rees zrobił krok do przodu. Miał wrażenie, że czas płynie wolniej, a świat wokół niego zupełnie zamiera; poruszało się jedynie szkło, błyszczące w górze.

Otoczenie stało się jasne i wyraźne, jakby oświetlała je jakaś potężna latarnia ukryta w oczach naukowca.

Przytłaczały go szczegóły: liczył kropelki potu na czole Govera, patrzył na jego poblady

w trakcie oddychania nos. Rees czuł ściskanie w gardle i przyspieszone krążenie krwi.

Przez cały ten czas stłuczona butelka, pełna wdzięku, idealnie orbitowała w polu grawitacyjnym. W końcu jednak zaczęła opadać ku pokładowi i wbiła się w plecy Govera.

Gover upadł z jękiem. Przez chwilę wił się po pokładzie. Na metalowej powierzchni wokół niego powiększała się kałuża krwi. Wreszcie znieruchomiał, a krew przestała płynąć.

Przez dłuższy czas nikt nie wykonał żadnego ruchu. Decker, Pallis i wstrząśnięty tłum tworzyli żywy obraz.

Rees uklęknął. Plecy Govera przypominały teraz krwawy strzęp. Rees wepchnął rękę w ranę i wyciągnął z niej szkło, a potem wstał i uniósł przerażające trofeum, z którego ściekała mu na ramię krew.

Decker podrapał się w głowę.

- Na kości... - Prawie się zaśmiał.

- Wiem, co myślisz - spokojnie oznajmił Rees Deckerowi, mimo że ogarnął go gniew.

- Nie spodziewałeś się po kimś takim jak ja nieczystej walki. Oszukałem, nie postąpiłem zgodnie z regułami, tak?

Decker niepewnie pokiwał głową.

- To nie jest cholerna zabawa! - wrzasnął Rees, opryskując twarz Deckera kropelkami śliny. - Nie miałem zamiaru dać się zabić temu durniowi. Zależało mi na tym, żebyście mnie wysłuchali. Jeśli zechcesz, Decker, to i tak mnie zniszczysz, ale jeśli chcesz mieć jakąkolwiek szansę uratowania swoich ludzi, to mnie wysłuchasz. - Potrząsnął szkłem. - Czy ten przedmiot dał mi prawo bycia wysłuchanym? Dał?

- Lepiej zabierz tego faceta do domu, pilocie. - Pokryta szramami twarz Deckera nie zdradzała żadnych emocji. - Każ mu się umyć. - Zmrużył oczy i rzucił ostatnie spojrzenie, a potem odwrócił się.

Rees upuścił szkło. Nagle dało o sobie znać zmęczenie. Miał wrażenie, że pokład drży i zbliża się do jego twarzy. Poczul, że czyjeś ramiona obejmują go w pasie.

Podniósł głowę i powiódł dookoła mętным wzrokiem.

- Pallis. Dzięki... Widzisz, musiałem to zrobić. Rozumiesz mnie, prawda?

Pilot unikał wzroku Reesa, wpatrywał się w jego zakrwawione ręce i drżał.

ROZDZIAŁ 12

Kiedy Pallis spojrział w górę, Pas wydał mu się zniszczoną zabawką wiszącą w powietrzu. Pomiędzy planetą i drzewem Pallisa krążyły dwie płyty, które co kilka minut wypuszczały obłoki pary i przesuwały się parę metrów w chmurach. Górnicy, którzy nimi sterowali, patrzyli na drzewo z nienawiścią.

W wielkiej otchłani czerwonego powietrza maszyny górników przypominały żelazny pył, lecz Pallis ze smutkiem uświadomił sobie, iż tworzą one równie solidny mur jak drewno czy metal. Stał obok pnia swego drzewa i, gapiąc się na wartowników, w zamyśleniu pocierał podbródek.

- No cóż, nie ma sensu obijać się tutaj - powiedział. - Będziemy musieli polecieć dalej.

- Pallis, ty chyba zwariowałeś. - Pulchna twarz Jaen pokryta była sadzą z mis paleniskowych - Przecież oni nas nie przepuszczą. - Wskazała muskularnym ramieniem górników. - Na miłość boską, Tratwa i Pas prowadzą ze sobą wojnę!

- Kiedy ma się do czynienia z naukowcami, którzy uczą się być leśnikami, problem polega na tym, że muszą się wyklócać o każdy cholerny szczegół. Dlaczego, u licha, po prostu nie robicie tego, co wam się każe?

- A może wolałbyś znowu mieć przy sobie Govera, pilocie? - Jean uśmiechnęła się.

Nie powinieneś się skarżyć, że rewolucja zapewniła ci tak wysokiej jakości personel.

- No dobrze, wysoka jakość, musimy się brać do roboty. Trzeba napęlić misy. - Pallis wyprostował się i otrzepał dłonie.

- Mówisz poważnie? - Jaen zmarszczyła czoło. - Lecimy dalej?

- Słyszałaś, co mówił Rees. To, co mamy do powiedzenia górnikom, jest prawdopodobnie najważniejszą nowiną od czasu, gdy w Mgławicy po raz pierwszy pojawił się Statek. Zmusimy tych przeklętych górników, żeby nas wysłuchali, czy to się im podoba, czy nie. Jeśli w rezultacie zostaniemy wysadzeni w powietrze, trudno. Potem jednak przyleci następne drzewo, i jeśli ono również ulegnie zniszczeniu, to potem jeszcze jedno i jeszcze jedno, aż w końcu te głupie szczury z kopalni zrozumieją, że naprawdę chcemy z nimi rozmawiać.

W czasie niezdarnej tyrady Pallisa Jaen nie odrywała się od pracy, usiłując rozpalić ogień w misie paleniskowej. Kiedy pilot umilkł, podniosła głowę.

- Przypuszczam, że masz rację. - Przygryzła wargę. - Żałuję tylko...

- Czego żałujesz?

- Że to akurat Reesowi udało się przeżyć i ocalić ludzkość. Ten mały szczur z kopalni już i tak zadzierał nosa...

- Proszę napęłnić misy, uczennico. - Pallis wybuchnął śmiechem.

Jaen zabrała się do roboty. Pallis lubił z nią pracować. Była dobrym leśnikiem, wykonywała polecenia szybko i sprawnie. Potrafiła odgadrywać intencje pilota i jakoś nigdy nie wchodziła mu w drogę.

Nad listowiem zebrał się obłok dymu. Drzewo wirowało teraz szybciej i zbliżyło się do Pasa. W nozdrza Pallisa buchnął ostry, znajomy zapach. Sprawujące wartę maszyny górników zawisły na czerwonym niebie jak nieruchome cienie. Pallis oplótł nogami pień drzewa, które zapewniało mu bezpieczne oparcie, i przyłożył ręce do ust.

- Górnicy! - zawołał. - Z pokładu każdego ze statków wyrzały gniewne twarze.

Pallis zmrużył oczy i zobaczył przygotowaną broń: włócznie, noże, pałki. Szeroko rozłożył ręce.

- Przybywamy w pokojowych intencjach. Przecież to widzicie, na miłość boską.

Myślicie, że pod tymi gałęziami schowałem armadę?

- Zjeżdżaj stąd, leśniku! - wrzasnął któryś z górników - jeśli chcesz żyć.

- Nazywam się Pallis i nie mam zamiaru nigdzie uciekać.

- Pilota powoli ogarniała wściekłość. - Przynoszę wieści, które będą miały wpływ na każdego mężczyznę, kobietę i dziecko na Pasię. I ty pozwolisz mi je przekazać!

- Jakie wieści? - Górnik podrapał się w głowę. Był podejrzliwy.

- Przepuście nas, to wszystko opowiem. Wieści pochodzą od jednego z waszych ludzi.

Od Reesa.

Górnicy naradzali się, a potem ich rzecznik odwrócił się do Pallisa.

- Kłamiesz. Rees nie żyje.

- Żyje. - Pallis wybuchnął śmiechem. - Właśnie jego historię mamy wam do przekazania.

Nagle znad krawędzi płyty wyleciała dzida. Pallis ostrzegł krzykiem Jaen. Dzida prześlizgnęła się przez listowie i zniknęła w otchłaniach Mgławicy. Pallis stał z rękami na biodrach i groźnie spoglądał na górników.

- Nie potraficie słuchać, co?

- Leśniku, z powodu zachłanności Tratwy umieramy tutaj z głodu, a najlepsi ludzie giną,

próbując naprawić ten stan rzeczy.

- Niech giną! Nikt ich nie prosił, żeby zaatakowali Tratwę! - krzyknęła Jaen.

- Zamknij się, Jaen - - syknął Pallis.

- Tylko spójrz, pilocie, ci dranie są uzbrojeni, a my nie. - Dziewczyna prychnęła. - Najwyraźniej nie chcą wysłuchać ani jednego słowa naszej cholernej wiadomości.

Jeśli spróbujemy podlecieć bliżej, zapewne spalą drzewo. Decydowanie się na samobójstwo chyba nie ma sensu, prawda? Po prostu będziemy musieli wymyślić inny sposób.

- Nie ma innego sposobu. - Pallis potarł brodę. - Musimy z nimi porozmawiać. - Niewiele myśląc, wyciągnął nogę i kopnął najbliższą położoną misę paleniskową.

Dymiące drewno wysypało się i wkrótce po listowiu zaczęły pełzać małe ogniki.

- Pallis, co u diabła... - Jaen patrzyła na pilota jak sparaliżowana, a potem gwałtownie rzuciła się do niego. - Zaraz przyniosę koce.

- Nie, Jaen, niech się pali. - Otoczył ją masywną ręką.

Spojrzała na niego, nie umiejąc pojąć jego postępowania. Płomienie rozprzestrzeniały się jak żywe organizmy. Górnicy obserwowali pożar wyraźnie zbici z tropu. Pallis oblizwał wargi.

- Widzisz, listowie jest bardzo suche - odezwał się po chwili. - Dzieje się tak, gdyż szwankuje sama Mgławica. Powietrze jest zbyt jałowe, a widmo światła gwiazdowego nie sprzyja procesowi fotosyntezy w liściach...

- Pallis - wtrąciła się stanowczo Jaen - przestań paplać.

- Dobrze. Zakładam, że zabiorą nas stąd. To jedyna możliwość, - Pallis zmusił się do zerknięcia na poczerńiałe, obracające się drewno, na spalone liście, które rozdmuchiwał wiatr.

- Sprawia ci to ból, tak? - Jaen dotknęła naznaczonego bliznami policzka mężczyzny.

Miała wilgotne opuszki palców.

- Jaen, zdobywam się na największy wysiłek woli, aby nie biec po koce. - Zaniósł się wymuszonym śmiechem. Nagle jego udręka przerodziła się w gniew. - Wiesz, że wszystkich potworności, których dopuszczają się we wszechświecie ludzie, ta jest najgorsza.

Kiedy ludzie wyrządzają krzywdę innym ludziom, zachowują obojętność. Teraz jednak jestem zmuszony zniszczyć jedno ze swoich własnych drzew.

- Możesz puścić moje ramię.

- Co? - Zaskoczony Pallis uświadomił sobie, że wciąż ściska dziewczynę za ramię.

Natychmiast ją puścił. - Przepraszam. - Jaen z obolałą miną rozcierała rękę.

- Rozumiem, pilocie, nie będę próbowała cię powstrzymać. - Wyciągnęła rękę.

Pallis chwycił ją wdzięcznością, tym razem delikatnie.

Platforma przechyliła się. Zachwiali się. Płomienie sięgały już ponad głowę Pallisa.

- Szybko to idzie - mruknął.

- O, tak. Nie sądzisz, że powinniśmy uratować jakieś pojemniki z prowiantem?

- Żebyśmy mieli co przekąsić w drodze do Rdzenia? - Roześmiał się.

- W porządku, to był głupi pomysł. Chociaż nie tak głupi, jak podpalenie tego cholernego drzewa.

- Może masz rację.

W tym momencie zobaczyli, że cały sektor krawędzi ugina się i znika w deszczu rozszarpanych odłamków. Ścięte konary paliły się niczym grube świece.

- Myślę, że nadeszła właściwa pora - stwierdził Pallis.

- Chyba najlepiej będzie podbiec do krawędzi i skoczyć. - Jaen rozejrzała się. - Nabrać maksymalnego rozpędu i mieć nadzieję, że większa prędkość oraz rotacja drzewa pozwolą nam wystarczająco daleko oddalić się od pogorzeliska.

- Dobrze.

Spojrzeni sobie w oczy, a po chwili stopy Pallisa już dotykały szeleszczącego listowia.

Na widok krawędzi pilot stłumił instynktowny lęk. Po chwili szybował w pustych, nie mających dna przestworzach, nie wypuszczając ręki Jaen.

Odczuwał coś w rodzaju wesołości.

Runęli w zadymione powietrze i tempo ich lotu natychmiast zmniejszyło się.

Pallis zawisł na niebie stopami w kierunku Pasa, po prawej stronie miał Jaen, a przed sobą drzewo.

Drzewo tworzyło ognisty wieniec. Z masy listowia leżącego na platformie unosił się kłęb dymu. Gałęzie spadały z trzaskiem, który przypominał wybuchy. Tam, gdzie odłamywały się skąpane w ogniu fragmenty obwodu, wystrzeliwały snopy iskier.

Wkrótce został tylko pień, zniekształcona resztką, okolona kikutami konarów. Wreszcie spalone drzewo wzbilo się w górę, a Pallis i Jaen zawisli w próżni, wciąż trzymając się za ręce.

Górnicy zniknęli z pola widzenia.

Pallis spojrzął na Jaen. Był zakłopotany. Zastanawiał się, o czym powinni rozmawiać.

- Wiesz, dzieci na Tratwie dorastają w lęku przed spadaniem - powiedział. - Myślę, że

uznają płaską, stabilną powierzchnię pod stopami za coś oczywistego. Zapominają, że Tratwa jest jak listek unoszący się w powietrzu... że nie ma w sobie nic z solidności nieprawdopodobnie wielkich planet w innym wszechświecie, o którym opowiadają nam uczeni. Za to dzieci Pasa wychowują się w pierścieniu podniszczonych domostw, okalającym skurczoną gwiazdę. One nie mogą stać na bezpiecznym podłożu. I teraz nie bałyby się spadania, tylko braku lin i dachów, na których mogłyby się uwiesić.

- Pallis, czy ty jesteś przestraszony? - Jaen odgarnęła włosy z twarzy.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie, chyba nie jestem. Miałem większego pietra przedtem, zanim kopnąłem tę cholerną misę paleniskową.

- Ja chyba też się nie boję. - Jaen wzruszyła ramionami i zakołysała się. - Tylko żałuję, że twoje ryzyko się nie opłaciło...

- No cóż, warto było spróbować.

- ...i strasznie chciałabym wiedzieć, czym się to wszystko skończy.

- Jak myślisz, ile zostało nam życia?

- Może parę dni. Powinniśmy byli zabrać pojemniki z żywnością, ale przynajmniej napatrzymy się na niezwykle rzeczy. Pallis! - Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

Puściła rękę Pallisa i zaczęła machać rękami, jakby płynęła w powietrzu.

Pallis spojrział w dół zaniepokojony.

Zobaczył podlatujący do nich statek. Sieci zarzuconej na twardą, metalową powierzchnię trzymało się dwóch górników. Żelazny bok przybliżał się do pilota jak rozpędzona ściana.

Pallis czuł w ustach smak krwi.

Otworzył oczy. Leżał na plecach. Znajdował się na statku górników. Czuł przez koszulę węzełki sieci. Spróbował usiąść i bez specjalnego zdziwienia poczuł, że jego przeguby i kostki są przywiązane do sieci. Rozluźnił się. Zależało mu, żeby przyjąć groźną postawę.

Niebawem zamajaczyła mu przed oczami czyjaś pulchna, brodata twarz.

- Temu nic nie jest, Jame, poleciał na głowę.

- Wielkie dzięki - warknął Pallis. - Gdzie jest Jaen?

- Tutaj! - zawołała dziewczyna. Znajdowała się poza zasięgiem wzroku Pallisa.

- Wszystko w porządku?

- Byłoby w porządku, gdyby ci kretyni pozwolili mi usiąść.

Pallis wybuchnął śmiechem, lecz zaraz skrzywił się, gdyż zaboląła go szczęka. Z pewnością dołączył do swej kolekcji kilka nowych blizn. Po chwili ujrzał drugą twarz.

Zmrużył oczy.

- Pamiętam cię. Wydawało mi się, że rozpoznaję twoje imię. Jesteś Jame, z baru „U Kwatermistrza”.

- Witaj, Pallis - ponuro odezwał się barman.

- Wciąż rozwadniasz swój gin, barmanie?

- Wystawiłeś się na piekielne ryzyko, pilocie drzewa. Powinniśmy byli pozwolić ci spaść... - Jame spojrzął na niego spode łba.

- Ale nie zrobiliście tego - odparł z uśmiechem Pallis i odprężył się.

W trakcie krótkiej podróży na Pas Pallis przypomniał sobie, jaki był zdziwiony, gdy pierwszy raz usłyszał opowieść Reesa. Występował wówczas w roli przyjaciela wygnańca.

Siedział z Reesem, Deckerem i Hollerbachem w gabinecie tego ostatniego i patrzył jak urzeczony na proste gesty, którymi Rees podkreślał opowieść o swoich przygodach.

Cała historia wydawała się zupełnie nieprawdopodobna, jakby wyjęta z baśni.

Kościeje, planeta z kości, wieloryb i jeszcze ta pieśń... Jednakże Rees mówił rzeczowym, całkowicie przekonującym tonem i spokojnie odpowiadał na wszystkie pytania Hollerbacha.

W końcu Rees opisał masową migrację wielorybów.

- Ależ naturalnie - wysapał Hollerbach. - Ha! To jest takie oczywiste. - I mimo podeszłego wieku uderzył pięścią w biurko.

- Ty stary, głupi palancie. - Decker podskoczył wyrwany z transu. - Co jest takie oczywiste?

- Tyle elementów pasuje do całości. Wędrowki między mgławicami! Oczywiście, powinniśmy byli się tego domyślić. - Hollerbach wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju, waląc kościstą pięścią w drugą dłoń.

- Dość już tej komedii, naukowcu - powiedział Decker. Wyjaśnij, o co chodzi.

- Przede wszystkim pieśni wielorybów: nasz bohater właśnie potwierdził snute od dawna domysły. Powiedźcie mi jedną rzecz, po cóż wieloryby miałyby takie duże mózgi, tak dużą inteligencję, tak wyrafinowane sposoby komunikowania się ze sobą? Jeśli dobrze się zastanowić, te zwierzęta tylko się odżywiają i dzięki ogromnym rozmiarom raczej nie są narażone na ataki drapieżników, co poświadcza Rees. Z pewnością nie ograniczają się do krążenia w atmosferze i

przeżuwania powietrznych smakołyków, gdyż wówczas niewiele różniłyby się od drzewa: „unikaj cienia”, „krąż wokół studni grawitacyjnej”.

- Drzewo nigdy nie poleciałoby do Rdzenia - Pallis potarł nos. - W każdym razie nie z własnego wyboru. Czy to chcesz powiedzieć?

- Dokładnie, pilocie. Poddanie się stresowi związanemu z pływami i niebezpiecznym promieniowaniem wymaga skomplikowanych funkcji mózgowych, dalekowzroczości, każącej przewyżczać prymitywny instynkt, zaawansowanej komunikacji, być może telepatycznej, tak aby każdej generacji można było zaszczerpić poprawne zachowanie.

- Poza tym wieloryb musi precyzyjnie wybrać swoją trajektorię wokół Rdzenia. - Rees uśmiechnął się.

- Oczywiście, oczywiście.

- Poczekajcie... - Na twarzy Deckera malowała się złość i zmieszanie. - Rozważmy to krok po kroku. - Podrapał się po brodzie. - Co zyskują wieloryby, nurkując w kierunku Rdzenia? Czyż nie wpadają tam w pułapkę?

- Nie wpadają, jeśli wybierają właściwą trajektorię - odparł Hollerbach nieco zniecierpliwionym tonem. - Właśnie w tym rzecz, rozumiesz? To grawitacyjna katapulta. - Uniósł pięść i obrócił ją, naśladując rotację. - Tutaj jest Rdzeń, który wiruje.

A tędy... - Wyprostował drugą dłoń i szybko przybliżył ją do wyimaginowanego Rdzenia - ...

nadlatuje wieloryb. - „Wieloryb” runął tuż obok Rdzenia; hiperboliczna trasa, którą pokonał, była zgodna z kierunkiem rotacji Rdzenia. - Przez krótki okres wieloryba i Rdzeń wiąże grawitacja. Kątowa siła rozpędu Rdzenia wywiera lekki wpływ na zwierzę, które dzięki zetknięciu z nim uzyskuje trochę energii.

- Cieszę się, że nie muszę tego robić za każdym razem, gdy lecę na drzewie. - Pallis potrząsnął głową.

- To całkiem prosty manewr. Wielorybom jakoś się udaje... Decydują się przez wszystko przejść dlatego, że dzięki uzyskanej energii są w stanie osiągnąć prędkość potrzebną do ucieczki z Mgławicy.

- Przestań już głądzić. - Decker wyrznął pięścią w biurko. - Jaki to ma związek z całą sprawą?

- Związek jest następujący: dzięki osiągnięciu większej prędkości wieloryby mogą

opuszczać Mgławicę. - Hollerbach westchnął. Potarł palcami grzbiet nosa, szukając okularów, które dawno utracił.

- One wędrują - gorliwie podchwycił Rees. - Przemieszczają się do innej mgławicy.

Do nowej mgławicy, w której jest mnóstwo młodych gwiazd i błękitne niebo.

- Rozmawiamy tu o wspaniałej wymianie życia między mgławicami - dorzucił Hollerbach. - Bez wątpienia wieloryby nie są jedynym gatunkiem, który lata między chmurami, ale nawet gdyby tak było, zapewne przenosiłyby wystarczająco dużo zarodków i kiełków, aby w nowym miejscu swobodnie rozwinęło się życie.

- To wszystko jest bardzo ekscytujące. - Rees sprawiał wrażenie upojonego. - Widzisz, teoria wędrówek pozwala rozwiązać odwieczną zagadkę pochodzenia życia w naszym obłoku gwiazdnym. Mgławica istnieje zaledwie kilka milionów szycht. Po prostu nie było czasu na powstanie życia w taki sposób, w jaki, według naszych przypuszczeń, ewoluowało ono na Ziemi.

- Odpowiedź jest taka, że prawdopodobnie jednak nie rozwinęło się tutaj - wtrącił Hollerbach.

- Przeniosło się do Mgławicy z innego miejsca?

- Zgadza się, pilocie drzewa, z jakiejś innej, wyczerpanej chmury. Teraz nasza Mgławica umiera. Wieloryby uświadamiają sobie, że nadeszła pora wędrówki. Przed poprzedniczką naszego gwiazdowego obłoku mogły istnieć inne mgławice: łańcuch migracji trwa od niepamiętnych czasów.

- To cudowna wizja - rozmarzył się Rees. - Z chwilą gdy we wszechświecie zrodziło się życie, musiała nastąpić jego szybka ekspansja. Być może już wszystkie mgławice są w jakiś sposób zamieszkałe, a w kosmosie nieustannie krążą zwierzęta, których nawet nie umiemy sobie wyobrazić.

- Rees, jeśli nie przystąpisz do rzeczy - Decker spoglądał to na jednego naukowca, to na drugiego - nie wytłumaczysz wszystkiego prostymi słowami i to natychmiast, to własnymi rękami wyrzucę cię przez Krawędź - oświadczył spokojnie. - I tego starego palanta też.

Zrozumiałeś?

- Decker, chodzi o to, że skoro wieloryby są w stanie uciekać przed śmiercią, my również jesteśmy do tego zdolni. - Rees oparł dłoń na biurku. Pallis znowu ujrzał na jego twarzy osobliwą pewność.

- Mów jaśniej. - Decker zmarszczył czoło.

- Mamy do wyboru dwie możliwości. - Rees uderzył w stół. - Albo zostajemy, przyglądamy się gasnącym gwiazdom i wydzieramy sobie resztki żywności, albo - znowu uderzenie - bierzemy przykład z wielorybów. Krążymy wokół Rdzenia, wykorzystując efekt katapulty, i przenosimy się do nowej mgławicy.

- A dokładnie, jak to zrobimy?

- Dokładnie, nie wiem - odparł kwaśno Rees. - Może odetniemy drzewa i pozwolimy, żeby Tratwa spadała w stronę Rdzenia.

- Jak zapobiegłbyś zdmuchnięciu załogi? - Pallis usiłował to sobie wyobrazić.

- Nie wiem, Pallis. - Rees zaśmiał się. - To tylko zarys planu. Jestem pewien, że istnieją lepsze sposoby.

Decker oparł się wygodniej. Na poznaczonej bliznami twarzy malowało się wielkie skupienie.

Hollerbach podniósł zakrzywiony palec.

- Ty, Rees, chcąc nie chcąc prawie odbyłeś tę podróż. Gdyby nie to, że zdołałeś skierować wieloryba tutaj, jeszcze teraz leciałbyś z nim pośród gwiazdnych obłoków.

- Może właśnie tak należałoby to zrobić - zauważył Pallis. - Wedrzeć się do wielorybów, wnieść żywność i wodę, a potem pozwolić, żeby nas zabrały do nowej siedziby.

- Nie sądzę, żeby ta metoda okazała się skuteczna, pilocie - zaprzeczył Rees. - Wnętrze wieloryba nie spełnia warunków potrzebnych do życia istotom ludzkim.

- A zatem będziemy musieli zabrać Tratwę... ale przecież poza Mgławicą zabraknie powietrza, prawda? - Pallis głowił się nad dziwnymi pomysłami. - Należałoby więc zbudować coś w rodzaju osłony, która umożliwi nam oddychanie.

- Myślisz logicznie, Pallis. Może jeszcze uda nam się zrobić z ciebie uczonego.

Hollerbach kiwał głową wyraźnie zadowolony.

- Co za upierdliwy starzec - czule mruknął Pallis.

- Decker, gdzieś w całym tym nonsensem kryje się klucz do przetrwania naszej rasy. - Reesa znowu ogarnął przypływ energii. - Taka jest stawka. Jesteśmy w stanie przeżyć, co do tego nie miej wątpliwości. Potrzebujemy jednak twojej pomocy.

Rees umilkł. Pallis wstrzymał oddech. Czuł, że jest świadkiem doniosłego wydarzenia, przełomowego momentu w historii własnego gatunku. Uświadomił sobie, że los ludzkości w jakiś sposób zależy od Reesa. Uważnie obserwował młodego naukowca i wydało mu się, że

dostrzega lekkie drżenie policzków. Jednak z oczu Reesa biła ogromna determinacja.

- Od czego zaczynamy? - zagadnął Decker po długiej chwili.

Pallis powoli wypuścił powietrze. Zobaczył, że Hollerbach się uśmiecha, a w oczach Reesa lśniły zwycięskie iskierki, lecz obaj uczeni byli roztropni i nie okazywali radości zbyt wylewnie.

- Najpierw kontaktujemy się z górnikami - powiedział Rees.

- Co? - wybuchnął Decker.

- Wiesz, to też ludzie - odezwał się łagodnie Hollerbach. - Mają prawo do życia.

- I są nam potrzebni - dodał Rees. - Prawdopodobnie przyda nam się żelazo, i to w dużych ilościach...

I w taki oto sposób Pallis i Jaen siedzieli na dachu Pasa. W górze jak rozmazana plama na niebie znajdowało się jądro gwiazdy. Wszechobecna mżawka zlepiła włosy i zarost Pallisa. Naprzeciwko nich siedziała Sheen i powoli przeżuwała kawałek mięsa. Za jej plecami tkwił, z założonymi ramionami, Jame.

- Wciąż nie jestem pewna, czy po prostu nie powinnam was zabić - powoli wycodziła Sheen.

- Masz wiele wad, Sheen, ale nigdy nie myślałem, że jesteś kretynką. - Wściekł się Pallis.

- Nie rozumiesz, jak ważne jest to, co wam mówię?

- Skąd mamy wiedzieć, że to nie jakaś sztuczka? Zapominasz, że prowadzimy wojnę, pilocie. - Jame głupio się uśmiechnął.

- Sztuczka? To może wyjaśnisz, jakim cudem Rees przeżył wygnanie z Pasa i jak doszło do tego, że wrócił na wielorybie. Mój Boże, jeśli dobrze się zastanowisz, jego historia sprowadza się do bardzo prostej hipotezy.

- Co takiego? - Jame podrapał się po brudnej głowie.

Jaen uśmiechnęła się.

- Kiedyś ci to wytłumaczę - powiedział Pallis. - Do diabła, barmanie, w tej chwili mówię ci, że nie czas na wojnę. Wojna nie ma uzasadnienia. Rees pokazał nam wyjście z gazowej pułapki, w której przebywamy, ale musimy działać wspólnie. Sheen, czy nie możemy gdzieś się schronić przed tym cholernym deszczem? - Po zmęczonej twarzy pilota ściekały strużki wody.

- Już ci mówiłam, że nie jesteście tu mile widzianymi gośćmi. Jesteście zaledwie tolerowani i nie macie prawa do dachu nad głową. - Podobnie Sheen mówiła na początku

opisywania misji przez Pallisa, lecz pilot zauważył zmianę. Czyżby w jej ton wkradła się odrobina niepewności?

- Posłuchaj, Sheen, nie zabiegam o układ korzystny dla jednej strony.

Potrzebujemy waszego żelaza i umiejętności obrabiania metalu, a wy nie możecie się obyć bez żywności, wody, leków, prawda? Poza tym tak się składa, że Tratwa wciąż ma monopol na maszyny dostawcze. Teraz, przy pełnym poparciu Deckera, Komitetu i diabli wiedzą kogo jeszcze, mogę wam powiedzieć, że jesteśmy skłonni dzielić się tym, co mamy. Jeśli chcecie, damy wam sektor Tratwy z zestawem maszyn, a w dalszej perspektywie... oferujemy górnikom życie dla ich dzieci.

- Gadasz same głupoty, pilocie. - Jame pochylił się do przodu i splunął w deszcz.

- Ty cholerny gnojku... - Stojąca obok Pallisa Jaen zacisnęła pięści.

- Och, zamknijcie się oboje. - Sheen odgarnęła z oczu mokre włosy. - Posłuchaj, Pallis, nawet jeśli powiem tak, nie oznacza to jeszcze końca sprawy. Nie mamy tutaj Komitetu ani szefa, czy kogoś w tym rodzaju, wszystko omawiamy we własnym gronie.

- Rozumiem. - Pallis skinął głową. Jego serce rozpieęła nadzieja. Spojrzał Sheen prosto w brązowe oczy. Usiłował włożyć w swoją wypowiedź całą swoją osobowość, wszystkie wspomnienia, jakie z nią dzielił. - Sheen, przecież mnie znasz. Może mam wady, ale wiesz, że nie jestem głupcem. Proszę cię, byś mi zaufała. Pomyśl tylko, czy zabłąkałbym się tutaj, gdybym nie był pewien swojej sprawy? Czy zgodziłbym się utracić coś tak cennego jak...

- Co takiego? Swoje bezwartościowe życie? - Jame uśmiechnął się szyderczo.

- Jame, miałem na myśli moje drzewo. - Pallis odwrócił się do barmana. Nie ukrywał zaskoczenia.

- Nie wiem, Pallis. Potrzebuję czasu. - Twarz Sheen wyrażała rozmaite uczucia.

- W porządku. - Pallis uniósł dłonie. - Nie musisz się śpieszyć. Porozmawiaj ze wszystkimi osobami, które przyjdą ci do głowy, a na razie... czy pozwolisz nam zostać?

- Jedno jest pewne, wasza noga nie zostanie w barze „U Kwatermistrza”.

- Barmanie, wcale się nie palę do łykania twojego rozwodnionego sikacza. - Pallis uśmiechnął się pogodnie.

- Nic się nie zmieniasz, pilocie, prawda? - Sheen pokręciła głową. - Wiesz, nawet jeśli cała ta opowieść jest prawdziwa, to wasz wariacki plan nie trzyma się kupy. - Wskazała na jądro gwiazdy. - Dzięki pracy w czymś takim mamy lepsze wycucie grawitacji niż wy.

Zaręczam ci, że numer z grawitacyjnym katapultowaniem się będzie cholernie trudny.

Należałoby go wykonać z maksymalną precyzją...

- Wiem, ale nawet gdy tu siedzimy, otrzymujemy cenne wskazówki.

- Wskazówki? Od kogo?

Pallis uśmiechnął się.

Gorda obudziły krzyki.

Zerwał się z posłania. Był ciekaw, ile czasu spał. Tutaj, oczywiście, nie istniał cykl szychty, a Pas nie obracał się jak zegar. Czas odmierzała jedynie pora niespokojnego snu, nudna, nie wymagająca inteligencji praca, okropne wyprawy do pieców. Mimo to burczenie w żołądku eks-inżyniera sugerowało upływ co najmniej kilku godzin. Popatrzył na malejącą stertę żywności w kącie chaty i zadrzał. Za jakiś czas głód zmusi go do uszczknięcia kolejnej porcji.

Krzyki przybierały na sile i w Gordzie obudziła się ciekawość. Dotychczas nic nie zakłócało monotonii świata Kościejów. Co spowodowało aż takie poruszenie? Może wieloryb? Ale przecież obserwatorzy zauważali te bestie z dużym wyprzedzeniem, a poza tym nikt nie intonował pieśni.

Gord wstał i ruszył do drzwi.

Kilkanaście osób, dorośli i dzieci, stało na skórzanym podłożu planety i zadzierało głowy do góry. Małe dziecko pokazywało rączką coś na niebie. Zaintrygowany Gord dołączył do tłumu.

Wiatr przyniósł ze sobą zapach drewna i liści. Gord na krótką chwilę zapomniał o nieustannym odorze zgnilizny. Mężczyzna spojrział w górę i zapało mu dech w piersiach.

Na niebie wirowało drzewo. Wyglądało majestatycznie. Pień znajdował się najwyżej pięćdziesiąt metrów nad Gordem.

Nie widział drzewa od czasu wygnania z Pasa. Niektórzy z Kościejów zapewne nie oglądali takiego widoku nigdy w życiu.

Z pnia zwisał, głową do dołu, jakiś ciemnowłosy, szczupły i dziwnie znajomy mężczyzna. Pomachał Gordowi ręką.

- Gord? To ty?

- Rees? Nie wierzę własnym oczom... Przecież ty nie żyjesz.

- Wciąż mi to mówią. - Rees wybuchnął śmiechem.

- Przeżyłeś lot na wielorybie?

- Nie tylko lot. Udało mi się wrócić na Tratwę.

- Chyba żartujesz.

- To długa historia. Przybyłem z Tratwy, żeby się z tobą zobaczyć.

- Jeśli to prawda, jesteś szalony. Po co wracałeś? - Gord potrząsnął głową i rozłożył ręce, żeby pokazać kościaną planetę, która teraz stanowiła jego świat.

- Bo potrzebuję twojej pomocy! - odkrzyknął Rees.

ROZDZIAŁ 13

Talerz sunął w kierunku Pasa w obłoku pary. Przy wejściu do baru „U Kwatermistrza” stali Sheen i Grye. Obserwowali załogę Kościejów. Sheen poczuła narastający strach i zadrżała.

Zwróciła się do Grye’a. Pamiętała, że kiedy uczony pojawił się tu zesłany z Tratwy, był dość korpulentnym mężczyzną. Teraz zostały z niego skóra i kości. Grye zauważył, że Sheen mu się przygląda. Przełożył czarkę z napojem do drugiej ręki i spuścił wzrok.

- Coś mi się zdaje, że się rumienisz. - Sheen wybuchnęła śmiechem.

- Przepraszam.

- Musisz się rozchmurzyć. Pamiętaj, jesteś teraz jednym z nas. My, ludzie, trzymamy się razem, a przeszłość się nie liczy. Mamy tu zupełnie nowy świat. Zgadza się?

- Przepraszam... - Grye wzdrygnął się na te słowa.

- Przestań przeproszać.

- Po prostu trudno jest zapomnieć o setkach szycht, które musieliśmy przecierpieć, odkąd się tu pojawiliśmy. - Głos uczonego był łagodny, lecz przebijała przez niego nuta rozgoryczenia.

- Zapytaj Rocha, czy przeszłość się nie liczy. Zapytaj Cipse’a.

Teraz poczerwieniała Sheen. Z niechęcią przypomniała sobie, jak bardzo nienawidziła wygnańców i pozwalała, aby ich okrutnie traktowano. Zrobiło jej się gorąco ze wstydu. Teraz gdy Rees dał ludziom nowy cel, tego rodzaju postępowanie zasługiwało na bezbrzeżną pogardę.

- Jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie, przepraszam - wydusiła z wysiłkiem.

Grye nic nie odpowiedział.

Na parę chwil zapadło kłopotliwe milczenie. Grye nieco złagodniał, jakby poczuł się lepiej w towarzystwie niedawnego wroga.

- No cóż - odezwała się Sheen w przyływie energii przynajmniej Jame już nie przeszkadza wam bywać w barze „U Kwatermistrza”.

- Powinniśmy być wdzięczni za drobne łaski. - Pociągnął łyk z czarki i westchnął. - Może nie takie znowu drobne. - Pokazał ręką nadlatujący talerz. - Wy, górnicy, chyba naprawdę akceptujecie nas znacznie bardziej od czasu przybycia pierwszych Kościejów.

- Wcale się nie dziwię. Być może obecność Kościejów pokazuje nam, jak wiele nas z wami łączy.

- O, tak.

Za sprawą rotacji Pasa bar „U Kwatermistrza” ponownie znalazł się pod zbliżającym się talerzem. Sheen spostrzegła, że na stateczku leciało trzech Kościejów, dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy byli niscy i barczyście zbudowani i mieli na sobie zniszczone tuniki, dostarczone przez ludność Pasa. Sheen słyszała wiele legend dotyczących tego, co nosili na swojej planecie. Poczula, że znowu dygocze.

Pas spełniał funkcję przystanku między światem Kościejów i Tratwą. Kościeje lecący na Tratwę zatrzymywali się tutaj na kilka szycht, a potem odlatywali na drzewie dostawczym.

Jak daleko Sheen sięgała pamięcią, nigdy nie pojawiali się na Pasię, lecz większość górników uważała, że nawet ta garstka to zbyt wiele.

Kościeje ze statku gapili się na Sheen, rozdziawiając grube usta. Jednemu z mężczyzn udało się zwrócić jej uwagę. Mrugnął i wymownie zakołysał biodrami. Poczula, że jedzenie podchodzi jej do gardła, ale wytrzymała wzrok Kościeja, aż w końcu talerz zniknął za linią horyzontu Pasa.

- Szkoda, że nie potrafię uwierzyć, iż potrzebujemy ich - mruknęła.

- To przecież ludzie. - Grye wzruszył ramionami. - Rees twierdzi, że nie wybierali sobie stylu życia. Po prostu usiłowali przetrwać, jak my wszyscy. Tak czy owak, może nie będziemy ich potrzebować. Nasza praca z kretami w jądrze gwiazdy posuwa się całkiem dobrze.

- Naprawdę?

- Wiesz, co próbujemy zrobić tam w dole? - Grye przysunął się do Sheen. Poczul się pewniej, gdyż rozmowa zeszła na temat, na którym się znał.

- Mniej więcej...

- Widzisz, jeśli pomysł Reesa z katapultowaniem się ma zadziałać, musimy opuścić Tratwę na dokładnie ustalony tor wokół Rdzenia. Kierunek asymptotyczny jest bardzo wrażliwy na warunki początkowe.

- Lepiej używaj jednosylabowych wyrazów, albo jeszcze krótszych. - Podniosła rękę.

- Przepraszam. Ruszamy na ścisłą orbitę, bardzo blisko Rdzenia. Im bliżej dotrzemy, tym bardziej zakrzywiona będzie nasza droga, ale nawet małe odchylenie powoduje ogromne różnice. Musisz wyobrazić sobie wiązkę sąsiadujących trajektorii, którymi nadlatujemy do Rdzenia. Po pewnym czasie rozchodzą się niczym rozplecione włókna. Dlatego nawet najmniejszy błąd mógłby ostatecznie zepchnąć Tratwę w zupełnie innym kierunku, niż byśmy chcieli.

- Rozumiem, tak mi się przynajmniej wydaje, ale przecież różnica nie może być zbyt wielka, prawda? Przecież celujecie w całą mgławicę, która liczy sobie tysiące mil.

- Tak, ale dzieli nas od niej daleka droga. Potrzebne będzie bardzo precyzyjne „strzelanie”. Jeśli chybimy, nawet o te parę mil, możemy się znaleźć w pustej, pozbawionej powietrza przestrzeni i żeglować w niej bez końca.

- Jaka jest więc rola kreta?

- Musimy ustalić wszystkie trajektorie w wiązce, żeby wiedzieć, w jaki sposób mamy się zbliżyć do Rdzenia. Obliczanie wyników na papierze zabiera mnóstwo czasu, taką pracę zapewne wykonywały dla pierwszej Załogi specjalne maszyny. To Rees wpadł na pomysł, żeby wykorzystać mózgi kretów.

- Któż by inny. - Sheen skrzywiła się.

- Twierdził, że krety musiały kiedyś latać. Jeśli dobrze się przyjrzeć, można zauważyć, że w niektórych miejscach miały przymocowane rakiety, stateczniki i tym podobne.

Zdaniem Reesa krety musiały w pewnym stopniu rozumieć prawa dynamiki orbitalnej.

Usiłowaliśmy przedstawić kretowi nasze problemy. Zadawanie pytań i uzyskiwanie odpowiedzi trwało wiele godzin, ale w końcu zaczęliśmy otrzymywać przydatne wyniki. Teraz kret dostarcza treściwych odpowiedzi i szybko posuwamy się do przodu.

- Imponujące. Jesteście pewni jakości tych wyników? - Sheen skinęła głową, obracając czarkę w ręku.

- Tak pewni, jak to jest możliwe. - Grye trochę spuścił z tonu. - Skonfrontowaliśmy wyniki z pisemnymi obliczeniami, ale żaden z nas nie jest ekspertem w tej dziedzinie. - Jego głos znowu stwardniał. - Widzisz, naszym głównym nawigatorem był Cipse.

- Posłuchaj, Grye, myślę, że już pora, abym... - Sheen nie wiedziała, co powiedzieć.

Wysączyła resztki napoju.

- Hej, powiedzcie mi, gdzie stary Quid mógłby się napić.

Słyszając chytry głos, Sheen odwróciła się spłoszona. Ujrzała przed sobą szeroką, pomarszczoną twarz. Przybysz odsłaniał w uśmiechu zepsute zęby i wodził czarnymi oczami po ciele kobiety. Cofnęła się instynktownie. Miała wrażenie, że Grye, który stał za jej plecami, drży ze strachu.

- Czego... chcesz?

- Jak to, kochanie? - Kościej pogładził delikatnie rzeźbioną włócznię z kości.

Wytrzeszczył oczy, udając zdziwienie. - Dopiero co się zjawilem, a ty witasz mnie w taki sposób? Przecież teraz wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. - Zbliżył się do rozmówczynie. - Kiedy poznasz starego Quida, na pewno go polubisz.

- Jeszcze krok, a złamię ci to cholerne ramię. - Sheen stała w miejscu. Nie ukrywała obrzydzenia.

- Ciekawe, jak to zrobisz, kochanie. - Quid wybuchnął śmiechem. - Pamiętaj, że osiągnąłem swój g tężyznę w warunkach dużej liczby g , nie w takiej dziecinnie słabiutkiej mikrogravitacji jak ty. Masz bardzo atrakcyjne mięśnie, ale założę się, że twoje kości są łamliwe jak suche liście. - Obrzucił Sheen przenikliwym spojrzeniem. - Zdziwiłaś się, dziewczyno, że stary Quid używa takich wyrażen jak „mikrogravitacja”? Jestem Kościejem, ale na pewno nie potworem i z pewnością nie jestem głupi. - Wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię. Był to stalowy uścisk. - Najwyraźniej musisz opanować tę lekcję... - Sheen odbiła się od ściany baru nogami i szybkim ruchem uwolniła rękę. Kiedy stanęła z powrotem, miała już w dłoni nóż. Quid uniósł rękę i uśmiechnął się z podziwem. - No, dobrze, dobrze... - Zwrócił uwagę na Grye'a. Naukowiec kurczowo przyciskał czarę do piersi i dygotał. - Słyszałem, co mówiłeś - powiedział Quid. - Cała ta gadka o orbitach i trajektoriach... Myślę, że to się wam nie uda.

- Co masz na myśli? - Policzki Grye'a zdrząły - Na przykład, co zrobicie, kiedy polecicie na tej kupie żelaza, do samego Rdzenia i przekonacie się, że tej trasy nie ma w waszych tablicach liczbowych? W krytycznym momencie będziecie mieli najwyżej parę minut na reakcję. Jak postąpicie?

Odwróćcie się plecami i narysujecie nowe linie na papierze? Tak?

- Ty za to jesteś fachowcem, prawda? - prychnęła Sheen.

- Doceniasz moją wartość, kochanie. - Quid uśmiechnął się. - Posłuchaj mnie.

Tych orbit jest więcej niż na wszystkich świstkach papieru, jakie istnieją w Mgławicy.

- Bzdury - parsknęła Sheen.

- Tak? Twój mały przyjaciel Rees tak nie uważa, prawda?

- Quid potrząsnął włócznią. Sheen nie spuszczała z niej wzroku. - No, ale Rees - ciągnął Kościej - widział, czego potrafimy dokonać za pomocą takich dzid... - Obrócił się gwałtownie twarzą w stronę jądra gwiazdy i ze zdumiewającym wdziękiem cisnął włócznię.

Broń dostała przyśpieszenia przy pięciu g studni grawitacyjnej jądra. Poruszała się tak szybko, że Sheen widziała tylko smugę. Przeleciała zaledwie metr za linią horyzontu i skręciła za

gwiazdą, a po chwili wynurzyła się z drugiej strony jądra i pomknęła ku Sheen.

Sheen schyliła się i chwyciła Grye'a za ramię, ale włócznia przeleciała nad jej głową i poszybowała w powietrze. - Nie całkiem udany rzut. - Quid westchnął. - Stary Quid musi lepiej celować, ale mimo wszystko - mrugnął - jak na pierwszą próbę, chyba nie było źle? - Szturchnął Grye'a w brzuch. - Oto, co nazywam dynamiką orbitalną! I stary Quid ma to wszystko w głowie. Zdumiewające, nieprawdaż? Właśnie dlatego potrzebujecie Kościejów.

No dobrze, Quid musi się napić. Zobaczymy się później, kochanie. - Odepchnął Sheen z Grye'em i udał się do baru.

Gord odgarnął z oczu przerzedzone jasne włosy i uderzył w stół.

- To się nie uda. Do diabła, wiem, o czym mówię.

- A ja ci mówię, że się mylisz. - Jaen pochyliła się nad inżynierem.

- Dziecino, nigdy nie zdołasz uzyskać takiego doświadczenia jak moje...

- Doświadczenia? - Wybuchnęła śmiechem. - Twoje doświadczenie z Kościejami rozmiękczyło ci mózg!

- Ach, ty... - Gord poderwał się z miejsca.

- Przestańcie, przestańcie. - Znużony Hollerbach położył na stole pokryte ciemnymi plamkami ręce.

- Ale on nie chce słuchać. - Jaen zapieniła się ze złości.

- Zamknij się, Jaen.

- Ale... a niech to - ustąpiła.

Hollerbach powiódł wzrokiem po chłodnym, doskonale wykończonym wnętrzu obserwatorium na mostku. Podłogę pokrywały tablice i szerokie diagramy. Uczony i jego rozmówcy debatowali nad szkicami dróg orbitalnych, modelami ochronnych powłok, które miano wybudować wokół Tratwy, tabelami zawierającymi racje żywnościowe i stopień zużycia tlenu w zależności od narzucanych ograniczeń. Dyskusja była ożywiona i gorączkowa. Hollerbach z melancholią przypomniał sobie, jaki panował tu spokój, gdy przyjmowano go do wielkiej klasy uczonych. W owych czasach na niebie można było jeszcze dostrzec odrobinę błękitu, a pracy badawczej nie ograniczał żaden określony czas.

Pocieszał się, że obecny pośpiech przynajmniej jest właściwie ukierunkowany i wywołuje pożądane rezultaty. Dzięki tablicom i wykresom powoli wyłaniał się obraz zmodyfikowanej Tratwy, śmiało leżącej po trajektorii wokół Rdzenia. Poważni naukowcy i asystenci wspólnie

zajmowali się realizacją najbardziej ambitnego projektu ludzkości od czasu budowy Tratwy.

W czasie tych rozmyślań do pomieszczenia wszedł Gord i oprócz upstrzonych notatkami kawałków papieru przyniósł druzgocące wieści.

Gord i Jaen wciąż się spierali. Hollerbach napotkał wzrok Deckera. Przywódca Tratwy stał przy stole z kamienną, skupioną twarzą. Hollerbach cicho westchnął. Zaufaj Deckerowi, pomyślał. Instynktownie odróżnia to, co istotne, a więc poradzi sobie w kryzysowej sytuacji.

- Proszę, omówmy wszystko jeszcze raz, inżynierze - powiedział do Gorda. - Tym razem, Jaen, postaraj się zachowywać racjonalnie. Dobrze? Obelgi nikomu nie pomogą.

Jaen rzuciła uczonemu gniewne spojrzenie. Jej pulchna twarz spurpurowiała.

- Naukowcu, jestem, byłem, naczelnym inżynierem Pasa - zaczął Gord. - O zachowaniu się metali w ekstremalnych warunkach wiem więcej, niż bym chciał pamiętać.

Widziałem już metale wypływające niczym plastikowa substancja, kruche niczym stare drewno...

- Nikt nie podaje w wątpliwość twoich kompetencji, Gord - przerwał mu Hollerbach, nie mogąc opanować irytacji. - Przystąp do rzeczy.

- Badałem siły pływowe, jakim będzie podlegała Tratwa podczas zbliżania się do Rdzenia. - Gord zabębnił palcami po papierach. - Ponadto oszacowałem prędkości, jakie musiałyby osiągnąć po katapultowaniu się, aby opuścić Mgławicę. Mogę ci powiedzieć, Hollerbach, że wasze szanse są bliskie zeru. Tutaj macie wszystkie wyliczenia, możecie je sprawdzić.

- Sprawdzimy, sprawdzimy. Teraz wyjaśnij to ogólnie. - Hollerbach machnął ręką.

- Przede wszystkim wspomniane siły pływowe rozerwą Tratwę na kawałki, zanim nawet zdążycie dokądkolwiek się zbliżyć, a wymyślne konstrukcje, które wasze bystre dzieciaki planują wznieść na pokładzie, po prostu zostaną zdmuchnięte jak stos gałązek.

- Nie zgadzam się z tym, Gord - wybuchnęła Jaen. - Jeśli na nowo skonfigurujemy Tratwę, umocnimy niektóre jej części, zadbamy o odpowiednie ustawienie statku, gdy znajdziemy się najbliżej Rdzenia...

Gord odwzajemnił gniewne spojrzenie dziewczyny, lecz nic nie odrzekł.

- Sprawdzisz jego wyliczenia później, Jaen - powiedział Hollerbach. - Mów dalej, inżynierze.

- Poza tym, co z oporem powietrza? Przy wymaganych prędkościach, w miejscu gdzie

powietrze jest najgęstsze w całej Mgławicy, każde pojawiające się tam ciało po prostu spłonie jak meteor. Doczekacie się co najwyżej widowiskowego pokazu fajerwerków. Przykro mi, że to wszystko jest takie rozczarowujące, ale wasz plan najzwyczajniej w świecie nie może się powieść. Nie muszę wam tego mówić, wystarczy wziąć pod uwagę prawa fizyki...

- Górniku - Decker pochylił się - jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to być może jednak będziemy skazani na powolną śmierć w tym parszywym miejscu. Hm, może słabo się znam na ludziach, ale coś mi się zdaje, że ta perspektywa specjalnie cię nie przeraża. Masz inne propozycje?

- No cóż, tak się składa... - Na twarzy Gorda zakwitł uśmiech.

- Dlaczego, u diabła, od razu nam o tym nie wspomniałeś? - Hollerbach oparł się o krzesło.

- Gdyby ktoś z was raczył zapytać... - Gord uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Dość już tych słownych gier - oznajmił Decker ze spokojem. Położył wielką łapę na stole. - Gadaj, co wiesz.

Gord przestał się uśmiechać. Przez twarz przemknął mu cień strachu.

Hollerbachowi zrobiło się przykro na myśl, ile musiał wycierpieć ten niewinny człowiek.

- Nikt ci nie grozi - uspokoił Gorda. - Po prostu przedstaw nam swoją teorię.

Gord wydał się bardziej pewny siebie. Wstał i jako pierwszy opuścił mostek.

Wkrótce wszyscy czworo, Gord, Hollerbach, Decker i Jaen, stanęli obok słabo oświetlonej nadbudówki. Ciepło bijące od gwiazdy sprawiło, że na łysinie Hollerbacha pojawiły się kropelki potu. Gord pogładził ścianę mostka.

- Kiedy po raz ostatni go dotykaliście? Codziennie przechodzicie obok mostka i nie zwracacie na niego uwagi, ale kiedy zbliżycie się do niego z oczyszczonym umysłem, może się okazać prawdziwym objawieniem.

- Nie ma tarcia. Tak. Jasne. - Hollerbach przyłożył dłoń do srebrzystej, gładkiej powierzchni.

- Twierdzicie, że kiedyś był to samodzielny statek, a dopiero później stał się częścią pokładu Tratwy - ciągnął Gord.

- Zgadza się z wami. Powiem więcej: uważam, że ten stateczek zaprojektowano z myślą o lotach.

- Nie ma tarcia - powtórzył zadyszczanym głosem Hollerbach. Wciąż pocierał dłonią metal.

- Oczywiście, jak mogliśmy być tacy głupi? Widzisz - powiedział Deckerowi - ta powierzchnia jest tak gładka, że powietrze po prostu ześlizguje się po niej bez względu na prędkość rozwijaną przez statek. Nie ma mowy o nagrzewaniu się, tak jak w przypadku zwykłego metalu. Bez wątplenia ta konstrukcja jest wystarczająco mocna, żeby wytrzymać siły pływowe w pobliżu Rdzenia. W każdym razie zniesie je o wiele lepiej niż nasza zdezelowana Tratwa. Oczywiście, będziemy musieli sprawdzić wyliczenia Gorda, Decker, ale myślę, że okażą się prawidłowe. Czy rozumiesz, co to oznacza? - Wydawało się, że sędziwy Hollerbach doznaje olśnienia. - Nie będziemy musieli budować żelaznej osłony dla utrzymania powietrza. Po prostu możemy zamknąć właz mostka. Polecimy statkiem w taki sposób, w jaki zrobili to nasi przodkowie. Możemy nawet wykorzystać przyrządy, żeby zbadać Rdzeń w trakcie lotu. Jedna brama się zamknęła, ale otworzyła się druga, rozumiesz, Decker?

- Och, rozumiem, Hollerbach, ale przegapiłeś jeszcze jedną kwestię - powiedział ponuro Decker.

- Co takiego?

- Tratwa ma osiemset metrów szerokości. Mostek liczy sobie najwyżej sto metrów.

Hollerbach zmarszczył czoło. Uświadomił sobie, jakie konsekwencje niesie ze sobą uwaga Deckera. - Znajdź Reesa - rzucił Decker. - Spotkam się z wami w gabinecie za piętnaście minut. - Kiwnął głową i wyszedł.

Atmosfera w gabinecie Hollerbacha wydała się Reesowi bardzo napięta.

- Zamknij drzwi - mruknął Decker.

Rees usiadł przy biurku Hollerbacha. Hollerbach siedział po drugiej stronie i naciągał palcami zwiotczałą skórę rąk. Decker oddychał ciężko i ze spuszczonego wzrokiem krążył po pomieszczeniu.

- Dlaczego taka pogrzebowa atmosfera? Co się stało? - Rees nachmurzył się.

- Sprawa się komplikuje. - Hollerbach pochylił się do przodu i przedstawił w ogólnych zarysach spostrzeżenia Gorda. - Oczywiście, musimy sprawdzić jego wyliczenia, ale...

- Ale on ma rację - przerwał Rees. - Wiesz, że tak jest, prawda?

- Oczywiście, że ma rację. - Hollerbach westchnął. Powietrze drapało go w gardle. - Gdybyśmy nie dali się zwieść spekulacjom na temat grawitacyjnej katapulty i szerokiej na półtora kilometra kopuły, zadalibyśmy te same pytania i doszlibyśmy do podobnych wniosków. - Rees skinął głową.

- Jeśli użyjemy mostka, będziemy się zmagali z nieprzewidzianymi problemami.

Sądziliśmy, że można uratować wszystkich. - Nerwowo zerknął na Deckera. - Teraz musimy wybierać.

- I dlatego zwracacie się do mnie. - Decker poczerwieniał z gniewu.

- Decker, jeśli zdołamy odlecieć, ci, którzy zostaną, będą żyli jeszcze setki, tysiące szycht.

- Rees potarł nos.

- Mam nadzieję, że porzuceni przez wasz wspaniały statek podejda do tej kwestii z równie filozoficznym spokojem. - Decker splunął. - Uczeni. Powiedzcie mi jedną rzecz, czy to przedsięwzięcie się uda? Czy pasażerowie mostka naprawdę mogą przeżyć krążenie wokół Rdzenia i podróż w kosmosie do nowej mgławicy? Przecież plan, który rozważamy, bardzo się różni od pierwotnego zamysłu Reesa.

Rees powoli kiwnął głową.

- Będziemy potrzebowali maszyn dostawczych, maksymalnie dużej ilości sprężonego powietrza, tyle, ile się zmieści we wnętrzu mostka, być może roślin, które przekształcałyby nieświeże powietrze w...

- Oszczędź mi szczegółów - warknął Decker. - Ten absurdalny projekt wiąże się z potworną harówką, obrażeniami i wypadkami śmiertelnymi i bez wątpienia odlatujący mostek zabierze najlepsze mózgi, jeszcze bardziej pogarszając los tych, którzy zostaną.

Postawię sprawę jasno: jeśli ta misja nie ma realnych szans powodzenia, nie poprę jej.

Nie chcę skracać życia ludzi, za których ponoszę odpowiedzialność, tylko po to, żeby kilku bohaterów mogło odbyć turystyczną wycieczkę.

- Wiesz - odparł w zamyśleniu Hollerbach - wątpię, czy przewidziałeś podejmowanie tak trudnych decyzji, kiedy, hm, przejąłeś władzę.

- Czy ty szydzisz ze mnie, naukowcu? - Decker spojrzał na niego podejrzliwie.

- Nie. - Hollerbach zamknął oczy.

- Przemysłmy to - zasugerował Rees. - Hollerbach, musimy przetransportować wystarczająco dużą pulę genetyczną, aby gatunek mógł przetrwać. Ilu ludzi?

- Czterystu, może pięciuset. - Hollerbach wzruszył ramionami.

- Czy pomieścimy aż tylu?

Hollerbach zwlekał z odpowiedzią.

- Tak - wyrzekł powoli. - Wymagałoby to bardzo ścisłego nadzoru, ostrożnego

planowania, racjonowania... To nie będzie beztraska wycieczka.

- Genetyczna pula? - jęknął Decker. - Wasi pasażerowie będą się czuli w nowym świecie jak bezradne, pozbawione środków do życia niemowlęta. Zanim zdążą się rozmnożyć, będą musieli znaleźć sposób na to, by nie przyciągnął ich Rdzeń nowej mgławicy.

- Tak. - Rees skinął głową. - Podobne problemy miała Załoga pierwszego Statku.

Nasi emigranci zostaną wyposażeni skromniej, ale przynajmniej będą wiedzieli, czego mogą się spodziewać.

- Twierdzisz więc, że misja może się zakończyć sukcesem, a nowa kolonia zdoła przetrwać? Zgadzasz się, Hollerbach? - Decker zacisnął pięść.

- Tak - odparł spokojnie stary uczonec. - Musimy opracować szczegóły, ale już teraz odpowiedź brzmi pozytywnie. Masz moje zapewnienie.

- W porządku. - Decker zamknął oczy i mocno się zgarbił. - Kontynuujemy nasz plan.

Tym razem powinniśmy przewidzieć wszelkie problemy.

Rees poczuł ogromną ulgę. Gdyby Decker postanowił inaczej, gdyby uniemożliwił realizację wielkiego celu, w jakim nastroju on sam, Rees, spędziłby resztę życia? Nie umiał sobie wyobrazić tak trudnej sytuacji.

- Teraz czekają nas dalsze zadania - powiedział Hollerbach. Wyciągnął chudą jak szkielet rękę i zaczął liczyć na palcach. - Oczywiście, musimy nadal ustalać szczegóły dotyczące samej misji, ekwipunku, odczepienia mostka i sterowania nim. Jeśli chodzi o tych, którzy zostaną, musimy przenieść Tratwę. - Decker sprawiał wrażenie zdziwionego. - Decker, gwiazda w górze nie odleci. Usunęliśmy się spod niej dawno temu, w normalnych warunkach. Teraz gdy założyliśmy, że Tratwa pozostanie w Mgławicy, musimy zmienić jej położenie. I wreszcie... - głos Hollerbacha zamarł.

- I wreszcie - dokończył gorzko Decker - musimy pomyśleć, w jaki sposób należy wyselekcjonować tych, którzy polecą mostkiem i tych, którzy się nie zabiorą.

- Uczciwie byłoby przeprowadzić coś w rodzaju tajnego głosowania.

- Nie. - Decker potrząsnął głową. - Ten lot może się udać tylko pod warunkiem zabrania odpowiednich ludzi.

- Masz rację - przytaknął Hollerbach.

- Mnie się też tak wydaje. - Rees zmarszczył czoło. - Kto jednak wybierze odpowiednią załogę?

- A jak myślisz? - Decker rzucił mu groźne spojrzenie. Blizny na twarzy pogłębiły się, zastygając w masce bólu.

Rees kołysał w dłoni czarękę.

- A więc to już wszystko - odezwał się do Pal lisa. - Teraz Decker musi podjąć najważniejszą decyzję w życiu.

- Zdaje się, że posiadanie władzy wymaga większej odpowiedzialności. - Pallis stał przed klatką z młodymi drzewami i dotykał drewnianych prętów. Pomyślał, że niektóre z tych drzew były już wystarczająco dojrzałe, by je wypuścić. - Nie jestem pewien, czy Decker to rozumiał, gdy stawał na czole tego śmiesznego Komitetu, ale bez wątpienia rozumie to teraz...

Decker podejmie właściwą decyzję. Miejmy nadzieję, że reszta postąpi tak samo.

- Kogo masz na myśli, mówiąc „reszta”?

Pallis podniósł klatkę i podał ją Reesowi. Była duża, ale niezbyt ciężka. Rees odstawił czarękę i z wahaniem przyjął klatkę, przyglądając się młodym drzewom.

- Powinniście ją zabrać w podróż - powiedział Pallis. - Może należałoby zabrać więcej tych drzewek. Puścić je w nowej mgławicy, pozwolić, aby się rozmnożyły. Dzięki temu za kilkaset szycht utworzą się całe lasy. Chyba że już istnieją w tym nowym miejscu.

- Dlaczego mi to dajesz? Nic nie rozumiem, pilocie.

- Ale ja rozumiem.

Pallis gwałtownie się obrócił. Reesowi zapało dech w piersiach. Był tak wstrząśnięty, że machinalnie podrzucił klatkę.

W drzwiach stała Sheen. W świetle gwiazdnych promieni na jej nagich ramionach było widać delikatny meszek.

Pallisowi zrobiło się gorąco ze wstydu. Poczul, że się czerwieni. Widząc jaw swojej kabinie, miał wrażenie, iż jest niezdarnym sztubakiem.

- Nie spodziewałem się ciebie - wydusił.

- Widzę. - Sheen roześmiała się. - No, mam tu tak stać? Nie dostanę nic do picia?

- Ależ oczywiście...

Sheen wygodnie rozsiadła się na podłodze i skrzyżowała nogi. Kiwnęła głową Reesowi.

Rees spoglądał to na Pallisa, to na Sheen. Czerwienił się coraz mocniej. Pallis był zaskoczony. Czyżby Rees darzył jakimś uczuciem swoją dawną przełożoną... nawet pomimo

tego, jak został potraktowany podczas wygnania na Pas?

- Jeszcze z tobą pogadam, Pallis... - Rees wstał i zaczął niezgrabnie manipulować przy klatce.

- Nie musisz iść - szybko powiedział pilot.

W oczach Sheen zatliły się isierki rozbawienia. Rees obrzucił tych dwoje badawczym spojrzeniem.

- Myślę, że tak będzie chyba najlepiej - rzucił. Wymruczał coś na pożegnanie i wyszedł.

- A więc kocha się w tobie bez wzajemności. - Pallis wręczył Sheen czarę z napojem.

- Młodzieńcza żądza - bąknęła.

- Potrafię to zrozumieć. - Uśmiechnął się Pallis. - Rees nie jest jednak młodzieniaszkiem.

- Wiem. Jest zdeterminowany i pcha nas wszystkich naprzód. Zbawia świat, ale potrafi się też zachować jak skończony idiota.

- Myślę, że jest zazdrosny...

- Czyżby miał ku temu jakieś powody, pilocie? - Zamiast odpowiedzi Pallis wyrócił oczami. - A zatem - dodała szybko - nie wyruszasz w podróż mostkiem. Taką wymowę miał twój podarunek dla Reesa, prawda?

- Nie zostało mi zbyt wiele życia - powiedział powoli. Odwrócił się w stronę klatki. - Z mojego miejsca w mostku powinien skorzystać ktoś młody.

- Zaproszą cię do odbycia podróży tylko wówczas, gdy uznają, że będziesz im potrzebny.

- Wyciągnęła rękę i dotknęła kolana mężczyzny. Gest podziałał na niego elektryzująco.

- Sheen, zanim te skoczki w klatce dorosną, moje zeszywniałe zwłoki zdążą już się znaleźć w przestrzeni, ciśnięte za Krawędź. Poza tym na cóż mogę się przydać bez drzewa? - Wskazał w kierunku wirującego lasu, który skrywał dach kabiny. - Moje życie to ten las w górze. Kiedy odleci mostek, Tratwa nadal tu będzie, i to przez długi czas.

Ludzie z pewnością będą potrzebowali drzew.

- No cóż, rozumiem cię, chociaż nie mogę się z tobą zgodzić. - Popatrzyła na Pallisa jasnymi oczami. - Sądzę, że moglibyśmy o tym podyskutować, kiedy odleci mostek.

- O czym ty mówisz? Chyba nie zamierzasz zostać? Sheen, zwariowałaś... - Z wrażenia zaparło mu dech w piersiach. Wziął kobietę za rękę.

- Pilocie drzewa - odrzekła - nie obrażałam cię w związku z twoją decyzją. - Nie wyjmowała dłoni. - Tak jak mówiłeś, Tratwa będzie się tu znajdowała jeszcze przez długi czas.

Podobnie ma się rzecz z Pasem. Kiedy mostek się stąd oddali, odbierając nam całą nadzieję, zrobi się tu ponuro, ale ktoś będzie musiał dbać o to, żeby życie toczyło się dalej.

Nadal potrzeba kogoś do ogłaszania kolejnych szycht. Podobnie jak ty, zdecydowałam, że nie chcę porzucać swojego trybu życia.

- Hm, nie powiem, że się zgadzam. - Pokręcił głową.

- Pilocie - zaczęła ostrzegawczo Sheen.

- Szanuję jednak twoją decyzję i... - poczuł, że twarz znowu zalewa mu fala ciepła - i cieszę się, że będziesz tu.

- Co próbujesz powiedzieć, pilocie? - Uśmiechnęła się i przysunęła twarz.

- Może moglibyśmy dotrzymać sobie towarzystwa.

- Tak, to całkiem możliwe. - Chwyciła kosmyk brody Pallisa i delikatnie pociągnęła.

ROZDZIAŁ 14

Rusztowanie zasłaniało zarysy mostka. Członkowie załogi wdrapywali się na nie, żeby przymocować dysze do kadłuba. Rees obchodził wraz z Hollerbachem i Grye'em teren robót. Przyglądał się budowie krytycznym okiem.

- Do diabła, pracujemy zbyt wolno.

- Rees, muszę powiedzieć, że twój szczegółowy plan ma liczne braki. - Grye splótł ręce. - Chodź - przywołał Reesa gestem - pokażę ci, jak daleko się posunęliśmy.

- Klepnął pulchną dłonią drewnianą klatkę otaczającą mostek. Było to prostokątne pudło, przytwierdzone do pokładu i wspierające trzy szerokie pierścienie, które okrywały mostek. - Tutaj nie możemy ryzykować - powiedział Grye. - Ostatnia faza startu będzie polegała na odcięciu mostka od pokładu. Kiedy to zrobimy, jedyną podporą mostka będzie rusztowanie.

Najmniejszy błąd mógłby wywołać katastrofalne...

- Wiem, wiem - przerwał poirytowany Rees. - Problem polega na tym, że mamy coraz mniej czasu.

Podeszli do otwartego włazu. Pod kontrolą Jaen i drugiego uczonego dwóch mocno zbudowanych robotników wynosiło jakiś przyrząd z obserwatorium. Rees rozpoznał spektrometr, instrument był wyszczerbiony i porysowany, a jego przewód zasilający kończył się stopionym kikutem. Spektrometr został położony wraz z kilkunastoma innymi przyrządami kilka metrów od mostka i zwracał swoje niesprawne czujniki ku niebu.

- Właśnie ten problem budzi wątpliwości - powiedział zdenerwowanym głosem. - Musimy rozstrzygnąć straszliwy dylemat. Każdy zniszczony i wyniesiony instrument daje nam więcej miejsca na podłodze i powietrze dla czterech, pięciu osób, ale czy możemy sobie pozwolić na zostawienie teleskopu albo spektrometru? Czy takie urządzenia są luksusem?

Zważywszy, iż znajdziemy się w nieznanym środowisku, nie powinniśmy w nim błędzić jak ślepcy.

Rees stłumił westchnienie. Niepewność, opóźnienia, niejasności, kolejne zwłoki...

Najwyraźniej naukowcy nie potrafili w ciągu kilku godzin przerodzić się w ludzi czynu. Rees rozumiał dylematy, z którymi się zmagali, ale pragnął, żeby wreszcie wyznaczyli sobie główne cele i konsekwentnie je realizowali.

Zbliżył się do grupki uczonych, którzy ostrożnie przyglądali się dystrybutorowi żywności.

Wyloty potężnej maszyny przypominały milczące pyski. Rees wiedział, że jest zbyt duża, by móc ją wnieść do wnętrza mostka. Podobnie jak drugi dystrybutor trzeba było ją umieścić tuż przy władze, w zewnętrznym korytarzu, co wydawało się trochę nielogiczne.

Zarówno Grye, jak i Hollerbach mieli ochotę coś powiedzieć, ale Rees podniósł rękę.

- Nie - rzekł. - Pozwólcie, że szczegółowo wyjaśnię powody, dla których ta właśnie procedura nie powinna być przeprowadzona zbyt szybko. Obliczyliśmy, że jeśli podczas lotu będziemy wydzielać żywność, dwa dystrybutory zaspokoją nasze potrzeby.

Odkryliśmy nawet, że ta maszyna ma wbudowany system filtrowania i nasycania powietrza tlenem.

- Tak - przerwał zapalczywie Grye - ale te rachuby opierają się na założeniu, że maszyny będą pracowały z maksymalną wydajnością wewnątrz mostka. Nie wiemy o ich zasilaniu wystarczająco dużo, żeby mieć pewność. Źródło zasilania jest wmontowane w maszynę, w przeciwieństwie do przyrządów mostka, które były połączone kablami w jedną część i nawet podejrzewamy, na podstawie starych podręczników, że tworzy go mikroskopijna czarna dziura, lecz nie jesteśmy tego pewni. Ale jeśli do odnowienia zapasów energii potrzebne byłoby światło gwiazd? A jeśli ów zasilacz wytwarza dużo szkodliwego gazu, od którego w ciasnym mostku wszyscy się podusimy?

- Zgadzam się, że musimy przeprowadzić badania i zyskać pewność. Jeśli sprawność maszyny pogorszy się zaledwie o dziesięć procent, musielibyśmy zostawić kolejnych pięćdziesięciu ludzi.

- Sam więc widzisz... - Grye pokiwał głową.

- Tak, rozumiem, że te decyzje wymagają czasu, ale my przecież nie mamy czasu, do diabła. - Rees czuł narastające napięcie. Wiedział, że nie zdoła się od niego uwolnić, dopóki nie nastąpi start mostka.

Idąc z Grye'em, natknął się na Gorda. Inżynier kopalni i Nead, który pracował jako jego pomocnik, nieśli dyszę. Gord energicznie kiwnął głową.

- Panowie. - Rees spojrzał na filigranowego inżyniera i na chwilę zapomniał o swoich troskach. Gord był taki jak za dawnych czasów, sprawny, zaaferowany, nieco drażliwy.

Trudno było w nim rozpoznać gasnącego człowieka, którego Rees zastał na planecie Kościejów.

- Dobrze ci idzie, Gord.

- Robimy postępy - odparł Gord lekkim tonem. - Nic więcej nie powiem, ale naprawdę robimy postępy. - Podrapał się po łysinie.

- A jak wygląda problem układu sterowniczego? - Hollerbach pochylił się naprzód, trzymając ręce za plecami.

- Czy znasz aktualną sytuację, Rees? Żeby pokierować spadaniem mostka, zmienić jego orbitę, potrzebujemy jakiegoś sposobu kontrolowania dysz przymocowanych do kadłuba.

Nie chcemy jednak robić żadnych otworów w kadłubie, przez które przechodziłyby kable sterujące. Jeśli mam wyrażać się ściśle, nawet nie wiemy, czy bylibyśmy w stanie zrobić te otwory. Wygląda na to, że możemy wykorzystać komponenty z rozmontowanych kretów.

Część ich jednostek napędowych działa na zasadzie zdalnego sterowania. Jestem zwykłym inżynierem, może wy zrozumiecie wszystkie szczegóły. Z grubsza chodzi o to, że chyba będziemy mogli kierować dyszami za pomocą szeregu przełączników, które nie muszą być z nimi w fizycznym kontakcie. Właśnie zamierzamy przeprowadzić testy, w jakim stopniu powierzchnia kadłuba blokuje sygnały.

- Jestem pod wrażeniem. - Hollerbach uśmiechnął się. - Czy to był twój pomysł?

- Ach... - Gord podrapał się w brodę. - Trochę pomagał nam mózg Kreta. Kiedy zadasz odpowiednie pytanie i uporasz się z jego skargami na temat „poważnej awarii czujnika pomiarowego”, zdumiewa cię łatwość, z jaką... - Gord nie dokończył zdania i szeroko otworzył oczy.

- Rees. - Naukowiec usłyszał za swoimi plecami donośny głos i zdrętwiał. - Spodziewałem się, że cię tu znajdę.

Rees stanął twarzą w twarz z Rochem. Górnik miał zaczerwienione oczy, jak zwykle, gdy zaczynał wpadać w szał. Mężczyzna otwierał i zaciskał pięści niczym kłapy fortepianu.

Grye chyłkiem wślizgnął się za plecy Hollerbacha.

- Roch, mam robotę do wykonania - łagodnie rzekł Rees. - Ty też masz robotę.

Proponuję, żebyś się nią zajął.

- Robotą? - Roch wyduł brudne wargi i pomachał pięścią w kierunku mostka. - Nawet palcem nie kiwnę, żebyś ty i twoi syfilityczni przyjaciele mogli odlecieć tym dziwolągiem.

- Proszę pana - odparł z powagą Hollerbach - lista pasażerów jeszcze nie została opublikowana i dopóki to się nie stanie, wszystko zależy od nas...

- Nie musi być publikowana. Wszyscy wiemy, kto weźmie udział w wyprawie. Z

pewnością nie będą to tacy ludzie jak ja. Rees, wtedy w kopalni powinienem był rozwalić ci łeb.
 - Roch wyciągnął palec. - Ja wrócę - warknął - i jeśli dowiem się, że nie ma mnie na tej liście, osobiście dopilnuję, abyście i wy się tam nie znaleźli. - Szturchnął palcem Grye'a.

- To samo dotyczy ciebie!

Grye zrobił się biały jak prześcieradło.

Roch odszedł dumnym krokiem. Gord podniósł dyszę i powiedział ironicznie:

- Dobrze wiedzieć, że w tych niespokojnych czasach niektóre rzeczy nie podlegają żadnym zmianom. No, chodźmy to zamontować, Nead.

Rees spojrział na Hollerbacha i Grye'a.

- Właśnie z tego względu mamy coraz mniej czasu. - Wskazał odchodzącego Rocha. - Sytuacja polityczna na Tracie, nie, do diabła, sytuacja ludzi, szybko się pogarsza. Brakuje stabilności. Wszyscy wiedzą, że powstaje jakaś „lista”, i większość ludzi ma całkiem jasne wyobrażenie, kto się na niej znajdzie. Jak długo możemy oczekiwać, że będą pracowali na rzecz wyprawy, w której weźmie udział tylko część z nich? Drugi bunt byłby katastrofą.

Powstałaby anarchia.

Hollerbach westchnął i nagle się zachwiał. Grye chwycił go za ramię.

- Główny naukowiec, nic ci nie jest?

- Widzisz, jestem zmęczony... straszliwie zmęczony. - Hollerbach utkwiał kaprawe oczy w Reesie. - Oczywiście, masz rację, Rees, ale cóż nam pozostało? Możemy jedynie starać się ze wszystkich sił, żeby osiągnąć nasz cel.

Nagle Rees uświadomił sobie, że niczym wieczne dziecko spycha swoje wątpliwości na słabnące barki Hollerbacha, który przecież osiągnął sędziwy wiek.

- Przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był cię obciążać...

- Nie, nie, masz zupełną rację. - Hollerbach machnął drżącą ręką. - W pewnym sensie to pomaga rozjaśnić mój umysł. - W oczach starca błysnęły iskierki lekkiego rozbawienia. - Nawet twój przyjaciel Roch, na swój sposób, jest pomocny. Porównaj nas obu. Roch jest młody, silny, a ja postarzałem się tak bardzo, że ledwo stoję, i może jeszcze miałbym przekazywać swoje wady nowej generacji? Który z nas powinien wziąć udział w wyprawie?

- Hollerbach, potrzebujemy twojej wiedzy. Chyba nie sugerujesz...? - Rees był przerażony.

- Rees, sądzę, że popełniliśmy poważny błąd, jeśli chodzi o nasz sposób życia tutaj.

Nie chcieliśmy zaakceptować swojego miejsca we wszechświecie. Zamieszkujemy świat, w którym najbardziej liczy się siła fizyczna i wytrzymałość, co tak dobrze demonstruje Roch, a także giętkość, refleks i umiejętność przystosowywania się do nowych warunków, cechy charakterystyczne dla Kościejów, a nie wiedza. Jesteśmy tylko niezdarnymi zwierzętami zagubionymi w otchłaniach nieba, ale odziedziczenie przestarzałych gadżetów Statku, maszyn dostawczych i całej reszty, pozwoliło nam ludzić się, że jesteśmy panami tego świata, tak jak, być może, byliśmy nimi w świecie, z którego pochodzi człowiek. Z powodu tej przymusowej emigracji konieczne będzie porzucenie większości naszych ukochanych zabawek, a wraz z nimi naszych mrzonek. - Hollerbach spojrzął gdzieś w dal. - Kto wie, może w przyszłości nasze duże mózgi ulegną atrofii i staną się bezużyteczne, może będziemy tacy sami jak wieloryby i niebiańskie wilki, starając się przetrwać wśród latających drzew.

- Hollerbach, na starość robi się z ciebie marudny gość. - Rees prychnął.

- Chłopcze, kiedy ja zmagalem się ze swoją starością, ty jeszcze gryzłeś żelazo w jądrze gwiazdy. - Hollerbach uniósł brwi.

- No cóż, nie mam pojęcia, jak będzie wyglądała odległa przyszłość. Pod tym względem jestem całkowicie bezradny. Mogę tylko rozwiązywać aktualne problemy. I szczerze mówiąc, Hollerbach, uważam, iż nie mamy szansy przetrwania tej podróży bez twoich wskazówek. Panowie, mamy mnóstwo roboty. Proponuję, żebyśmy pracowali dalej.

Talerz wisiał nad Tratwą. Pallis podczołgał się do jego brzegu i zerknął na krajobraz po bitwie.

Dym zasnuwał pokład jak maski, zakrywające dobrze znane twarze.

Nagle talerz gwałtownie drgnął i Pallis przewrócił się na wznak. Wyciągnął rękę i chwycił się.

- Na kości, barmanie, nie potrafisz kontrolować tego draństwa?

- To jest prawdziwy statek - parsknął Jame. - Teraz nie zwisasz z jednej ze swoich drewnianych zabawek, pilocie.

- Nie wyzywaj losu, szcurze z kopalni. - Pallis wyrznął pięścią w nieobrobioną żelazną powierzchnię. - Po prostu ten sposób latania jest nienaturalny.

- Nienaturalny? - Jame wybuchnął śmiechem. - Może masz rację, a może spędzaliście za dużo czasu w waszych liściastych altankach, podczas gdy górnicy nadchodzili, żeby was osikać.

- Jame, wojna się skończyła - rzekł swobodnie Pallis. Zgarbił się i lekko zacisnął dłonie. -

Ale być może zostały jeszcze jakieś porachunki do załatwienia.

- O niczym innym nie marzę, ty drzewny wisielcu. - Barman uśmiechnął się wyczekująco.
- Podaj czas i miejsce oraz rodzaj broni.

- Och, bez broni.

- Całkowicie mi to odpowiada.

- Na kości, czy wy dwaj moglibyście się zamknąć? - Nead gniewnie zerknął na towarzyszy znad map i przyrządów. - Chyba pamiętacie, że mamy robotę.

Jame i Pallis zmierzli się wzrokiem. Jame znowu zajął się urządzeniami sterującymi statku. Pallis przeszedł po małym pokładzie i usiadł obok Neada.

- Przepraszam - burknął. - Jak idzie?

Nead przybliżył do oczu zniszczony sekstans i usiłował porównać odczyt z adnotacjami w ręcznie sporządzonej tabeli.

- Niech to cholera! - zaklął, najwyraźniej zrezygnowany. - Nie potrafię ustalić różnicy.

Po prostu nie posiadam należytych umiejętności, Pallis. Cipse by to wiedział.

Gdyby nie...

- Gdyby nie to, że od dawna nie żyje, wszystko byłoby w porządku - przerwał Pallis. -
Wiem. Po prostu staraj się, jak możesz. Co udało ci się ustalić?

- Sądzę, że to trwa zbyt długo. - Nead znowu przebiegł palcami po tabelach. - Próbuję zmierzyć boczną prędkość Tratwy w stosunku do gwiazd w tle i dochodzę do wniosku, że nie porusza się wystarczająco szybko.

Pallis zmarszczył brwi. Położył się na brzuchu i jeszcze raz popatrzył na Tratwę.

Potężny stary obiekt rozpościerał się pod nim jak taca z niesamowitymi zabawkami. Po chwili pilot ujrzał nad pokładem inne talerze, które od czasu do czasu wydzielały obłoczki pary.

Nieprzerwany parawan dymu zalegał nad jedną stroną Krawędzi, a ponadto każde z drzew, znajdującego się pośrodku lasu, również wytwarzało dymną zasłonę. Dym wywoływał pożądany efekt, liny drzew konsekwentnie odchylały się w prawo, gdyż latające rośliny próbowały umknąć przed cieniem wytwarzanego oparu. Pallis miał wrażenie, że słyszy skrzypienie lin ciągnących Tratwę. Wkrótce na pokładzie pojawiły się cienie lin - dowód, iż Tratwa rzeczywiście usuwa się spod gwiazdy. Ten widok podniósł Pallisa na duchu, w swoim długim życiu oglądał coś podobnego tylko dwa razy. Doszedł do wniosku, że współpraca, jaką udało się nawiązać po okresie rewolucji i wojny - i to w momencie, gdy najcięższe mózgi Tratwy

zajmowały się planem odłączenia mostka - może stanowić powód do dumy.

Być może właśnie konieczność przesunięcia Tratwy jednoczyła ludzi. Ten projekt dawał korzyści całej społeczności.

Powód do dumy - tak, ale należało się śpieszyć, jeśli plan miał przynieść rezultaty.

Spadająca gwiazda wciąż znajdowała się wysoko w górze i jej zderzenie z Tratwą był mało prawdopodobne, ale istniała groźba, że pod wpływem zbyt długo wywieranego ciśnienia wielkie rośliny zmęczą się, a wówczas nie tylko nie zdołałyby przeciągnąć Tratwy, lecz nawet mogłyby zupełnie utracić siły i narazić ją na niebezpieczeństwo.

Pallis przeklinał w duchu. Wysunął głowę za brzeg talerza, żeby się zorientować, na czym polega problem. Dymny parawan nad Krawędzią wydawał się dostatecznie gęsty, odległe gwiazdy rzucały długi cień na zaopatrzonych w maski robotników, pracujących u podnóża dymnej zasłony.

Wobec tego źródłem kłopotów musiały być uwiązane drzewa. Na każdym z nich znajdował się pilot wraz z pomocnikami, usiłujący wytworzyć własną zasłonę dymną.

Miniaturowe zapory stanowiły chyba najistotniejszy czynnik wpływający na manewry drzew.

Jednak nawet z dużej odległości Pallis dostrzegał, jak nieregularne i słabe są zasłony dymne.

Wyrznął pięścią w pokład statku. Do diabła! Czystki rewolucyjne, a potem choroby i głód zdziesiątkowały kadrę jego pilotów, podobnie jak inne warstwy społeczności Tratwy.

Przypomniawszy sobie, jak przemieszczano Tratwę dawniej: nie kończące się obliczenia, trwające całą szychtë odprawy, drzewa, które poruszały się niczym tryby precyzyjnej maszyny.

Teraz nie było czasu na tego rodzaju ceremonie. Niektórym nowym pilotom z trudem starczało umiejętności, by nie pospadać z drzew. Natomiast wytworzenie ściany bocznej należało do najtrudniejszych zadań. Przypominało rzeźbienie za pomocą dymu.

Pallis zauważył, że zasłona dymna jednej z grup drzew była bardzo nierównomierna.

Pokazał ją Jame'owi.

Barman obnażył zęby w uśmiechu i energicznie pociągnął liny sterujące.

Pallis usiłował ignorować jego wybuch śmiechu i cuchnącą parę. Starał się również nie snuć nostalgicznych wspomnień o flotyli drzew. Nead stojący w pobliżu, siarczyście zaklął, gdyż jego dokumentacja została zdmuchnięta niczym kupka liści. Talerz gwałtownie runął na

drzewa. Wyglądał jak niewyobrażanej wielkości skoczek. Pallis zrobił odruchowy unik. Gałęzie śmigły najwyżej metr od jego twarzy. Wreszcie mały statek zatrzymał się. Z tego miejsca dymne zapory wydawały się jeszcze bardziej rozrzedzone. Pallis z rozpaczą przyglądał się świeżo upieczonym pilotom, którzy machali kocami w kierunku smużek dymu.

- Hej, wy! - Przyłożył ręce do ust. Odwrócili się do niego. Jeden z pilotów wychylił się. - Napełnijcie misy paleniskowe! - wrzasnął rozwścieczony Pallis. - Wytwórzcie przyzwoitą ilość dymu. Tymi kocami możecie sobie machać do usranej śmierci!

Piloci przedostali się do mis paleniskowych i zaczęli podsycać małe płomienie.

Nead pociągnął Pallisa za rękaw.

- Pilocie, czy to, co się tam dzieje, jest normalne?

- Nie, do cholery, to z pewnością nie jest normalne - warknął Pallis. Patrzył na dwa spowite nieregularnymi obłokami dymu drzewa, które zbliżały się do siebie na oślep, a niedoświadczeni piloci robili błędy podczas sterowania. - Barmanie! Sprowadź nas w dół, i to szybko!

Pierwsze zderzenie drzew wydawało się niemal czułe. Szmer listowia towarzyszył delikatnemu pocałunkowi pękających gałązek. Potem nastąpiła pierwsza katastrofa:

dwie platformy szepiły się ze sobą i zadrgały. Załogi drzew patrzyły na siebie przerażone.

Drzewa wciąż się obracały. Po chwili część krawędzi oderwała się i w powietrze poleciał grad drewnianych szczap. Korzeń jednego z drzew odłamał gałąź „partnera”, czemu towarzyszył przeraźliwy, niemal zwierzęcy pisk. Drzewa z hałasem zderzały się ze sobą. Ich liście mocno drżały. Nad talerzami szybowwały drzazgi wielkości pięści.

Nead krzyknął i zasłonił głowę. Pallis nie odrywał wzroku od załóg ginących drzew.

- Złazcie stamtąd! Te cholerne drzewa się wykańczają. Spuśćcie liny na dół, może się uratujecie.

Piloci spoglądali w górę przerażeni i zdezorientowani. Pallis ciągle krzyczał, aż w końcu zsunęli się po linach na pokład.

Drzewa splotły się w śmiertelnym uścisku. Momenty pędu połączyły się, a pnie orbitowały wraz z listowiem i kikutami konarów. Potężne szczapy drewna wciąż z głośnym skrzypieniem odłamywały się od drzew. Pallis zobaczył, że misy paleniskowe wylatują w powietrze, i usiłował uwierzyć, że załogi przezornie wygasily w nich ogień.

Wkrótce z drzew pozostały tylko pnie, splecione powykręcanymi gałęziami. Liny kotwiczne odłączyły się, nasuwały skojarzenie z ramionami, które ktoś powyrywał z tułowia.

Uwolnione pnie obracały się z osobliwym wdziękiem, opadając w dół.

Po chwili uderzyły w pokład i rozpadły się na wiele części. Pallis dostrzegł biegnących ludzi. Próbowali się ratować przed gradem szczap, które przez kilka minut spadały jak wyszczerbione sztylety. Po katastrofie uciekinierzy podeszli do miejsca upadku drzew, depcząc po linach drzewnych jak po kończynach nieboszczyka.

- Nic tu po nas. Lećmy dalej. - Pallis dyskretnie dał znak Jame'owi.

Talerz wzbił się w górę i ponownie zaczął patrolować okolicę.

Przez kilka następnych godzin Pallis obserwował latający las. Pod koniec od ciągłego wołania bolało go gardło, a Jame miał czarną od dymu twarz i gniewnie pomrukiwał. Nead położył sekstans na kolanach i wygodnie się rozsiadł z zadowoloną miną.

- Teraz jest dobrze - powiedział. - Tak czy owak, myślę...

- O co chodzi? - dopytywał się Jame. - Czy Tratwa już wydostała się spod wpływu tej cholernej gwiazdy?

- Jeszcze nie, ale nabrała wystarczająco dużego rozpędu i nie potrzebuje dodatkowych bodźców od drzew. Za kilka godzin przesunie się w bezpieczne miejsce, z dala od drogi gwiazdy.

- Udało się więc. - Pallis położył się na siatce talerza i pociągnął tyk ze swojej czarki.

- Tratwa jeszcze będzie podlegała rozmaitym siłom. Kiedy gwiazda minie jej płaszczyznę, wywoła to kilka interesujących efektów pływowych.

- Tratwa już znosiła tego rodzaju rzeczy. - Pallis wzruszył ramionami.

- To musi być fantastyczny widok, Pallis.

- O, tak - zadumał się pilot. Przypomnił sobie, jak cienie lin na pokładzie wydłużały się. Kiedyś wreszcie obwód gwiazdnego dysku zetknie się z linią widnokregu, a jego światło omiecie pokład. Główna gwiazda znajdzie się za Krawędzią, zostanie po niej poświata, zwana przez uczonych koroną.

- Wobec tego jak często do tego dochodzi? - Jame zmrużył oczy i spojrzał na niebo. - Jak często Tratwa znajduje się na drodze spadającej gwiazdy?

- Niezbyt często. - Pallis wzruszył ramionami. - Raz lub dwa na pokolenie.

Wystarczająco często, skoro musieliśmy się nauczyć radzić z taką sytuacją.

- Potrzebni są jednak uczeni, tacy jak ten - Jame wskazał kciukiem Neda - żeby

opracować metodę działania.

- No tak, oczywiście. - W głosie Neada wyczuwało się rozbawienie. - Nie da się tego zrobić, śliniąc palec i wystawiając go na wiatr.

- Ale wielu uczonych zamierza odlecieć mostkiem.

- To prawda.

- Co się więc stanie, jeśli spadnie następna gwiazda? Jak uda się wówczas przemieścić Tratwę?

- Hm, z naszych wyliczeń wynika, że upłynie wiele tysięcy szycht, zanim następna gwiazda zagrozi Tratwie. - Nead beztrósco sęczył napój.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie Jame'a. - Pallis zmarszczył czoło.

- Ależ odpowiedziałem. - Na obojętnej twarzy młodzieńca odmalowało się zdziwienie.

- Widzisz, według naszych wyliczeń, do tego czasu Mgławica i tak nie będzie już funkcjonowała, więc problem ma charakter akademickich rozważań.

Pallis i Jame wymienili spojrzenia. Pilot znowu zaczął obserwować wirujący las pod statkiem, próbował się zatracić w kontemplowaniu tego pięknego widoku.

Podczas ostatniej szychty przed odlotem mostka Rees prawie w ogóle nie spał.

Gdzieś w oddali zadźwięczał dzwonek. Trzeba było wstawać. Rees dźwignął się z siennika, szybko umył i opuścił prowizoryczne schronienie. Odczuwał ogromną ulgę na myśl, że nadeszła pora decydujących posunięć.

Otoczony rusztowaniem mostek był areną gorączkowej krzątaniny. Znajdował się w środku ogrodzonego terenu o szerokości mniej więcej dwustu metrów. Obszar ten stał się czymś w rodzaju miniaturowego miasta. Dawna dzielnica oficerów służyła teraz jako tymczasowa noclegownia dla emigrantów.

W stronę mostka niepewnie szły małe grupki ludzi. Rees rozpoznał przedstawicieli wszystkich kultur Mgławicy: mieszkańców Tratwy, Pasa, a nawet kilku Kościejów.

Każdy uchodźca niósł parę kilogramów własnego dobytku, na tyle pozwalały przepisy.

Przy otwartym wlocie mostka utworzyła się kolejka. Na razie do wnętrza wnoszono ostatnie partie zapasów, książki, małe przyrządy służące do pomiarów środowiska. Wszystko odbywało się precyzyjnie. Rees zaczął wierzyć, iż operacja naprawdę się powiedzie.

Bez względu na to, co mogło się stać w przyszłości, był zadowolony, że skończył się okres oczekiwania. Kiedy przemieszczono Tratwę, społeczeństwo uległo błyskawicznej

dezintegracji. Organizatorzy wyprawy musieli się śpieszyć, gdyż w każdej chwili groził bunt, lecz ciągle pojawiały się kolejne opóźnienia i problemy.

W tamtych dniach Rees obawiał się, że nie wytrzyma narastającego napięcia.

Zdumiewała go olbrzymia wrogość otoczenia. Pragnął wytłumaczyć ludziom, że nie on ponosi winę za zagładę Mglawicy i nie od niego zależą prawa fizyczne, które nakazywały ograniczenie liczby ewakuowanych osób.

W każdym razie nie był jedynym autorem listy pasażerów.

Sporządzenie listy stanowiło prawdziwą udrękę. Szybko odrzucono pomysł tajnego głosowania, skład przyszłej kolonii nie mógł być przypadkowy, ale jak zdecydować o życiu lub śmierci rodzin i generacji potomków? Organizatorzy próbowali mieć naukowe podejście, toteż kierowali się takimi kryteriami, jak: sprawność fizyczna, inteligencja, łatwość adaptacji, wiek rozrodczy. Zakłopotany i zde gustowany całą procedurą Rees zorientował się, że figuruje na niemal każdej z list kandydatów.

Procedura selekcyjna dała mu poczucie, że uczestniczył w czymś niegodziwym; do pewnego stopnia utracił wiarę w słuszność własnych poczynań. Jednak nie rezygnował z wysiłków. Nie tylko dla ratowania własnej skóry, lecz po to, by dać z siebie absolutnie wszystko.

Wreszcie powstała ostateczna wersja listy, zlepek kilkunastu spisów, o którego ostatecznym kształcie zdecydował surowy arbitraż Deckera. Rees znalazł się na niej, Roch - nie. Rees nienawidził samego siebie. Ubolewał, że spełniają się co do joty najgorsze przewidywania Rocha i jego kolegów.

Podszedł do ogrodzenia. Miał nadzieję, że spotka Pallisa i wykorzysta ostatnią szansę, żeby się pożegnać. Krzepcy strażnicy patrolowali teren, nosząc pałki. Reesa ogarnęło przygnębienie. Zmarnotrawiono jeszcze jeden element, który mógłby posłużyć głównemu celowi, ale już wybuchały bunty. Kto wie, co by się stało, gdyby nie ochrona w postaci ogrodzenia i wartowników? Jeden ze strażników skinął głową Reesowi. Miał kamienną twarz.

Rees domyślał się, że mężczyzna bez wahania odparłby atak swoich rodaków tylko po to, aby ocalić garstkę uprzywilejowanych.

Z drugiego końca mostka dobiegł huk eksplozji, jak gdyby ktoś uderzył potężnym obcasem w pokład. Nad rusztowaniem pojawił się obłok dymu.

Strażnicy odwrócili się, żeby zobaczyć, co się stało. Rees zaczął biec.

W oddali było słyhać krzyki. Ogrodzenie zostało przewrócone, płonęło na odcinku kilku

metrów. Strażnicy pognali do wyrwy, ale wydawało się, że tłum ma miażdżącą przewagę, zarówno pod względem liczebności, jak i determinacji. Rees ujrzał nieprzebrane morze twarzy, starych i młodych, kobiet i mężczyzn. Łączyło je jedno:

rozpacзлиwa, zaciekła furia. Po chwili na pokład spadły bomby zapalające.

- Co ty tu robisz, do jasnej cholery? - To był głos Deckera. Wziął Reesa za ramię i pociągnął go z powrotem w kierunku mostka.

- Decker, czy oni nie potrafią tego zrozumieć? Nie mogą zostać ocaleni, po prostu nie starczy dla nich miejsca! Jeśli teraz zaatakują, misja się nie uda i nikt nie...

- Chłopcze - Decker złapał Reesa za barki i mocno nim potrząsnął - skończył się czas na gadki. Nie jesteśmy w stanie długo odpierać tej hołoty. Będziecie musieli wleźć do środka i natychmiast startować.

- To niemożliwe - zaprzeczył Rees.

- Pokażę ci, kurwa, co jest niemożliwe. - W miejscu, w którym wybuchła bomba zapalająca, płonęło małe ognisko. Decker pochylił się, zapalił drewnianą szczapę i cisnął na rusztowanie otaczające mostek. Po chwili sucha konstrukcja stanęła w płomieniach.

- Decker... - Rees wytrzeszczył oczy.

- Żadnych dyskusji, do cholery! - ryknął mu w twarz Decker, pryskając śliną. - Bierzcie, co się da, i wynoście się stąd...

Rees odwrócił się i zaczął biec. Obejrzał się tylko raz. Decker całkowicie zniknął wśród walczących.

Rees dotarł do wjazdu. Po kolejce sprzed kilku minut nie było śladu. Ludzie usiłowali wpełznąć się do środka, robili przy tym mnóstwo wrzasku i z absurdalną zapobiegliwością nieśli nad głowami swoje rzeczy. Rees użył pięści i łokci, żeby znaleźć się wewnątrz mostka.

Obserwatorium przypominało klatkę, w której panuje zgiełk i chaos. Ludzie przewracali się na przyrządy i niszczyli je. Ocalał jedynie duży teleskop, który majaczył nad tłumem niby wyniosły robot.

Rees uparcie przedzierał się naprzód, aż w końcu ujrzał Gorda i Neada. Przywołał ich do siebie.

- Startujemy za pięć minut!

- Rees, to niemożliwe - odparł Gord. - Przecież widzisz, jak wygląda sytuacja.

Wśród pasażerów i tych, którzy są na zewnątrz, byłoby ranni, a nawet zabici.

- Spójrz tam. - Rees wskazał na przezroczysty kadłub. - Widzisz ten dym? Decker podpałił to cholerne rusztowanie. Zatem twoje cudowne rygle wybuchowe za pięć minut tak czy owak wylecą w powietrze, zgadza się?

Gord pobladł.

Nagle hałas na zewnątrz przerodził się w ryk. Rees zorientował się, że zniszczone zastały kolejne fragmenty ogrodzenia. Nieliczni strażnicy nadal stawiali opór, ale skłębiony tłum zaczynał ich pochłaniać.

- Kiedy ci ludzie do nas dotrą, przepadniemy z kretelem - powiedział. - Musimy startować. I to nie za pięć minut. Teraz.

- Rees, tam są wciąż ludzie... - Nead pokręcił głową.

- Zamknij te cholerne drzwi! - Rees chwycił młodego człowieka za ramię i popchnął go w stronę zamontowanej w ścianie płyty sterującej. - Gord, wysadź te rygle.

No, zrób to!

Inżynier zmrużył oczy. Był tak przerażony, że drgały mu policzki, ale ruszył w stronę napierającego tłumu.

Rees przedarł się do teleskopu. Wspiął się na samą górę starego przyrządu i ujrzał wzburzone morze ludzkich głów.

- Posłuchajcie mnie! - zawołał. - Widzicie, co dzieje się na zewnątrz. Musimy startować. Połóżcie się, jeśli znajdziecie miejsce. Pomóżcie osobom, które są obok was; zwróćcie uwagę na dzieci.

Zdesperowani ludzie zaczęli okładać pięściami ścianę mostka, przywierali twarzami do przezroczystej powłoki. Po chwili rozległ się trzask - to zapaliły się rygle rusztowania.

Krucha drewniana konstrukcja błyskawicznie się rozpadła, Teraz już nic nie łączyło mostka z Tratwą.

Podłoga obniżyła się. Pasażerowie krzyczeli i kurczowo przytulali się do siebie.

Pokład Tratwy, widoczny przez przezroczystą ścianę, uniósł się wokół mostka jak płynna substancja, a pole grawitacyjne Tratwy wciągało pasażerów w powietrze. Widok odbijających się od dachu ludzi był niemal komiczny.

Z korytarza dobiegało coraz głośniejsze wycie. Nead nie zdążył zamknąć wjazdu.

Maruderzy pokonali skokiem przestrzeń, która dzieliła mostek od pokładu. O zamykające się drzwi uderzył z łoskotem mężczyzna. Zaczepił nogą o framugę. Rees usłyszał trzask łamiącej

się kości goleniowej, a po chwili zobaczył rodzinę, która stoczyła się z pokładu Tratwy i wyrznęła o kadłub mostka. Wszyscy przepadli w otchłaniach nieskończoności.

Rees przywarł do teleskopu.

Wreszcie było po wszystkim. Tratwa tworzyła teraz sufit ponad głowami uciekinierów, wydawała się odległa i abstrakcyjna. O kadłub nie uderzały już pojedyncze ciała desperatów. Czterystu ludzi po raz pierwszy w życiu doświadczało swobodnego spadania.

Rees podniósł głowę. Usłyszał krzyk, dochodzący gdzieś z oddali. Zobaczył, że przez wyrwę w środku Tratwy skacze Roch z płonąca pałką w ręku. Spadał z rozpostartymi rękami i nogami. Patrzył przez szklaną przegrodę na wystraszonych pasażerów.

W końcu wyrznął twarzą w przezroczysty dach obserwatorium. Upuścił pałkę i szukał rękami oparcia na śliskiej ścianie, lecz po chwili bezradnie się z niej zsunął, zostawiając strużkę krwi z rozbitego nosa i policzków. Przewrócił się na bok i, w ostatniej chwili, chwycił się szorstkiego występu dyszy.

Rees zszedł z teleskopu i odszukał Gorda.

- Do diabła, musimy coś zrobić. On oderwie tę dyszę.

- Moglibyśmy wysadzić dyszę. - Gord podrapał się po brodzie i spojrzał na zwisającego górnika, który patrzył na osłupiałych pasażerów. - Oczywiście, para nie dosięgnęłaby go, gdyż wisi on poniżej samego wylotu, ale na pewno poparzyłby sobie ręce.

Tak, to z pewnością zmusiłoby go do oderwania się od kadłuba.

- Moglibyśmy go uratować - podsunął Rees.

- Co? Rees, ten facet próbował cię zabić.

- Wiem. - Rees zerknął na purpurową twarz Rocha i jego napięte mięśnie. - Znajdź kawałek liny. Zamierzam otworzyć drzwi.

- Chyba nie mówisz poważnie...

Ale Rees już kierował się w stronę wjazdu.

Po pewnym czasie potężny górnik znalazł się na pokładzie.

- Posłuchaj - rzekł Rees ze spokojem. Pochylił się nad wyczerpanym mężczyzną. - Mogłem pozwolić ci umrzeć. - Roch zlizął krew z poranionych ust. - Ocaliłem cię z jednego powodu - powiedział Rees. - Należysz do twardych ludzi, dlatego podjąłeś ryzyko śmiertelnie niebezpiecznego skoku, a w miejscu, do którego lecimy, będziemy potrzebowali twardzieli, rozumiesz? Jeśli jednak kiedykolwiek, choćby raz, dojdę do wniosku, że swoją przeklętą głupotą

narażasz naszą wyprawę na niebezpieczeństwo, otworzę drzwi i pozwolę ci zakończyć spadanie.

- Patrzył górnikowi w oczy przez dobre kilka minut; w końcu Roch przytaknął. - Dobrze. - Rees wstał. - No - zwrócił się do Gorda - od czego zaczynamy?

W powietrzu czuło się smród wymiocin.

- Sądzę, że od wyjaśnienia w kwestii nieważkości - powiedział - a poza tym będą potrzebne miotły i wiadra...

Zaciskając ręce na gardle napastnika, Decker odwrócił się i zobaczył, że nietrwale rusztowanie mostka załamuje się i rozpada na części. Wielki cylinder zawisł w powietrzu dosłownie na sekundę, a potem z dysz wyleciały białe obłoczki i mostek oderwał się, zostawiając w pokładzie szyb, do którego wpadali bezradni ludzie.

Wszystko się więc skończyło i Decker został sam. Wycisnął ze swojego przeciwnika resztki życia.

Na porzuconej Tratwie walka trwała wiele godzin.

ROZDZIAŁ 15

Pierwsze godziny na zatłoczonym statku były wręcz nie do wytrzymania. Wszędzie unosił się odór wymiocin i moczu. Ludzie rozbiegli się po całej komorze, wrzeszcząc i walcząc ze sobą nawzajem.

Rees podejrzewał, że problemem była nie tylko nieważkość, lecz także gwałtowna zmiana postrzegania rzeczywistości. Nagle ludzie uświadomili sobie, że wszechświat jednak nie stanowi nieskończenie wielkiego dysku, a *Tratwa* jest zaledwie żelaznym pyłkiem w atmosferze, i wydawało się, że ta bolesna prawda doprowadza niektórych pasażerów niemal do szaleństwa.

Może należało lecieć z nieprzezroczystymi oknami?

Rees spędził wiele godzin nadzorując budowę sieci lin i sznurów, które przecinały wnętrze obserwatorium.

- Powinniśmy wypełnić pomieszczenie izotropową strukturą - radził z grobową miną Hollerbach. - Żeby wyglądało tak samo z każdej strony. Kiedy dotrzemy do *Rdenia* i cały ten cholerny wszechświat przewróci się do góry nogami, wrażenie będzie mniej niepokojące.

Niebawem pasażerowie narzucili koce na liny, żeby odgrodzić choć odrobinę przestrzeni i stworzyć namiastkę prywatności. Prowizoryczne szalasy sprawiły, że supernowoczesne wnętrze mostka wyglądało całkiem przytulnie. W powietrzu zapachniało jedzeniem.

Rees przedarł się przez zatłoczone pomieszczenie do czegoś, co dawniej stanowiło dach obserwatorium. Kadłub był nadal przezroczysty. Rees przycisnął twarz do ciepłej powierzchni i wyczuł wzrok. Od razu przypomniało mu się, jak kiedyś zerkał przez brzuch wieloryba.

Po oderwaniu się od *Tratwy* mostek błyskawicznie nabrał rozpędu i zmienił kierunek, tak że jego gruby dziób był wycelowany w sam środek *Mgławicy*, która stanowiła teraz wielki, trójwymiarowy obiekt. Chmury przemykały obok z ogromną prędkością, a gwiazdy ześlizgiwały się ku kosmosowi. Nawet na samych krańcach, setki mil dalej, było widać, jak blade gwiazdy powoli wznoszą się w górę.

Tratwa już od dawna przypominała pyłek zagubiony w różowej, nie kończącej się przestrzeni.

Kadłub zadygotał. Metr nad głową Reesa cicho wystrzelił obłok pary, lecz natychmiast został zlikwidowany, co dowodziło, że zdezelowany układ sterowniczy *Gorda* całkiem dobrze funkcjonuje.

Powłoka wydała się Reesowi cieplejsza. Prędkość wiatru na zewnątrz musiała być nieprawdopodobna, ale dzięki nie stawiającemu oporu materiałowi, z którego wykonano mostek, powietrze nie wywoływało żadnych szkodliwych skutków, co najwyżej przyczyniało się do wzrostu temperatury. Mimo zmęczenia Rees zmuszał umysł do intensywnej pracy.

Dośzedł do wniosku, że gdyby udało się zmierzyć wzrost temperatury, prawdopodobnie można by było obliczyć przybliżony współczynnik tarcia, chociaż, oczywiście, należałoby również uzyskać dane o przewodzeniu ciepła przez powłokę.

- To zdumiewające, nieprawdaż? - Pytanie padło z ust Neada, który trzymał w ramionach sekstans.

- Co ty tutaj robisz? - Rees uśmiechnął się.

- Mam mierzyć naszą szybkość.

- I co?

- Ze względu na siłę grawitacji osiągnęliśmy prędkość graniczną. Sądzę, że dotrzemy do Rdzenia za jakieś dziesięć szycht. - Nead mówił z roztargnieniem, skupiając uwagę na kosmicznej przestrzeni, lecz na Reesa podziały one elektryzująco. Dziesięć szycht! Już za dziesięć szycht będzie spoglądał na Rdzeń, a ludzkość dowie się, co ją czeka:

przetrwanie czy zagłada.

- Właściwie nie dokończyliśmy twojego szkolenia, Nead, prawda? - Z trudem powrócił do terażniejszości.

- Były pilniejsze wydarzenia - odparł sucho Nead.

- Znajdźmy wreszcie dom, gdzie zawsze będziemy mieli czas, żeby szkolić ludzi porządnie, a nawet czas na to, aby wyglądać przez okno.

- Jeśli nie powiecie temu staremu, nieznośnemu bufonowi, że od czasu odłączenia mostka nie ma pojęcia, co jest ważne, a co nie, to nie odpowiadam za siebie, Rees! - Jaen wtrąciła się do rozmowy mężczyzn, jeszcze zanim zdążyła podejść.

Rees cicho jęknął. Najwyraźniej zakończył się okres spokoju. Odwrócił się. Jaen podchodziła do niego, za nią szedł Hollerbach, który ostrożnie odgarniał liny.

- Nie przypominam sobie, żeby jakiś nieopierzony uczonej drugiej klasy zwracał się do mnie w ten sposób... - mruknął stary człowiek.

- Przestańcie. - Rees podniósł ręce. - Zaczynaj od najważniejszej rzeczy, Jaen. W czym problem?

- Problemem - Jaen splunęła gwałtownie i wskazała kciukiem Hollerbacha - jest ten stary, głupi palant, który...

- Ach, ty bezczelna...

- Zamknijcie się! - wrzasnął Rees.

- Rees, czy to ja sprawuję kontrolę nad teleskopem? - Jaen pieniała się ze złości, ale w końcu zdołała się pohamować.

- Tak.

- I powinnam dbać o to, żeby nawigatorzy oraz ich kościejowi, że tak powiem, asystenci, uzyskiwali wszystkie dane, potrzebne do kierowania naszą trajektorią wokół Rdzenia? To jest nasze najważniejsze zadanie, zgadza się?

- Nie mogę zaprzeczyć... - Rees potarł nos, po jego twarzy przemknął cień wątpliwości.

- W takim razie powiedz Hollerbachowi, żeby trzymał swoje cholerne łapy z dala od mojego sprzętu!

- O co chodzi, główny naukowcu? - Rees zwrócił się do Hollerbacha, tłumiąc uśmiech.

- Rees... - Stary człowiek splótł palce i skubał zwiotczałą skórę. - Został nam tylko jeden ważny przyrząd naukowy. Oczywiście, nie zamierzam podważać argumentów przemawiających za takim, a nie innym załadunkiem statku. Naturalnie, rozmiary puli genetycznej muszą być traktowane priorytetowo. - Przycisnął pięść do zagłębienia drugiej dłoni. - Niemniej jednak, właśnie teraz, gdy jesteśmy ślepcami, zbliżamy się do największej tajemnicy naukowej w kosmosie: do samego Rdzenia...

- On chce skierować teleskop na Rdzeń - przerwała mu Jaen. - Uwierzyłybyś w coś podobnego?

- Nawet dzięki powierzchownym badaniom uzyskalibyśmy ogromną wiedzę.

- Hollerbach, jeśli nie wykorzystamy tego cholernego teleskopu do nawigacji, to możemy zobaczyć Rdzeń aż nadto dokładnie! - Jaen gniewnie spojrzała na Reesa. - No?

- Co, no?

- Niestety, chłopcze, ale podejrzewam, że ta drobna, lokalna trudność to dopiero początek niemożliwych do rozstrzygnięcia kwestii, którymi będziesz zasypywany. - Hollerbach smutnie popatrzył na Reesa.

- Ale dlaczego ja? - Rees poczuł się zakłopotany i osamotniony.

- Ponieważ Decker w dalszym ciągu jest na Tratwie - zaszydziła Jaen. - A któżby inny?

- Kto inny? - mruknął Hollerbach. - Przykro mi, Rees, ale nie sędzę, żebyś miał wybór...

- Wszystko jedno, co robimy z tym przeklętym teleskopem?

- No, dobrze. - Rees usiłował skupić myśli. - Hollerbach, muszę przyznać, że obecnie praca Jaen ma pierwszeństwo... - Jaen wydała okrzyk radości i przeszła ręką powietrze. - ...

dlatego twoje badania muszą być do niej dostosowane. W porządku? Ale - dodał pośpiesznie Rees - gdy znajdziemy się dostatecznie blisko Rdzenia, strumienie pary i tak na nie się nie przydadzą, toteż nawigacja okaże się stratą czasu. Wówczas udostępniysz teleskop Hollerbachowi. Może nawet, Jaen, pomożesz mu. - Rees wydmął policzki. - Co powiecie na taki kompromis?

- Jeszcze zrobimy z ciebie członka Komitetu. - Jaen uśmiechnęła się i uderzyła go w ramię. Odwróciła się i z powrotem zaczęła przedzierać się przez liny.

- Hollerbach, jestem zbyt młody, żeby być kapitanem. - Reesowi opadły ręce. - I wcale tego nie pragnę.

- Jeśli chodzi o ostatni argument, mógłby go użyć dosłownie każdy. - Hollerbach uśmiechnął się łagodnie. - Rees, obawiam się, że nie masz wyjścia. Jesteś na tym pokładzie jedynym człowiekiem, który żył na Pasie, Tratwie, w świecie Kościejów... i z tego powodu jesteś jedynym przywódcą, którego mogą zaakceptować poszczególne frakcje na statku. Poza tym to twoja energia i determinacja sprawiły, że zaszliśmy tak daleko. Obawiam się, że nie uciekniesz od odpowiedzialności, a trzeba będzie podejmować trudne decyzje.

Zakładając, że uda nam się dotrzeć do Rdzenia, mamy w perspektywie racjonowanie żywności, gwałtowne skoki temperatury w nieznanach rejonach poza Mgławicą, nawet nuda może się okazać śmiertelnym zagrożeniem! Będziesz musiał kierować naszym życiem w ekstremalnych warunkach. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, to, oczywiście, jestem do dyspozycji.

- Dzięki. Nie bardzo mi się to podoba, ale chyba masz rację. Jeśli chcesz mi pomóc, to na początek sam załatw spór z Jaen - zażądał Rees ostrym tonem.

- Ta młoda kobieta jest zbyt gwałtowna. - Hollerbach uśmiechnął się żałośnie.

- A w ogóle, co spodziewałeś się zobaczyć, Hollerbach? Przypuszczam, że widok czarnej dziury z bliskiej odległości będzie wystarczająco atrakcyjny - zmienił temat Rees.

- Zobaczymy coś znacznie bardziej interesującego. - Na białych jak papier policzkach Hollerbacha wykwitły rumieńce. - Czy kiedykolwiek rozmawiałem z tobą o swojej teorii chemii grawitacyjnej? Tak? - Hollerbach był wyraźnie rozczarowany, że stracił okazję wygłoszenia

wykładu.

Rees jednak zachęcił go do kontynuowania wypowiedzi. Uświadomił sobie, że znowu będzie się uczył, wysłuchując podczas każdej szycoty tego, co ma do powiedzenia Hollerbach i reszta na temat tajemnic świata.

- Być może pamiętasz moje rozważania o nowym typie atomu - zaczął Hollerbach. - Jego składowe cząstki, być może nawet stanowiące autonomiczne całości, wiąże raczej grawitacja niż inne podstawowe siły. W odpowiednich warunkach, przy właściwej temperaturze i ciśnieniu oraz gradientach grawitacyjnych, zaistnieje nowa chemia grawitacyjna.

- W Rdzeniu - dorzucił Rees.

- Tak - oznajmił Hollerbach. - Okrążając Rdzeń, zobaczymy nowe królestwo, mój przyjacielu, nową fazę tworzenia, w której...

Znad ramienia Hollerbacha wyjrzała pulchna, zakrwawiona twarz.

- Czego chcesz, Roch? - Rees zmarszczył brwi.

- Chcę tylko pokazać wam - górnik wyszczerzył zęby w uśmiechu - o czym zapomnieliście. Spójrzcie. - Wyciągnął rękę.

Rees odwrócił się. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego niezwykłego, lecz po chwili, zmrużywszy oczy, ujrzał na usianym gwiazdami niebie małą brązową plamkę.

Znajdowała się zbyt daleko, by mógł rozróżnić szczegóły, ale od razu przypomniała mu się skórzasta powłoka, rozpięta na kościach.

- Kościeje - rzekł.

Roch zaniósł się śmiechem. Hollerbach wzdrygnął się z obrzydzenia.

- To twój dawny dom, Rees - odezwał się szorstko Roch. - Nie masz ochoty tam zajrzeć i odwiedzić starych przyjaciół?

- Wracaj do pracy, Roch.

Roch usłuchał rozkazu, chociaż nadal się zaśmiewał.

Rees przez kilka minut patrzył na niebo, aż w końcu stracił planetę Kościejów z oczu.

Kolejny fragment jego życia nieodwołalnie odchodził w przeszłość.

Rees zadygotał. Odsunął się od okna i wraz z Hollerbachem powrócił do ciepłego, pełnego krzątaniny wnętrza mostka, w którym roilo się od bezradnych ludzi.

Stary, zniszczony statek leciał w kierunku czarnej dziury.

Niebo pociemniało i zapełniło się niesamowitymi, spiralnymi rzeźbami gwiezdnymi, które Rees oglądał podczas pierwszej wyprawy. Kadłub nadal był przezroczysty.

Rees przewidywał, że dzięki temu przynajmniej od czasu do czasu pasażerowie będą mogli zapomnieć o ciągłym pogarszaniu się ich sytuacji. Ryzykowna kalkulacja opłaciła się. W miarę upływu szycht coraz więcej osób spędzało czas przy wielkich oknach. Na pokładzie mostka zapanowała atmosfera spokoju, który jednak graniczył z lękiem.

Maksymalne zbliżenie się statku do Rdzenia miało nastąpić za jedną szychtę. W oknach pojawiło się mnóstwo gapiów, którzy zapragnęli obejrzeć szkółkę wielorybów. Rees dyskretnie zrobił miejsce Hollerbachowi, aby i on mógł obserwować zwierzęta.

Przy tej głębokości każdy wieloryb przypominał cienki pocisk, a jego sflaczałe cielsko stanowiło aerodynamiczną powłokę, okrywającą narządy wewnętrzne. Zwierzęta pozamykały wielkie oczy, leciały ku Rdzeniowi na oślep. Ich szeregi otaczały mostek dosłownie ze wszystkich stron, tak że powietrze przypominało szczelną ścianę bladego mięsa.

- Gdybym wiedział, że to wygląda tak wspaniale, nie zeskoczyłbym z wieloryba - mruknął Rees.

- Na pewno nie udałoby ci się przeżyć - odparł Hollerbach. - Przyjrzyj się uważnie. - Pokazał najbliższego wieloryba. - Widzisz, jak się żarzy?

- Opór powietrza? - Rees zauważył różową poświatę wokół przedniego końca wieloryba.

- Naturalnie - powiedział zniecierpliwiony Hollerbach. - W tych rejonach atmosfera jest gęsta jak zupa. Patrz uważnie.

Rees nie spuszczał wzroku ze zwierzęcia. Niebawem jego wytrwałość została nagrodzona. Zobaczył, że prawie dwumetrowy płat skóry wieloryba zaczyna płonąć i w końcu odpada od znajdującego się w pełnym pędzie ssaka. Przyjrzał się dokładniej całej szkółce. Pomimo ogólnego zamieszania dostrzegł, że inni wędrowcy również zaczynają płonąć i zrzucają fragmenty spalonej skóry.

- Wygląda na to, że wieloryby ulegają rozkładowi ze względu na zbyt duży opór powietrza. Być może wleciały na niewłaściwą orbitę wokół Rdzenia, albo zdezorionowała je nasza obecność.

- Ckliwe banialuki, Rees. - Hollerbach prychnął, dając wyraz obrzydzeniu. - Te wieloryby wiedzą, co robią, znacznie lepiej od nas.

- Wobec tego dlaczego się palą?

- Chłopcze, bardzo ci się dziwię. Powinieneś być się tego domyślić z chwilą, gdy wlałeś na tego wieloryba i obejrzałeś jego zewnętrzną, gąbczastą warstwę.

- Wtedy bardziej interesowało mnie to, czy jego cielsko nadaje się do jedzenia - odparł sucho Rees. - Ale... - Zastanawiał się przez chwilę. - Twierdzisz, że zewnętrzna warstwa służy do chłodzenia ablacyjnego?

- Dokładnie tak. Zewnętrzna warstwa spala się i odpada. Jedna z najprostszych, a zarazem najskuteczniejszych metod utraty ciepła, gdy powietrze stawia nadmierny opór...

Stosowano ją na pierwszym, skonstruowanym przez ludzi statku kosmicznym, wyczytałem to chyba w dzienniku pokładowym, który, oczywiście, przepadł na zawsze...

Nagle na zewnętrznej stronie kadłuba buchnęły płomienie. Pasażerowie, którzy patrzyli przez okna, cofnęli się na widok ognistej zapory, która znajdowała się zaledwie kilkanaście centymetrów od ich twarzy. Jednak pożar ustał równie szybko, jak się pojawił.

- Hm, to z pewnością nie było planowane chłodzenie ablacyjne - ponuro zauważył Rees. - Zapaliła się jedna z dysz parowych. Już nie będziemy mogli całkowicie kontrolować sytuacji.

- Ach - Hollerbach powoli skinął głową. Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda. - Nie spodziewałem się, że dojdzie do tego tak wcześnie. Miałem nadzieję, że utrzymamy przynajmniej częściową kontrolę nawet w momencie maksymalnego zbliżenia, kiedy to, z oczywistych względów, trajektoria statku łatwo może ulec modyfikacjom. Niestety, odtąd chyba będziemy musieli zadowolić się tym, co mamy. Pallis powiedziałby, że lecimy bez dymu... Trzeba tylko mieć nadzieję, że nie zboczyliśmy zanadto z kursu. Chodź, pogadamy z nawigatorami, ale staraj się mówić po cichu. Bez względu na to, jaki będzie werdykt, nie ma sensu wywoływać paniki.

Członkowie ekipy nawigacyjnej odpowiadali na pytania Reesa zgodnie z własnymi inklinacjami. Naukowcy z Tratwy ślęczeli nad wykresami dowodzącymi, że orbity odchodzą od Rdzenia jak niesforne kosmyki, podczas gdy Kościeje rzucali kawałki metalu w powietrze i obserwowali linię ich lotu.

Po kilkuminutowej dyskusji Rees zagadnął:

- No?

- Nadal jesteśmy zbyt daleko. - Quid odwrócił się do niego i wzruszył ramionami.

Kto to może wiedzieć? Poczekamy, zobaczymy.

- Rees, tutaj panuje niemal zupełny chaos. - Jaen podrapała się w głowę. Miała za uchem

pisak. - Ze względu na punkt, w którym utraciliśmy kontrolę, nie możemy nawet określić, w jakim stopniu nasza ostateczna trajektoria jest uzależniona od warunków początkowych.

- Innymi słowy - wtrącił się poirytowany Rees - możemy co najwyżej biernie czekać.

Wspaniale, nie ma co mówić.

Jaen chciała zaprotestować, ale po namyśle zrezygnowała.

- Posłuchaj, do cholery, jesteście całkowicie bezradni. - Quid klepnął Reesa po ramieniu.

- Zrobiłeś, co mogłeś... a w każdym razie zapewniłeś staremu Quidowi diabelnie ciekawą przejażdżkę.

- I nie ty jeden masz tego rodzaju odczucie, kościejowy przyjacielu - szybko odezwał się Hollerbach. - Jaen! Przypuszczam, że już nie będziesz korzystała z teleskopu?

Jaen pokazała zęby w uśmiechu.

Ustawienie kierunku i ostrości urządzenia zajęło trzydzieści minut. Wreszcie Rees, Jaen, Hollerbach i Nead stłoczyli się wokół małego monitora.

Z początku Rees był rozczarowany. Na ekranie pojawił się gęsty, czarny obłok gwiazdnych szczątków, który otaczał Rdzeń. Tego rodzaju obrazy oglądało się podczas obserwacji na Tratwie. Jednakże w ciągu kolejnych minut mostek dotarł do zewnętrznych warstw materii. Posępna chmura rozstąpiła się, ukazując naukowcom głębię i strukturę gwiazdowego pyłu. Z dołu promieniowało blad różowe światło. Wkrótce szczątki roztrzaskanej gwiazdy znalazły się nad kadłubem statku. Mostek wydawał się teraz bardzo niepewnym schronieniem. Potem obłoki nagle zniknęły i oczom pasażerów ukazał się nie osłonięty Rdzeń.

- Mój Boże - wyszeptała Jaen. - Wygląda jak... jak planeta...

Rdzeń tworzył spłaszczony, kulisty obiekt o szerokości pięćdziesięciu mil. Jego szczelnie zbita materia okalała czarną dziurę. Zdecydowanie dominowały w nim odcienie czerwieni i różu. W warstwach powierzchniowych Rdzenia, poddawanych, jak przypuszczał Rees, setkom rozmaitych sił grawitacyjnych, można się było dopatrzeć wręcz topograficznych szczegółów. Znajdowały się tu oceany jakiejś quasi-płynnej, gęstej i czerwonej jak krew materii, a sąsiadujące z nimi łądy górowały nad sferyczną powierzchnią.

Były tam nawet małe pasma górskie, nasuwające skojarzenie z pomarszczoną skórką starego owocu, i chmury, które niczym dym przemykały nad taflą oceanów. Rees obserwował nieustanny ruch: olbrzymie fale przecinały morza, warstwy gór zdawały się wybrzuszać w nieskończoność i nawet wybrzeża dziwnych kontynentów wykręcały się to w jedną, to w drugą

stronę. Miało się wrażenie, iż „naskórek” Rdzenia nieustannie marszczy się i pęcznieje pod wpływem ogromnego źródła ciepła.

Rees pomyślał, że tak mogłaby wyglądać Ziemia porwana do piekła.

Hollerbach przeżywał ekstazę. Patrzył na monitor z taką zachłannością, jakby pragnął się do niego wcisnąć.

- Chemia grawitacyjna! - wykrzyknął. - Miałem rację. Struktura tej niesamowitej powierzchni może być zachowana wyłącznie dzięki wpływowi chemii grawitacyjnej, tylko więzy grawitacji są w stanie przeciwdziałać przyciąganiu czarnej dziury.

- Ale wszystko zmienia się w tak błyskawicznym tempie - zauważył Rees. - Metamorfozy na wielką skalę zachodzą dosłownie w kilka sekund.

- Taka prędkość jest charakterystyczna dla grawitacyjnego królestwa. - Hollerbach z zapalem pokiwał głową. - Pamiętaj, że zmienne pola grawitacyjne rozchodzą się z prędkością światła, a... - Przerwał mu krzyk Jaen. Wyciągnęła rękę w kierunku monitora.

W środkowej części jednego z amorficznych kontynentów było widać prostokątną siatkę różowo-białego światła, wyświetloną na powierzchni niczym gigantyczna szachownica.

Reesowi przychodziły do głowy różne pomysły. - Życie - wyszeptał.

- I inteligencja - dodał Hollerbach. - Jedno spojrzenie i mamy dwa przyprawiające o zawrót głowy odkrycia.

- Ale jak to jest możliwe? - zagadnęła Jaen.

- Powinniśmy raczej zapytać: dlaczego miałyby tak nie być? - odparł Hollerbach.

Podstawowym warunkiem życia jest istnienie ostrych gradientów energetycznych.

Grawitacyjne królestwo należy do najszybciej ewoluujących układów. Uniwersalne zasady samoporządkowania, na przykład szeregi Feigenbauma, które umożliwiają strukturze przewyciężenie chaosu, czynią niemal konieczne powstanie tego rodzaju uporządkowania.

Po pewnym czasie patrzący ujrzeni więcej siatek. Niektóre z nich pokrywały całe kontynenty. Wydawało się, że usiłują chronić lądy przed potężnymi falami. Po globie przebiegały podobne do dróg linie światła. Dokonawszy maksymalnego powiększenia, Rees był nawet w stanie dostrzec pojedyncze budowle: piramidy, czworościany i sześciany.

- Dlaczego nie miałyby powstać inteligencja? - ciągnął z rozmarzeniem Hollerbach. - W świecie, w którym zachodzą tak gwałtowne przemiany, selekcja na korzyść zasad porządkujących byłaby niezwykle istotnym czynnikiem. Spójrzcie, jak grawitacyjni ludzie

walczą o ochronę uporządkowanych środowisk przed niszczącym wpływem chaosu!

Hollerbach umilkł, lecz Rees nie przestawał snuć domysłów. Być może te istoty potrafią budować własne statki, które mogą podróżować do innych, położonych wokół dziur planet, i dzięki temu spotykają się ze swoimi niesamowitymi kuzynami. Obecnie tę dziwną biosferę zasilał napływ mgławicowych odpadów, nieprzerwany deszcz gwiazdnej materii, spadający po hiperbolicznych trajektoriach do Rdzenia, oraz od wewnątrz, za sprawą emitującego promienie X dysku akrecyjnego wokół czarnej dziury, w samym Rdzeniu.

Ostatecznie Mgławica musiała jednak ulec wyczerpaniu, grawitacyjny świat miał zostać obnażony i wystawiony na działanie kosmosu. Jedynym jego paliwem byłoby ciepło Rdzenia i, w końcowej fazie, powolne wyparowywanie czarnej dziury. Rees pomyślał, że grawitacyjni ludzie będą żyli w burzliwym środowisku jeszcze długo po wyczerpaniu się wszystkich mgławic. Uświadomił sobie, że właśnie te istoty są prawdziwymi obywatelami kosmosu.

Słabi, brudni, ślamazarni ludzie okazali się zaledwie chwilowymi intruzami.

Wkrótce statek miał wejść w maksymalnie bliski kontakt z Rdzeniem.

Rdzeń przypominał teraz barwny pejzaż. Pasażerowie wznosili okrzyki albo wzdychali, gdy mostek leciał zaledwie kilkadziesiąt mil nad kipiącym oceanem.

Wieloryby, które dryfowały powyżej mórza, były blade i niewzruszone niczym duchy.

Rees poczuł, że coś silnie przyciąga jego stopy. Poirytowany chwycił podpórkę teleskopu i z powrotem znalazł się przy monitorze, lecz mimo to przyciąganie bezlitośnie wzrastało, aż w końcu stało się uciążliwe.

Zaczął się niepokoić. Teoretycznie mostek powinien swobodnie spadać. Czyżby coś mu w tym przeszkadzało? Naukowiec popatrzył na przezroczysty kadłub. Co spodziewał się ujrzeć? Że mostek natrafił na jakąś kleistą chmurę albo nieznaną wypływ z leżących w dole mórza? Nie dostrzegł jednak niczego.

Zwrócił uwagę na teleskop. Zauważył, że Hollerbach jest odwrócony do góry nogami, z rozpostartymi ramionami przywiera do monitora i dzielnie próbuje nie odrywać oczu od obrazu. Rees doznał osobliwego wrażenia, że on i Hollerbach są przyciągani do przeciwległych krańców statku. Podobnie byli ustawieni Nead i Jaen, którzy kurczowo trzymali się podstawy teleskopu, żeby nie ulec wpływowi nowego, dziwnego pola.

W komorze rozległy się krzyki. Niepewna konstrukcja z lin i koców zaczęła się

załamywać. Ludzie ześlizgiwali się po ścianach, podobnie jak części garderoby i sztućce.

- Hollerbach, co się tu dzieje, do diabła?

- Cholera, to nie wpływa dobrze na mój artretyzm... - Stary naukowiec zaciskał i rozprostowywał palce.

- Hollerbach...!

- To przecież pływ! - warknął Hollerbach. - Na kości, chłopcze, czyżbyś niczego się nauczył na moich zajęciach z dynamiki orbitalnej?! Znajdujemy się tak blisko Rdzenia, że jego pole grawitacyjne wykazuje ogromne zróżnicowanie nawet w skali metra.

- Niech cię diabli, Hollerbach, skoro wiedziałeś o wszystkim, dlaczego nas nie uprzedziłeś?

- Ponieważ to było oczywiste, chłopcze! - Hollerbach nie wyglądał na speszzonego.

Teraz lada moment możemy się spodziewać czegoś naprawdę widowiskowego. Jak tylko gradient grawitacyjny przekroczy moment wywołany oporem powietrza - o, proszę...

Obraz na monitorze zrobił się niewyraźny z powodu uszkodzenia blokady teleskopu.

Spieniony ocean zawirował Reesowi nad głową. Prowizoryczne „osiedle” zupełnie się zawaliło, a pasażerowie byli miotani po pokładzie. Na ciałach, ubraniach i ścianach pojawiły się strugi krwi.

Statek skręcał.

- Dziobem do dołu! - wrzasnął Hollerbach, usiłując przekrzyczeć hałas. W dalszym ciągu nie odrywał rąk od teleskopu. - Statek odzyska równowagę, jeśli skierujemy go dziobem do Rdzenia.

Dziób statku zakołysał się, przeleciał obok Rdzenia i wrócił do pozycji wyjściowej, jak gdyby mostek był wielką igłą magnetyczną, reagującą na bryłkę żelaza. Każdy manewr pogłębiał rozmiary zniszczeń w komorze. Rees zauważył wśród miotających się pasażerów bezwładne ciała. Przypomniał mu się taniec, który obserwował w Teatrze Światła.

Podobnie jak tancerze, mostek i Rdzeń występowały w powietrznym balecie, przy czym statek radosnymi podskokami zmierzał wprost w grawitacyjne objęcia czarnej dziury.

Wreszcie statek odzyskał równowagę i skierował się osi do Rdzenia. Pasażerowie wraz ze swoim dobytkiem wylądowali na końcu cylindrycznej komory, gdzie efekty pływowe okazywały się najsilniejsze. Rees oraz pozostali uczeni nadal kurczowo trzymali się podstawy teleskopu. Znajdowali się w pobliżu środka ciężkości statku i, jak zauważył Rees, uciekali ze

względna łatwością.

Za oknami było widać krwistoczerwone oceany.

- Chyba jesteśmy bardzo blisko - krzyknął Rees. - Jeśli tylko zdołamy przetrwać kilka następnych minut, jeśli statek wytrzyma ten pływ...

- Sądzę, że będziemy musieli przetrwać coś więcej - Nead wciąż oplatał ramionami trzon teleskopu i spoglądał na ocean Rdzenia.

- Co takiego?

- Spójrzcie! - wskazał Nead. Zwolnił uścisk i ześlizgnął się z teleskopu. Zaczął się gramolić po stromej powierzchni instrumentu, próbując ponownie się go uchwycić, lecz ostatecznie zupełnie stracił oparcie. Wciąż wyglądając przez okno, upadł z wysokości dziesięciu metrów na wijące się kłębowisko ciał ludzkich, ściśniętych w jednym końcu cylindrycznej komory.

Upadkowi towarzyszył głośny trzask. Nead zawył z bólu.

Rees przymknął oczy. Zniecierpliwiony Hollerbach zawołał:

- Rees, popatrz na to, o czym chciał nam powiedzieć!

Krwisty ocean w dalszym ciągu bulgotał, lecz Rees zauważył tworzenie się pod mostkiem wiru wodnego. W wzburzonym odmęcie poruszały się ogromne cienie. Wir poruszał się wraz z rozpędzonym statkiem, jak gdyby śledząc jego lot. W końcu pękł niczym bąbel i z oceanu wynurzył się dysk o szerokości mniej więcej stu metrów. Jego czarna jak smoła powierzchnia gwałtownie się poruszała, a wielkie kończyny pulsowały z oszałamiającą częstotliwością, jak gdyby warstwę gumy chciały przebić czyjeś pięści. Dysk krążył dookoła przez wiele sekund. Potem, gdy jego rotacja uległa zwolnieniu, opadł z powrotem w dudniący ocean.

Niemal natychmiast rozpoczęło się tworzenie następnego wiru.

- To druga erupcja. Najwyraźniej nie całe życie tutaj jest tak cywilizowane. - Twarz starego uczonego mocno poszarzała.

- To ono jest żywe? Ale czego chce?

- Niech cię diabli, chłopcze, myśl samodzielnie!

- Jak ono nas wyczuwa? - Pomimo zgiełku Rees usiłował się skoncentrować. - W porównaniu ze stworzeniami grawitacyjnymi jesteśmy jak babie lato, prawie nie istniejemy.

Zatem dlaczego staliśmy się obiektem zainteresowania?

- Maszyny dostawcze! - krzyknęła Jaen.

- Co?

- Są zasilane przez małe czarne dziury... materię grawitacyjną. Być może tylko je dostrzeżę stworzenie grawitacyjne, może jesteśmy dla niego statkiem widm otaczającym okruchy...

- Jedzenia - dokończył zmęczonym głosem Hollerbach.

Stworzenie znowu ryknęło i wynurzyło się z oceanu, rozpraszając wieloryby jak liście.

Tym razem jego kończyzna, gruba jak talia Reesa, przysunęła się tak blisko, że statek zadrżał.

Rees przyjrzał się szczegółowo stworzeniu. Przypominało wypukłą, czarną rzeźbę.

Malutkie postacie, samodzielne zwierzęta, może pasożyty, z oszalamiającą prędkością gnały po pulsującej skórze zwierzęcia, wpadały na siebie i odskakiwały.

Dysk jeszcze raz odleciał i zderzył się z płodnym oceanem. Wszystko odbywało się jak w zwolnionym tempie. Wyglądało to niesamowicie. Potem znowu zaczął się tworzyć wir.

- Głód - orzekł Hollerbach. - Uniwersalny imperatyw. Ta przeklęta istota nie zaprzestanie prób, dopóki nie połknie nas w całości, a my nie jesteśmy w stanie nic zrobić. - Starzec przymknął kaprawe oczy.

- Jeszcze nie zginęliśmy - mruknął Rees. - Jeśli ta dziecina chce jeść, to ją nakarmimy.

- Zawładnęła nim gniewna determinacja. Przebył przecież tak dużą odległość nie po to, aby jego osiągnięcia zniweczyła jakaś straszliwa, bezimienna bestia... nawet jeśli jej najmniejsze cząsteczki składały się z czarnych dziur.

Przyjrzał się komorze. Sieć lin uległa zniszczeniu. Wnętrze komory było puste.

Na ścianach i suficie zostało jeszcze trochę sznurów, jeden z nich prowadził od podstawy teleskopu do wyjścia na korytarz mostka. Rees prześledził bieg liny. W żadnym miejscu nie oddalała się zbyt od śródkręca, gdyby się więc za nią udał, pozostawałby blisko strefy nieważkości.

Ostrożnie oderwał ręce od dolnej części teleskopu. Kiedy uwiesił się liny, powoli poszybował w stronę końca komory, zbyt wolno, by jego ciało nabrało ciężaru. Po pewnym czasie zaczął szybciej przesuwać ręce.

Gdy od włazu dzielił go już tylko metr, lina oderwała się i przeleciała zygzakiem przez powietrze.

Przesunął się, trzymając się ściany, i zrobił gwałtowny ruch do przodu. Kiedy poczuł

solidne oparcie włazu, zatrzymał się, aby swobodnie odetchnąć i ulżyć obolałym rękóm i nogóm.

Zwierzę kolejny raz wynurzyło się z oceanu, jego wykrzywiona paszcza pojawiła się nad mostkiem.

- Roch! Roch, czy mnie słyszysz? Górniku! - Rees usiłował przekrzyknąć jęki pasażerów.

Po dłuższej chwili Roch wysunął szeroką, poranioną twarz z kłębowiska ludzkich ciał.

- Roch, możesz się dostać tu na górę?

Roch rozejrzał się dookoła. Popatrzył na liny przywierające do ścian, a potem uśmiechnął się szeroko. Zaczął deptać po ludziach, wpychając ich głowy i kończyny głębiej w kłębowisko. Potem, z gracją zwierzęcia, wspiął się po linach przytwierdzonych do wielkich okien. Gdy jedna lina odrywała się, zgrabnie przeskakiwał na następną, a potem na następną, aż w końcu znalazł się obok Reesa przy włazie.

- Widzisz? - zagadnął swego towarzysza. - Cała ta harówka w warunkach pięciu g ostatecznie się opłacała.

- Roch, potrzebuję twojej pomocy. Posłuchaj mnie...

Jeden z dystrybutorów zjedzenia został zamontowany wewnątrz włazu. Teraz Rees błogosławił wąskie dojście do maszyn. Gdyby było tu odrobinę więcej miejsca, maszyna zostałaby ściągnięta do którejś z komór końcowych mostka, a w takim przypadku, przy stromiznie o wielokrotnie większej wartości g, nawet Roch nie zdołałby przenieść wielotonowego ciężaru do środkowej części statku.

Statek znowu zadrżał.

Kiedy Rees objaśnił swój pomysł, Roch uśmiechnął się od ucha do ucha i otworzył szeroko oczy - do diabła, ten facet nieźle się bawi całą sytuacją - i, zanim Rees zdążył go powstrzymać, wyrznął szeroką dłońią w płytę kontrolną włazu.

Właz rozsunał się. Powietrze na zewnątrz było rozgrzane i gęste, owiewało kadłub z ogromną szybkością. Różnica ciśnień podziałała na Reesa niczym niewidzialna ręka, gwałtownie wyrznął ciałem w bok maszyny dostawczej.

Otwarty właz tworzył kwadrat, którego bok liczył mniej więcej trzy metry.

Przestrzeń całkowicie wypełniał wykrzywiony pysk grawitacyjnego zwierza. Powietrze przecięła ze świstem długa prawie na dwa kilometry macka. Rees poczuł, że mostek dygocze.

Wystarczyło jedno uderzenie takiego czułka, żeby stary statek implodował jak zgnieciony skoczek.

Roch czołgał się wokół maszyny dostawczej, tak że niebawem zbliżył się do zewnętrznej ściany obserwatorium.

Rees zerknął na podstawę maszyny. Była przytwierdzona do pokładu mostka za pomocą chropowatych, żelaznych nitów wielkości pięści.

- Niech to diabli! - zawołał, próbując przekrzyczeć świst wiatru. - Roch, pomóż mi znaleźć narzędzia. Potrzebujemy czegoś, co mogłoby posłużyć jako dźwignia.

- Nie ma na to czasu, człowieku z Tratwy. - W głosie Rocha wyczuwało się napięcie.

Rees przypomniał sobie, że ten potężny mężczyzna już kiedyś mówił w podobny sposób, gdy usiłował dźwignąć się na nogi w jądrze gwiazdy przy grawitacji wynoszącej pięć g. Rees z niepokojem spojrzał w górę.

Roch oparł się plecami o maszynę dostawczą, a stopami zaparł o ścianę obserwatorium. Zaczął pchać maszynę. Napinał mięśnie nóg, na czole i klatce piersiowej pojawiły się kropelki potu.

- Roch, zwariowałeś! To nie może się udać!

Jeden z nitów zazgrzytał. W powietrzu rozprysły się żelazne odłamki.

Roch wciąż wpatrywał się nabrzmiałymi oczami w Reesa. Miało się wrażenie, iż szeroko się uśmiecha, a mięśnie jego karku są coraz bliżej okaleczonych warg, z których wystawał siny język.

Po chwili pękł z hukiem drugi nit.

Rees położył ręce na maszynie i zbyt późno zaczął pomagać Rochowi, z całej siły napinając mięśnie ramion.

Kolejny nit został zerwany i maszyna wyraźnie się przechyliła. Roch zmienił pozycję i nadal pchał maszynę. Twarz górnika posiniała, nie spuszczał wzroku z Reesa. Jego duże ciało poruszyło się, cicho trzeszcząc. Rees zrozumiał, że Rochowi pękł kręgosłup.

Wreszcie rozerwaniu uległy pozostałe nity, czemu towarzyszyły małe wybuchy, i maszyna przetoczyła się przez właz. Rees upadł na roztrzaskane nity i łapczywie wdychał tlen z rozrzedzonego powietrza.

- Roch? - Podniósł głowę.

Górnika nie było widać.

Rees podczołgał się do krawędzi włazu. Całe niebo przesłaniała grawitacyjna bestia, tworząca potężną, ohydłą panoramę. Przed zwierzęciem zwisała uszkodzona maszyna

dostawcza. Roch leżał z rozpostartymi rękami i nogami, jego plecy opierały się o zniszczoną, metalową ścianę. Górnik patrzył Reesowi w oczy z odległości najwyżej metra.

Nagle zwierzę wyciągnęło giętką jak lina mackę i uderzyło maszynę dostawczą.

Maszyna zawirowała w kierunku czarnego, skłębionego cielska. Następnie drapieźnik pochłonął kąsek i, najwyraźniej zaspokojony, po raz ostatni zniknął w ciemnym oceanie.

Rees zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i zamknął właz.

ROZDZIAŁ 16

W miarę jak maszyna kontynuowała lot, Rees coraz częściej wyglądał przez okienko kadłuba.

Przycisnął twarz do ciepłej ściany. Znajdował się bardzo blisko śródkręcia mostka. Z lewej strony widział Mgławicę, porzuconą ojczyznę, która teraz przypominała szkarłatną barierę, rozcinającą niebo na połówki, po prawej stronie Rees dostrzegał niebieskawy obłok gwiazdny, miejsce przeznaczenia, wciąż dające się zakryć jedną dłonią.

Statek oddalał się od Rdzenia. Ekipa nawigacyjna spędzała długie godziny, korzystając z sekstansów, map i kawałków rzeźbionej kości. Wreszcie można było ogłosić, że mostek leci po właściwej trajektorii.

Wśród pasażerów zapanowało uniesienie. Wprawdzie wiele osób zginęło lub odniosło obrażenia, a ponadto utracono maszynę z żywnością, lecz po najcięższej przeprawie wydawało się, że misja zakończy się sukcesem. Optymistyczny nastrój udzielił się także Reesowi.

Jednak po pewnym czasie mostek oddalił się od Mgławicy tak bardzo, że przestało być widoczne jej dobrze znajome, ciepłe światło.

Większą część kadłuba uczyniono nieprzezroczystą jeszcze przed odlotem w przewidywaniu, iż ciemność między-mgławicowej próżni mogłaby się okazać dla ludzi zbyt przytłaczająca. Skąpane w sztucznym blasku prowizoryczne „osiedle” znowu zaczęło się kojarzyć z ciepłem i domowymi zapachami. Pasażerowie najczęściej przyjmowali tę zmianę z zadowoleniem. Dzięki niej mogli zapomnieć o pustce za prastarymi ścianami statku.

Jednak nastroje nie były najlepsze. Ludzie stali się bardziej zamknięci w sobie, posepni i stłamszeni. Po jakimś czasie utrata dystrybutora żywności zaczęła dawać im się we znaki. Zostali skazani na coraz skromniejsze porcje.

Soczysty, ciemny błękit nieba tonowała tylko rozproszona bladość odległych mgławic.

Uczeni łamali sobie głowy nad starodawnymi przyrządami i zapewniali Reesa, że przestrzenie między mgławicami nie są zupełnie pozbawione powietrza, aczkolwiek jest ono zbyt ubogie w tlen, by mógł nim oddychać człowiek.

- To wygląda tak, jakby mgławice były płatami o dużej gęstości w obrębie o wiele większego obłoku, który być może ma własną wewnętrzną strukturę, swój własny Rdzeń - mówiła z podnieceniem Jaen. - Niewykluczone, że wszystkie mgławice wpadają do większego

Rdzenia, podobnie jak gwiazdy.

- Na tym chyba nie koniec? - odparł Rees i uśmiechnął się. - Ta struktura może mieć rekursywny charakter. Kto wie, może większa mgławica jest tylko satelitą innego, potężniejszego Rdzenia, który z kolei krąży wokół jeszcze większego, i tak dalej, bez końca.

- Ciekawi mnie, jak wyglądają mieszkańcy większych Rdzeni i do czego prowadzi w tych warunkach chemia grawitacyjna... - Jaen zaświeciły się oczy.

- Może kiedyś wyślemy statek, żeby się tego dowiedzieć. - Rees wzruszył ramionami.

- Udamy się w podróż do Rdzenia nad Rdzenie. Niewykluczone, że istnieją jednak subtelniejsze metody uzyskania odpowiedzi.

- Na przykład jakie?

- Hm, jeśli nasza nowa mgławica wpada do większego Rdzenia, powinny wystąpić dające się zmierzyć efekty. Choćby pływy, moglibyśmy wysunąć hipotezy o masie i strukturze większego Rdzenia, nawet go nie oglądając.

- A potem, dysponując taką wiedzą, moglibyśmy zweryfikować teorię na temat budowy wszechświata...

Rees uśmiechnął się. Przez krótką chwilę delektował się poczuciem wartości własnego umysłu.

Lecz jeśli nie zdołają się wyżywić, wszystkie te marzenia nie będą miały żadnego znaczenia.

W wyniku manewru wokół Rdzenia statek rozwinął ogromną prędkość i dotarł do przestrzeni między-mgławicowej po kilku godzinach. Od tego czasu upłynęło pięć szycht, lecz wciąż mieli przed sobą jeszcze dwadzieścia szycht lotu. Czy krucha struktura społeczna na statku utrzyma się przez tak długi okres?

Rees poczuł na ramieniu kościstą rękę. Ujrzał wychudzoną twarz Hollerbacha.

- Wspaniale - mruknął Hollerbach i przysunął się do okna...

Rees nie odezwał się.

- Wiem, co czujesz - powiedział Hollerbach.

- Najgorsze jest to, że pasażerowie nadal obwiniają mnie za niewygody, które musimy znosić. Kiedy przechodzę, matki pokazują swoje głodne dzieci i obrzucają mnie oskarżycielskimi spojrzeniami.

- Rees, nie wolno ci się tym przejmować. - Hollerbach wybuchnął śmiechem. - Nie

zatraciłeś młodzięczego, odważnego idealizmu, nie złagodziła go niedawno osiągnięta przez ciebie dojrzałość - powiedział z lekką ironią. - Ten idealizm sprawił, że narażałeś własne życie, sprzymierzając się z uczonymi podczas rebelii. Teraz stałeś się mężczyzną, który zrozumiał, że najważniejsze jest przetrwanie gatunku, i nauczył się wpajać to przekonanie innym, choćby przez zwycięstwo nad Goverem.

- Chciałeś powiedzieć: przez zamordowanie go.

- Gdybyś nie odczuwał wyrzutów sumienia z powodu czynu, do którego zostałeś zmuszony, nie szanowałbym cię tak bardzo. - Stary naukowiec ścisnął rękę Reesa.

- Gdybym tylko mógł mieć pewność, że postąpiłem słusznie - rzekł Rees. - Może skazałem ludzi na śmierć, mając ich złudnymi nadziejami.

- Hm, na razie wszystko dobrze się układa. Nawigatorzy zapewniają, że manewr wokół Rdzenia był udany i teraz zmierzamy w kierunku naszej nowej siedziby.

Jeśli jednak chciałbyś się utwierdzić w przekonaniu, że los nam sprzyja, to spójrz w górę - poradził Hollerbach.

Rees zadął głowę. Szkołka wielorybów tworzyła niewielkie pasmo cienkich, upiornych postaci, szybujących po niebie z lewej strony na prawą. Na obrzeżach pełnego życia strumienia dostrzegł talerze, niebiańskie wilki o zamkniętych paszczach i inne, jeszcze bardziej egzotyczne stworzenia, które swobodnie sunęły do swojej nowej siedziby.

W Mgławicy musiało być więcej takich ogromnych szkółek. Szereg po szeregu opuszczały umierający obłok. Poszczególne gatunki wyraźnie się odznaczały na tle posepnego, galaktycznego blasku. Rees uświadomił sobie, że wkrótce Mgławica utraci wszystkie organizmy żywe, z wyjątkiem kilku uwiązanych drzew i niedobitków ludzkości, zmuszonych do pozostania w jej obrębie.

Zauważył, że w ławicy wielorybów nastąpiło jakieś poruszenie. Manewrując ogonami, trzy wielkie bestie odłączyły się od reszty, poleciały w górę i zaczęły krążyć wokół siebie w pełnym majestatu tańcu. Zbliżały się do siebie tak blisko, że ich ogony się splotły, a cielska zetknęły w uścisku, jak gdyby miała z nich powstać jedna istota. Pozostałe wieloryby z szacunkiem dryfowały wokół triady.

- Co one robią?

- Oczywiście, to tylko domysły - Hollerbach uśmiechnął się. - W dodatku, gdy jest się w moim wieku, można je snuć głównie na podstawie wspomnień, ale przypuszczam, że wykonują

taniec godowy. - Rees z wrażenia wstrzymał oddech. - A dlaczegożby nie?

Przecież te wieloryby są wśród swoich, z dala od napięć i niebezpieczeństw mgławicowego życia, czyż można sobie wymarzyć lepsze warunki? Nawet niebiańskie wilki nie byłyby w stanie przypościć ataku, prawda? Wiesz, wcale bym się nie zdziwił, zważywszy na długie godziny w zamknięciu, podczas których nie ma co robić, gdyby i u nas wybuchnęła eksplozja demograficzna.

- Wszyscy tego potrzebujemy - Rees roześmiał się.

- O, tak - z powagą przytaknął Hollerbach. - W każdym razie, mój przyjacielu, chodzi mi o to, że być może powinniśmy naśladować te wieloryby. Wątpić jest rzeczą ludzką, ale...

przede wszystkim powinniśmy dbać o przetrwanie, najlepiej jak potrafimy. Ty zdołałeś tego dokonać.

- Dzięki, Hollerbach - odparł Rees. - Rozumiem twoje intencje, ale może powinieneś zaapelować do pustych żołądków pasażerów.

- Zapewne tak. Ja... ja... - Hollerbacha znowu złapał atak duszącego kaszlu. - Przepraszam - wydusił w końcu. Rees z z troskaniem popatrzył na starego naukowca. Miał wrażenie, że w błękitnym, między-mgławicowym świetle dostrzega u Hollerbacha zarys czaszki pod skórą.

Mostek doleciał do najbardziej wysuniętych na zewnątrz warstw nowej mgławicy.

Rozrzedzone powietrze ze świstem owiewało kikuty dysz sterujących.

Rees i Gord przenieśli Neada do korytarza w pobliżu wjazdu. Nogi młodego naukowca, bezwładne z powodu złamania kręgosłupa podczas upadku, zostały związane i usztywnione drewnianymi deseczkami. Nead upierał się, że stracił czucie poniżej pasa, ale Rees widział, że młodzieniec wykrzywia twarz przy każdym nieostrożnym manewrze.

Z powodu Neada Rees miał głębokie poczucie winy. Chłopak miał zaledwie osiemnaście tysięcy szycht i już był kaleką przez to, że wykonywał jego polecenia, a teraz znowu narażał się na niebezpieczeństwo. Resztki porozrywanych nitów na pustej podstawie maszyny dostawczej przypominały Reesowi o poświęceniu, na jakie zdobył się Roch.

Nie chciał być świadkiem kolejnych poświęceń.

- Posłuchaj mnie, Nead - rzekł z powagą. - Doceniam fakt, że sam zgłosiłeś swój udział w misji...

- Musisz mi pozwolić wyjść - upierał się Nead. Patrzył na Reesa zaniepokojony.

- Oczywiście. - Rees położył mu rękę na ramieniu. - Usiłuję ci tylko powiedzieć, że chcę,

abyś zamontował nowe dysze na zewnątrz i... wrócił cały i zdrowy. Musimy mieć te dysze, gdyż inaczej spadniemy do samego Rdzenia nowej mgławicy, ale nie potrzebujemy kolejnego martwego bohatera.

- Rozumiem, Rees. - Nead uśmiechnął się. - Co może się zdarzyć? Powietrze na zewnątrz jest strasznie rozrzedzone, lecz zawiera tlen, a ja nie zabawię tam długo.

- Nie wyciągaj wniosków zbyt pochopnie. Pamiętaj, że nasze czujniki zostały skonstruowane przed wiekami i w innym wszechświecie, na miłość boską... Nawet gdybyśmy dokładnie rozumieli ich odczyty, nie możemy całkowicie na nich polegać w tym środowisku.

- Tak, ale nasze teorie potwierdzają wskazania czujników. - Gord zmarszczył brwi. - Ze względu na rozmieszczenie organizmów w środowisku zawierającym tlen zakładamy, że większość mgławic składa się z mieszanki tlenowo-azotowej.

- Wiem. - Rees westchnął. - Nie mam nic do zarzucenia teorii. Chcę tylko powiedzieć, że w obecnych warunkach nie wiemy, co spotka Nead za drzwiami.

- Posłuchaj, Rees, pamiętam, że jestem kaleką. - Nead spuścił wzrok. - Jednak moje ręce i ramiona są nadal sprawne. Wiem, co robię, i jestem w stanie wykonać to zadanie.

- Wiem, że możesz... Tylko wróć cały.

Nead uśmiechnął się i skinął głową. Charakterystyczne, szare pasemko włosów rozjaśnił blask światła wpadającego z korytarza.

Rees i Gord za pomocą kawałka liny przywiązali Neadowi do pasa dwie dysze. Ze względu na kształt były dość nieporęczne, ale w warunkach minimalnego przyciągania Nead mógł dać sobie z nimi radę. Druga lina, którą obwiązano młodzieńca w pasie, zapewniała mu łączność ze statkiem.

Gord sprawdził, czy wewnętrzne drzwi obserwatorium są szczelnie zamknięte. Nie wolno było narazić pasażerów na niebezpieczeństwo. Potem mężczyźni uścisnęli sobie ręce i Gord pchnął zewnętrzną płytę, która natychmiast się rozsunęła.

Rees doznał wrażenia, że coś wysysa mu powietrze z piersi. Słyszał teraz jedynie stłumiony szept. Po chwili poczuł na wargach smak krwi, która zaczęła mu lecieć z nosa i uszu.

Za drzwiami rozciągało się morze niebieskiego światła. Statek zdążył już minąć promienną obwódkę mnożącego gwiazdy wodoru, dzięki czemu gwiazdy stały się lepiej widoczne. Wysoko nad głową Reesa mała, czerwona plamka sygnalizowała pozycję Mgławicy, od której uciekł. Z pewnym zdumieniem myślał o tym, że może podnieść rękę i przesłonić ją

swój świat, wszystkie miejsca, które widział, i poznanych przez siebie ludzi:

Pallisa, Sheen, barmana Jame'a, Deckera... Wiedział, że Pallis i Sheen postanowili przeżyć resztę szycht razem. Utkwiwszy wzrok w odległej plamce, Rees po cichu modlił się, by tym dwojgu - i całej reszcie, która poświęciło się, by on sam mógł osiągnąć tak wiele, nie stało się nic złego.

Wspólnie z Gordem podniósł Neda do włazu. Nogi rannego naukowca huštały się bezwładnie, jakby były zrobione z drewna, lecz zdołał się przesunąć w kierunku podstawy dysz. Rees i Gord czekali w otwartym przejściu, ubezpieczając go za pomocą liny.

Mniej więcej na metr przed nasadą dyszy Nead zwolnił i, obserwowany z niepokojem przez Reesa, zaczął się wdrapywać po nie stawiającej oporu powierzchni kadłuba.

Wreszcie dysza znalazła się w zasięgu jego ręki i kurczowo zacisnął palce na małych wybrzuszeniach żelaznej powłoki.

Pociągnął liny. Gord i Rees wynieśli przez właz pierwszą dyszę i pchnęli ją w kierunku naukowca. Rzut był celny, urządzenie zatrzymało się zaledwie metr od Neda.

Szybkimi, precyzyjnymi ruchami młodzieniec pociągnął linę i umieścił dyszę we właściwej pozycji. Musiał uwzględnić położenie urządzenia względem osi mostka. Zmagał się z dużym, nieporęcznym ładunkiem przez dłuższą chwilę.

Wreszcie osiągnął zadowalający rezultat. Z kieszonki na piersiach wyciągnął samoprzylepne podkładki i umieścił je na podstawie urządzenia. Potem, nie bez wysiłku, przeciągnął dyszę i położył ją na podkładkach. Na koniec odwiązał linę od osadzonego urządzenia i odrzucił ją od siebie.

Pracował szybko i sprawnie, lecz już upłynęło trzydzieści sekund, a przecież najważniejszą część zadania miał dopiero przed sobą.

Rees czuł coraz większy ucisk w klatce piersiowej.

Nead zaczął się gramolić w stronę drugiej dyszy i wkrótce zniknął za wygiętym kadłubem. Po kilkunastu sekundach, które wydawały się Reesowi wiecznością, młodzieniec pociągnął jedną z lin. Rees i inżynier kopalni wsunęli w otwór włazu drugą dyszę. Duże urządzenie odbiło się od powłoki kadłuba.

Zmierzenie czasu było niemożliwe. Czyżby od przekazania dyszy minęło tylko kilka sekund?

Bez punktów odniesienia czas stawał się nader rozciągliwym wymiarem... Reesowi

pociemniało w oczach.

Po jego prawej stronie zapanowało ożywienie. Mimo bólu w piersiach odwrócił się.

Gord zaczął już wciągać linę. Miał wybałuszone oczy i siną z wysiłku twarz. Rees chciał mu pomóc, ale poczuł, że lina swobodnie ześlizguje się po powierzchni.

Teraz oprócz bólu czuł również strach.

Koniec sznura gwałtownie wpadł do wnętrza. Ktoś go odciął.

Gord zamknął oczy i przewrócił się. Osunął się na framugę drzwi. Na skutek zbyt dużego wysiłku najwyraźniej stracił przytomność. Rees widział coraz gorzej.

Położył dłoń na płycie kontrolnej drzwi. Czekał.

Rees miał wrażenie, że płuca zamieniły mu się w bolącą galaretę, a rozrzedzone powietrze rozdziera mu gardło.

Ujrzał zamazaną plamę, czyjeś ręce kurczowo ściskające framugę, wykrzywioną twarz, zeszywniałe ciało, skrepowane nogi... To musiał być Nead. Nead wrócił i należało coś zrobić.

Jakby wbrew własnej woli, Rees zbliżył rękę do płyty kontrolnej wjazdu. Zamknął pokrywę wjazdu. Potem otworzyły się drzwi wewnętrzne i Rees został pociągnięty do tyłu w powietrze z dużą ilością tlenu.

Później Nead tłumaczył się chrapliwym głosem:

- Czuję, że zaczyna mi brakować czasu, a zadanie nie zostało wykonane, dlatego przeciąłem linę i pracowałem dalej. Przepraszam.

- Jesteś cholernym głupcem - szepnął Rees. Usiłował podnieść głowę z posłania, lecz ostatecznie dał za wygraną i znowu zasnął.

Silniki naprowadziły statek na szeroką, eliptyczną orbitę wokół rozgrzanej, żółtej gwiazdy i dalej, ku nowej mgławicy. Wielkie drzwi zostały zamknięte, a ludzie czołgali się wokół kadłuba, wspinali po linach i montowali nowe silniki parowe. W zmurszałym wnętrzu statku pojawiło się świeże, rozrzedzone powietrze. Wreszcie udało się wywietrzyć stęchliznę i nastrój pasażerów znacznie się poprawił. Humory dopisywały nawet osobom, które stały w kolejce po racjonowaną żywność.

Ciała tych, którzy nie przeżyli, zostały owinięte w koce i wyrzucone w kosmos.

Rees zerkał na grupkę żałobników, zgromadzoną przy wjeździe. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest zróżnicowana. Obok Gorda i innych górników stali mieszkańcy Tratwy, na przykład Jaen i Grye, a tuż przy nich znajdował się Quid wraz z Kościejami. Wszystkich połączył

smutek i duma. Rees pomyślał, że dawne podziały nie już nie znaczą, w nowym miejscu najważniejsza okazała się przynależność do rasy ludzkiej.

Załogę mostka czekał długi lot, lecz ciała zmarłych pozostaną na orbicie jeszcze przez wiele szycht, symbolizując pojawienie się człowieka w nowym świecie, a dopiero potem, na skutek tarcia powietrza, znikną w płomieniach gwiazdy.

Pomimo dopływu świeżego powietrza, Hollerbach systematycznie tracił siły. Po pewnym czasie położył się na łóżku, przytwierdzonym do przypominającego okno kadłuba mostka. Rees dołączył do starego naukowca. Razem obserwowali światło nowych gwiazd.

Hollerbacha znowu zaczął dusić kaszel. Rees położył rękę na głowie starca i po jakimś czasie jego oddech wrócił do normy.

- Mówiłem ci, że powinniście byli mnie tam zostawić - wy sapał.

- Szkoda, że nie widziałeś, jak wypuszczaliśmy młode drzewa. - Rees zignorował jego uwagę i pochylił się do przodu. - Tylko otworzyliśmy klatki i poleciały hen, hen. Rozproszyły się wokół gwiazdy, jakby właśnie tam się narodziły.

- Może tak było - zauważył Hollerbach. - Pallisowi bardzo by się to podobało.

- Nie sędzę, żeby ktokolwiek z nas, młodych ludzi, uświadamiał sobie, jak zielone mogą być liście. Drzewa chyba już zaczynają rosnać. Wkrótce będziemy mieli całkiem duży las. Nareszcie zdołamy się przemieścić, może znajdziemy wieloryby, nowe źródło żywności...

- Hollerbach zaczął grzebać pod posłaniem. Z pomocą Reesa wyciągnął stamtąd paczuszkę, owiniętą w brudny materiał. - Co to takiego?

- Weź to.

Rees rozwinął opakowanie i ujrzał misternie wykonane urządzenie, które bez trudu zmieściłoby się w jego dłoniach. Wokół srebrnej kulki pośrodku kręciły się różnokolorowe paciorki.

- Twoje planetarium - rzekł Rees.

- Wziąłem je wraz z całym swoim dobytkiem.

- Chcesz, żebym je zachował, gdy ty odejdziesz? - zapytał bardzo zakłopotany Rees i dotknął znajomego przedmiotu.

- Nie, do diabła! - Hollerbach zakaszlał z oburzenia. - Rees, twoje sentymentalne ciągoty niepokoją mnie. Nie, teraz żałuję, że nie zostawiłem tego przeklętego cacka.

Chłopcze, chcę, żebyś je zniszczył. Kiedy wyrzucisz ze statku moje zwłoki, wyrzuć i ten

przedmiot.

- Ale dlaczego? - Rees był wstrząśnięty. - To przecież jedyne planetarium we wszechświecie... nie da się go niczym zastąpić.

- Ono nie ma żadnego znaczenia! - Oczy starca zabłysły. - Rees, ta rzecz jest symbolem utraconej przeszłości, którą musimy zignorować. Zbyt długo przywiązywaliśmy wagę do takich przedmiotów. Teraz jesteśmy istotami tego wszechświata. - Stary człowiek chwycił gwałtownie Reesa za rękaw i próbował się wyprostować. Rees zmarszczył brwi, położył rękę na ramieniu Hollerbacha i delikatnie go powstrzymał.

- Spróbuj odpocząć...

- Do diabła - wychrypiął Hollerbach. - Nie mogę marnować czasu na wypoczynek...

Musisz im powiedzieć...

- Co?

- Żeby emigrowali, wędrowali przez całą mgławicę. Musimy zaludnić każde miejsce, które zdołamy tu znaleźć. Nie możemy już polegać na reliktach obcej przeszłości.

Jeśli mamy osiągnąć dobrobyt, musimy wykorzystać własne środki i pomysłowość, aby w pełni się zasymilować i znaleźć sposób na życie tutaj. - Przerwał, gdyż dostał kolejnego ataku kaszlu. - Pragnę eksplozji demograficznej, o której mówiliśmy. Nie wolno nam nigdy więcej narażać przyszłości rasy, gromadząc ją na jednym statku czy nawet w obrębie jednej mgławicy.

Musimy zaludnić ten cholerny obłok, a potem udać się do następnych mgławic i również je zaludnić. Nie chodzi mi o tysiące, lecz o miliony istot ludzkich, które będą żyły w tym przeklętym świecie, rozmawiały, kłóciły się i uczyły. Jeśli chodzi o statki...

Będziemy potrzebowali nowych. Wyobrażam sobie handel między zamieszkanymi mgławicami, jakby były one legendarnymi miastami starej Ziemi. Widzę, jak udaje nam się znaleźć sposób na odkrycie rejonów odwiedzanych przez stworzenia grawitacyjne... I jeszcze wyobrażam sobie, że pewnego dnia zbudujemy statek, który zabierze nas z powrotem przez Pierścień Boldera, bramę do ojczystego wszechświata człowieka. Wrócimy i opowiemy naszym pobratymcom, co się z nami stało.

Hollerbach całkowicie wyczerpał swą energię. Opuścił siwą głowę na szmacianą poduszkę i powoli zamknął oczy.

Już po wszystkim Rees zaniósł starca do otworu ładunkowego. Wyjął z rąk zmarłego planetarium, w milczeniu rzucił jego ciało w kosmos i patrzył, jak Hollerbach dryfuje w dal i

znika na tle spadających gwiazd. Potem, zgodnie z życzeniem sędziwego naukowca, cisnął planetarium w przestrzeń, po kilku sekundach ono również przestało być widoczne.

Poczuł czyjeś ciepło. Zobaczył Jaen, spokojnie stojącą przy nim. Wziął rękę dziewczyny i delikatnie uścisnął. Jego myśli zaczęły podążać zupełnie nowymi, nie zbadanymi szlakami. Teraz, gdy przygoda dobiegła końca, być może mógłby wraz z Jaen pomyśleć o innym życiu, o własnym domu. - Mój Boże... popatrz. - Jaen z wrażenia zaparło dech w piersiach. Wyciągnęła rękę.

Na zewnątrz szybko sunął jakiś obiekt. Było to zwarte, bladozielone koło, przypominające drzewo o szerokości mniej więcej dwóch metrów. Ze świstem zatrzymało się raptem kilka metrów od twarzy Reesa i krążyło w górze, utrzymując pozycję dzięki błyskawicznemu obrotom. Z pnia wyrastały krótkie, grube konary, a do krawędzi w różnych miejscach były przytwierdzone narzędzia z drewna i żelaza. Rees na próżno usiłował wypatrzeć pilotów drzewa.

- Na kości, Rees - zawołała Jaen. - Co to jest, u diabła?

W górnej części pnia otworzyło się czworo oczu, niebieskich i szokująco ludzkich.

Surowo spoglądały na istoty w dole.

Rees uśmiechnął się. Zrozumiał, że do końca przygody jest jeszcze daleko.

W gruncie rzeczy być może dopiero teraz nastąpił jej początek.